

marzec '78

**Puls**

**nr 2**

**wydanie**

**nieregularny kwartalnik literacki**

**redagują**

**JACEK BIEREZIN  
TOMASZ FILIPCZAK  
WITOLD SUŁKOWSKI  
TADEUSZ WALENDOWSKI**

**z nimi współpracują**

**STANISŁAW BARAŃCZAK  
MICHAŁ BOGUCKI  
TADEUSZ KORZENIEWSKI  
BARTOSZ PIETRZAK  
BOLESŁAW SULIŃSKI  
LESZEK SZARUGA**

P U L S      nieregularny kwartalnik literacki

Nr 2      marzec 1978

/ wydanie II - gio /

Redagują: Jacek Bierezin,  
Tomasz Filipeczak  
Witold Sułkowski  
Tadeusz Wulendowski

Stale współpracują:

Stanisław Barańczak  
Michał Bogucki  
Tadeusz Korzeniewski  
Bartosz Pietrzak  
Bolesław Sulik  
Leszek Szaruga

## O Ś W I A D C Z E N I E

W "Expresie Wieczornym" z dnia 12 maja b.r. ukazała się notatka zatytułowana "W przytulnej kawalerce fabryka fałszywych dokumentów i banknotów". W notatce tej sygnowanej (jam) czytamy:

"Od pewnego czasu z ~~terenu~~ zaczęły ~~rozprzestrzeniać~~ ~~się~~ milioji sygnały, że w Warszawie ~~przebiegają~~ są fałszywe stałe bilety PKS w ~~zabawie~~ ziciela i uprawiające do bezkarnych przejazdów na wszystkich liniach PKS w Polsce. Technika wykonania biletów wskazywała, że fałszował je doskonały fachowiec. Po długotrwałym dochodzeniu organa stołecznej milicji wykryły pracownię fałszerską, w której zatrzymano Tomasza M., producenta fałszywych biletów. Wyniki przeszukania pracowni fałszersza okazały się wręcz sensacyjne. Znalezione sprzęt fotograficzny wysokiej klasy, aparaty, powiększalniki, teleobiektywy itp. a ponadto urządzenia umożliwiające produkcję dokumentów, pieczęci, itd. Co więcej wykryto mocno znawane ~~przebiegające~~ do produkcji legitymacji studenckich, indeksów i banknotów 2000 i 500 zł. Gdyby nie szybka akcja milicji zapewne w niedługim czasie pojawiłyby się w kraju liczne "koperniki" i "kościuszki".

Aresztowany fałszersza Tomasz M. jest fotografikiem-amatorem wysokiej klasy, ponadto ma nieukończony studia chemiczne. Jest człowiekiem utalentowanym, a zarazem pokwawionym skrupuła. Jak dotąd ustalono, swoją pracownię zdobył w sposób niezwykle prosty. Dał ogłoszenie w gazecie, że poszukuje niekrepującego mieszkania w spokojnej dzielnicy Warszawy. Spośród różnych ofert wybrał jedną kawalerkę w spokojnej willowej dzielnicy. Zapłaconą zadaną sumę i wprowadził się. Miał opinię spokojnego, kulturalnego lokatora. Nikt z sąsiadów nie przypuszczał, że ten cichy, skromnie ubrany mężczyzna jest wysokiej klasy fałszerszem. Czy Tomasz M. działał samotnie? Czy może on i jego pracownia w eleganckiej kawalerce były tylko jednym z ogniw przestępczego łańcucha i jeszcze ktoś jest zamieszany w aferę - wyjaśni dalsze śledztwo."

Informacje przytoczone w powyższym artykule są świadomym okłamywaniem opinii publicznej.

Niezależna Oficyna Wydawnicza uważa za właściwe udzielić publicznej odpowiedzi na sformułowane powyżej pytania.

Nie, Tomasz Michalak nie działał samotnie.

Tak, jego pracownia była "jednym z ogniw" Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

Przyjmujemy pełną odpowiedzialność za wszystkie prace techniczne Tomasza Michalaka, bowiem jego "sprzęt fotograficzny wysokiej klasy, aparaty, powiększalniki, teleobiektywy itp.", jego talent i poświęcenie były istotnym fragmentem działań niezależnego ruchu wydawniczego w naszym kraju. Nasz współpracownik i kolega Tomasz Michalak jest fotografikiem. Sporządzanie negatywów banknotów jest normalnym, często stosowanym sposobem badania jakości technicznej obiektywów fotograficznych i nie ma nic wspólnego z fałszowaniem pieniędzy. Tomasz Michalak, współpracownik naszego wydawnictwa od samego początku jego istnienia, zajmował się procesami najtrudniejszymi i najbardziej niewdzięcznymi, a zarazem wymagającymi ostrożności i umiejętności. Miara znaczenia tych prac niechaj będą przedmioty zatrzymane u niego podczas przeszukania. Między innymi zatrzymano tam matryce sitodrukowe z obwolutą do książki T. Konwickiego "Kompleks polski", z kładką "Pulsu" i wyboru artykułów z "Kultury" paryskiej. Zatrzymano okładki do książek Piotra Wierzbickiego "Cyrk", P. Jasienicy "Rozważania o wojnie domowej", J. Brodkiego "Wiersze i poematy". Zatrzymano diapozytywy pisma "Robotnik", negatywy i diapozytywy okładek "Zapisu".

Przeszukanie mieszkania na Chomiczówce i uwięzienie Tomasza Michalaka nastąpiło bezpośrednio po uszkodzeniu wybuchem pomnika Lenina w Nowej Hucie, co stało się pretekstem do dwustu innych przeszukań i zatrzymań, które objęły środowisko demokratycznej opozycji. Łączenie tego z akcją milicji przeciw fałszerszom biletów PKS jest świadomym okłamywaniem opinii publicznej. Udział redakcji "Expresu Wieczornego" w składowaniu uwziętego i bezbronnego człowieka, nazywanie go "fałszerszem" - przed

prawomocnym wyrokiem sądu, nawet przed zamknięciem śledztwa - człowieka, którego "wina" jest współudział w przywracaniu społeczeństwu cennych dzieł kultury narodowej jest procederem haniebnym.

Mamy wszelkie powody przypuszczać, że jest to kolejne, świadomie preparowane kłamstwo.

W imię troski o praworządność w naszym kraju żądamy natychmiastowego dopuszczenia adwokata do wszystkich czynności śledczych.

Tomasz Michalak jest człowiekiem ciężko chorym (nie ma jednego oka i II diopetrii w drugim, ma reumatyzm serca). W imię elementarnych wartości ludzkich, w trosce o jego zdrowie i życie, żądamy uchylenia aresztu tymczasowego.

Zwracamy się o poparcie naszego apelu do wszystkich instytucji i pism niezależnych, do wszystkich ludzi dobrej woli.

Za NIEZALEŻNĄ OFICYJNĄ WYDAWNICZĄ

(-) Konrad Dieliński  
(-) Mirosław Chojecki  
(-) Adam Michnik

DO CZYTELNIKÓW "PULSU"

Od 20 kwietnia przebywa w areszcie śledczym w Warszawie pod zarzutem fałszowania dokumentów i pieniędzy współpracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej Tomasz Michalak. Sprzęt i materiały drukarskie znalezione podczas rewizji w mieszkaniu T. Michalaka w żadnym wypadku nie służyły do celów fałszerskich. Michalak używał ich do wykonywania prac poligraficznych związanych z wydawaniem niecenzurowanych książek i czasopism. Aresztowanie przerwało mu pracę m.in. nad okładką do "Pulsu" nr 4-5.

Zarzut fałszerstwa postawiony Michalakowi jest bezpodstawny, a przetrzymywanie go w areszcie i przygotowywany proces stanowi represję za udział w niezależnym ruchu wydawniczym. W tej sytuacji każdy czynny uczestnik tego ruchu, kto jako czytelnik niecenzurowanych wydawnictw lub jako autor korzysta z jego działalności i pragnie jego dalszego, niezakłóconego rozwoju, ma moralny obowiązek wystąpienia w obronie Tomasza Michalaka.

Redakcja "Pulsu" wystosowała w dniu 20 maja list do Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście.

Apelujemy do wszystkich Czytelników o podpisywanie poniższego pisma.

Prokurator Rejonowy dla dzielnicy Warszawa-Śródmieście  
Plac Dąbrowskiego 1

Od 20 kwietnia 1979 roku przebywa w areszcie śledczym w Warszawie pod zarzutem fałszowania dokumentów i pieniędzy współpracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej Tomasz Michalak.

W przekonaniu, że zarzut fałszerstwa stawiany Tomaszowi Michalakowi jest bezpodstawny i stanowi represję za jego udział w niezależnym ruchu wydawniczym domagamy się:  
1/ natychmiastowego zawieszenia sankcji prokuratorskiej i uwolnienia Tomasza Michalaka z aresztu śledczego.  
2/ dopuszczenia, zgodnie z art. 272 i 273 Kodeksu Postępowania Karnego obrońcy do udziału w śledztwie.

P U L S            nieregularny kwartalnik literacki  
Nr 2                marzec 1978            (Wydanie II.)

Redagują:        Jacek Bierezin, Tomasz Filipczak,  
                  Witold Sułkowski, Tadeusz Walendowski.

Stale współpracują: Stanisław Barańczak, Michał Bogucki,  
                          Tadeusz Korzeniewski, Bartosz Pietrzak,  
                          Bolesław Sulik, Leszek Szaruga.

- 2 ALEKSANDER GALICZ        W i e r s z e w przekładach Wiktora Woroszyńskiego,  
                                  Stanisława Barańczaka i Jacka Bierezina
- 8 JACEK WOŹNIAKOWSKI      Frywa, ozkowieka a kultura
- 16 JACEK BIEREZIN          W i e r s z e
- 17 ADAM MICHNIK            Zeta epoki paskiewiczowskiej
- 34    X X X                    Warszawa - noc z 30 na 31 grudnia 1977 roku
- 37 ZDZISŁAW JASKUŁA        W i e r s z e
- 41 JACEK BOCHENSKI         P r o s p e k t (fragment powieści o Tyberiuszu)
- 46 STANISŁAW BARAŃCZAK    Fasada i tyły
- 51 TADEUSZ KORZENIEWSKI    P r i m a a p r i l i s
- 59 LECH ZYMARSKI            W i e r s z e
- 64 LESZEK SZARUGA         P u d ł o
- 86 JASKUŁA    ZAPISKI    REPORTAŻE    LISTY    FELIETONY    ESSAY'E
- 87 PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY

+ Eugene Ionesco: Wywiad dla tygodnika "Newsweek" + Milan Kundera:  
Komedia ludzka i literatura zaangażowana + Tadeusz Walendowski: 25  
lat telewizji w Polsce + "Spotkania", Biblioteka "Agory", Witamy  
"Zaple" - W.S. + Piękni dwudziestoletni + spin: Tytuły polskiej  
prasy codziennej +

RECENZJE

- 106 Leszek SZARUGA        Reguły gry w ogonku po złotu
- 109 Marian KLECHA         Dialog wrony i skowronka

III KROTKA

II7 POEZJA LITERACKA

FELIETONY

- 118 KISIEL                 Jedność czy podzielność
- 121 TAN. TAL                Bądź to, bądź to i bądź tu mądry
- 123 WLA                    Niezależny organ Jacka Bierezina

1260 Z ostatniej chwili

Aleksander GALICZ  
1919 - 1977

A L E K S A N D E R P O L E Ź A J E W

W głąb makatki - z pałaszami  
Wyszywane wojsko mknie.  
Aleksander Poleżajew -  
Czarny jeździec w czarnej mgle.  
To imiennik mój - więc tajna  
Zawiść serce moje ssie,  
Romantyczna i fatalna  
Czarna zawiść w czarnym śnie.  
Naprzód wiara, naprzód wiara - nie masz w boju nad huzara,  
Do ataku naprzód wiara - za ojczyznę i za cara !  
Ech, ranty - amaranty, ech, skąd ten stary żal ?  
No cóż - nie od parady Le Page'a dźwięczna stal,  
I nie ma na to rady, gdy świtem - cel i pal...

Bieda przyszła po północy,  
Lecz nie kulą w młoda skroń.  
To kibitka wdał się toczy,  
Szlak się wije, parska koń.  
Niewypito strzemiennego,  
Nie rzucano z brzękiem szkła...  
Dwaj żandarmi więźnia strzegą,  
Dwóch żandarmów strzeże mgła.  
Naprzód wiara, naprzód wiara - nie masz w boju nad huzara,  
Do ataku naprzód wiara - za ojczyznę i za cara !  
Ech, ranty - amaranty, awanse będą dziś,  
Nieszczęsne ryzykanty, i wam by w górę iść,  
Z poetów - w adiutanty, to całkiem dobra myśl...

Kto pomoże, kto powstrzyma,  
Kto odwróci nagły cios ?  
Od piosenki się zaczyna,  
No a potem - ciężki los...  
Czarny jeździec, czarny więzień,  
Nie rozstrzygniesz teraz sam,  
Czy znów nura dać w poezję,  
Czy do czubków pukać bram...  
Naprzód wiara, naprzód wiara - nie masz w boju nad huzara,  
Do ataku naprzód wiara - za ojczyznę i za cara !  
Ech, ranty - amaranty, jak dużo wzniosłych słów,  
A słówko intryganta straszniejsze jest od luf,  
Donosik intryganta najwięcej kosi głów.

W głąb makatki - z pałaszami  
Wyszywane wojsko mknie.  
Aleksander Poleżajew -  
Czarny jeździec w czarnej mgle.  
Dość, artysto, wątek porzuc,  
Bohaterzy - to nie my,  
W naszych dłoniach nie proponiec,  
Lecz chusteczka z plamą krwi.  
Naprzód wiara, naprzód wiara - nie masz w boju nad huzara,  
Do ataku naprzód wiara - za ojczyznę i za cara !

Ech, ranty - amaranty, ech, malowniczy gest,  
 W stuleciu tym czy tamtym - to przecież fraszka jest !  
 To przecież, to przecież, to przecież fraszka jest...

Przełożył Wiktor Woroszyński

-----  
 Aleksander Poleżajew, 1804-1838, rosyjski poeta-romantyk. Nieślubny syn obszarnika i chłopki pańszczyźnianej, wolny słuchacz uniwersytetu moskiewskiego, związany z tajnym kółkiem rewolucyjnym. Za zachwytę poemat "Saszka" oddany przez Mikołaja I w żołdacy. Dwanaście lat służył w wojsku, rok więziony w podziemnych kazamatach /skąd wyszedł z gruźlicą/, kilkanaście lat na kaukaskim froncie, niezmiennie prześladowany przez zwierzchność, donosicieli i cenzorów. Za próbę ucieczki z pułku wychłostany różgami, zmarł niobawem w szpitalu wojskowym. Piosenka Galicza o Poleżajewie nawiązuje nie tylko do losów tego poety, ale i do wątków jego twórczości, i do losów innych poetów rosyjskich.  
 W.W.

-----  
 PAMIĘCI BORYSA PASTERNAKA

"... Zarząd Funduszu Literackiego ZSRR zawiadamia o śmierci pisarza, członka Litfondu, Borysa Leonidowicza Pasternaka, która nastąpiła 30 maja br., w 71 roku życia, po ciężkiej i przewlekłej chorobie, oraz wyraża współczucie rodzinie zmarłego."

Jedyny ogłoszony w gazetach - a raczej w jednej: "Litieraturnoj Gazietie"- komunikat o śmierci B.L. Pasternaka.

Pół godzinki fałszywej boleści,  
 Łzy otarli i wieńce sprzątnęli:  
 I tak chluba dla nas, współczesnych,  
 Żeśmy dali mu umrzeć w pościeli !

Rzępolili Chopina, Żółuzy,  
 Wygłaszali przemowy żakobne:  
 On nie mydlił sznura w Jeżabudze  
 I w Suczanie nie popadał w obłęd !

Już na stypę pociągiem pośpiesznym  
 Literatów z Kijowa tłum wali,  
 Jaka chluba to dla nas, współczesnych,  
 Żeśmy umrzeć w pościeli mu dali !

Siedemdziesiąt miał lat - szepcze kondukt -  
 A nie jakąś tam czterdziostkę marną,  
 I nie byle kto - członek Litfondu,  
 Na koszt państwa umarł, jak za darmo !

Osypały się igły z drzew leśnych  
 I zamiecie ucichły, posnęły...  
 A my, ścierwa, wciąż dumni jesteśmy,  
 Żeśmy dali mu umrzeć w pościeli !

" Zamieć, zamieć nad polem, zamieć na świecie.  
 Świeca płonąła na stole, płonąła świeca... "

Nie, to nie płomień świecy był  
 Świecił żyrandol !  
 Okularami tłusty zbir  
 Błyskał z pogardą !

A sala była brawo mu,  
 Ziewając głośno:  
 I tak za kratki czy pod mur  
 Gościa nie pośle.

Po co cierniowy wieniec, krzyż,  
 Kołem łamanie ?  
 Wystarczy, jak polanem w pysk,  
 Przegłosowanie !

Ktoś tam, zalany, twardo spał,  
 Ktoś w chustkę smarkał,  
 Ktoś inny żarł, ktoś inny rżał  
 Przy tłustych żartach...

Zapamiętamy rechot ten  
 I nawet więcej:  
 Nazwiska wszystkich, co w ten dzień  
 Podnieśli ręce !

„Ucichł tumult. Wyszodłem na scenę.  
 O futrynę drzwi się opierając...”

Już ucichły obelgi i waśnie,  
 Nic w obliczu wieczności nie, warte...  
 A tu stado hien omentarnych właśnie  
 Obejmuje honorową wartość !

Przełożył Stanisław Barańczak

P O C I A G

Pamięci S.M.Michoelsa

Minęły czasy złorzeczeń,  
 Tych spraw już nikt nie porusza,  
 Wymieniamy ukłon z podłecem  
 I ściskamy rękę kapusia.

Tak chciałoby się odpocząć  
 W harmonii, w ciszy, w pogodzie...  
 Lecz słuchaj - odchodzi pociąg !  
 Czy słyszysz ? Odchodzi pociąg  
 I dziś, i jutro, i codzień.

A my w anegdotkach, w igraszkach, w swawolach,  
 Pochlebstwa rywali nas mile łaskoczą !  
 A koła po torach, po torach  
 Stukoczą, stukoczą, stukoczą, stukoczą...

Spokojny mamy charakter  
 I znamy tę prawdę zdrową,  
 Że można okrężnym traktem  
 Dojść przedziej niż prostą drogą.



Nieszczęścia nas nie kłopotzą,  
 Polisa zgon nam osłodzi...  
 Lecz słuchaj - odchodzi pociąg,  
 Czy słyszysz? Odchodzi pociąg  
 I dziś, i jutro, i co dzień.

Nam stery na oknach, obiady na stołach,  
 Nam raj nie do zdercia i za dnia i nocą.  
 A koła po torach, po torach, po torach.  
 Stukoczą, stukoczą, stukoczą, stukoczą...

Pośpiechem czasu uspieni,  
 Żyjemy na skraju życia,  
 Bierny opór wobec sumienia -  
 Cóż to za wygodna pozycja !

I tylko przez sen zajęcysz,  
 Gdy słyszysz, że znów odchodzi  
 Pociąg do stacji Oświęcim,  
 Nasz pociąg do stacji Oświęcim,  
 I dziś, i jutro, i codzień !

Wypadły nam wspólna niedole i dolo,  
 Co razem pod górkę i z górki się toczą...  
 Lecz wiecznie po torach, po sercu, po czole  
 Te koła stukoczą, stukoczą, stukoczą !

Przełożył Stanisław Barańczak

#### WALCZYK POSZUKIWACZY ZŁOTA

Każdy z nas jest dojrzałym człowiekiem,  
 Ze smarkatych wyrosliśmy dni,  
 Nic nie ciągnie nas w dale dalekie:  
 Złote runo to bajka i mit.  
 Po co namiot, gdy lepszy jest hotel,  
 Po co wiosła, gdy można mieć auto...  
 Skoro dzisiaj milczenie jest złotem,  
 Znacznie łatwiej jest być argonautą.

Milcz - a trafisz pomiędzy bogaczy !  
 Tylko milcz, tylko milcz, to wystarczy !

Rozumując i czując pod sznurek,  
 Dla pewności spuszczać w dół wzrok,  
 Ileż razy milczeliśmy chórem,  
 Oczywiście - nie anty, lecz pro !  
 Gdzie te tłumy krzykaczy i wieszczów ?  
 Każdy z nich przepadł gdzieś wkrótce potem...  
 A milczkowie zostali na wierzchu,  
 Bowiem tylko milczenie jest złotem.

Milcz - a trafisz pomiędzy siłaczy !  
 Tylko milcz, tylko milcz, to wystarczy !

Być na wierzchu - to też nic nie zmienia:  
 Więcej tyrad, oracji i mów,  
 Ale piętno ciągłego milczenia  
 Prześwituje przez perły tych słów.

Co nam inni z ich krzykiem rozpaczy,  
Z ich cierpieniem i krzywdą i głodem !  
Nam milczenie się bardziej oplaci,  
Bowiem tylko milczenie jest złotem.

Łatwo trafisz pomiędzy bogaczy,  
Łatwo trafisz pomiędzy siłaczy,  
Łatwo trafisz pomiędzy - siepaczy:  
Tylko milcz, tylko milcz, to wystarczy !

Przełożył Stanisław Barańczak

### WALCZYK POSZUKIWACZY ZŁOTA

Już jesteśmy dorośli i pora  
Przestać płacić dzieciństwu daniny,  
Za bajecznym skarbem jeziora  
Nie pogrążyć się w roczne głębiny.  
Nie ruszamy już kutrem przez morze,  
Ni na biegun - lodokamaczom,  
Ale jeśli milczenie jest złotem  
To i my - przecież - poszukiwacze.  
Milcz, a będziesz bogaty jak król !  
Tylko milcz, tylko milcz, uszy stul.

Nie ufając swojemu sumieniu,  
Dla pewności oślepiwszy do cna,  
Ileż razy stawaliśmy w cieniu  
Milcząc zawsze nie przeciw lecz za.  
Gdzie krzykacze i głos ich ponury ?  
Uciszyli się, zginęli młodo...  
A milczkowic znów poszli do góry,  
Bo wiadomo - milczenie to złoto.  
Będziesz siadał wśród pierwszych jak król !  
Tylko milcz, tylko milcz, uszy stul.

Teraz kiedy jesteśmy na szczycie,  
Chociaż słowa jak perły sypiemy,  
Płaga rozmów zatruwa nam życie,  
Bo naprawdę zostaliśmy niemi.  
Niechaj inni krzyczą z rozpaczy,  
Z głodu, bólu, krzywdy, tęsknoty,  
Przecież milczeć się bardziej oplaci.  
My to wiemy - milczenie jest złotem.  
Och, jak łatwo bogaczem się stać,  
Och, jak łatwo siepaczem się stać,  
Och, jak łatwo - wczoraj kat, dzisiaj król !  
Tylko milcz, tylko milcz, uszy stul.

Przełożył Jacek Bierziń

-----  
Aleksander Arkadjewicz GALICZ urodził się 19 października 1919 roku. Poeta i dramaturg, absolwent studia Stanisławskiego. Podczas wojny odbywał służbę w teatrze frontowym.

Dramaturgią zajął się od roku 1945. W ZSRR wystawiono 10 sztuk Galicza, m.in. "Wzywa was Tajmyr", "Dni powszednie i święta", "Marsz wojenny", jednakże najlepsze jego utwory w tej dziedzinie nie były wystawiane.

Na początku lat sześćdziesiątych zyskał sławę i uznanie jako poeta-pieśniarz, bard literackiego podziemia, co pociągnęło za sobą szereg represji i prześladowań ze strony władz i policji. Był członkiem Komitetu Obrony Praw Człowieka Sacharowa od momentu jego powstania. W grudniu 1971 roku usunięto go ze Związku Pisarzy, Związku Filmowców i Litfondu.

W czerwcu 1974 roku Galicz, chory na serce / po dwóch zawałach /, został zmuszony do wyjazdu za granicę. Mieszkał w Norwegii, a następnie we Francji. Na Zachodzie ukazały się w języku rosyjskim cztery jego książki: "Poemat Rosji", "Pieśni", "Pokolenie skazańców" i "Próba generalna"/proza/. Był współredaktorem rosyjskiego kwartalnika "Kontynent" wychodzącego w Paryżu i redagowanego przez wybitnych pisarzy rosyjskich /m.in. Bukowskiego, Bredskiego, Daniela, Gorbaniewską, Maksymowa, Siniawskiego, Sołżenicyna/, którzy w ostatnich latach znaleźli się na emigracji.

W listopadzie 1977 roku Galicz był jednym z uczestników "Biennale del dissenso" w Wenecji gdzie jego recital stał się wielkim wydarzeniem kulturalnym.

Zmarł tragicznie 15 grudnia, rażony prądem w swoim mieszkaniu paryskim.

W zmarłym tracimy w s z y s c y wybitnego i bezkompromisowego twórcę, odważnego i prawego człowieka.

Naszym Przyjaciółom Rosjanom zarówno na emigracji jak i w kraju pragniemy złożyć tą drogą wyrazy współczucia.

J.B.

W Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 10 grudnia 1948 roku, czytamy w art. 27: "Każda osoba ludzka ma prawo do swobodnego brania udziału w życiu kulturalnym swojej społeczności, do korzystania z dobrodziejstw sztuki i do uczestniczenia w postępie naukowym oraz w dobrach, które z niego wynikają". Art. 26 stwierdza: "Każda osoba ludzka ma prawo do wykształcenia". Trzy inne artykuły rzucają dodatkowe światło na sens tych zdań o swobodnym udziale w życiu kulturalnym, art. 18 mówi: "Każda osoba ludzka ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii. Prawo to zakłada wolność zmiany religii i przekonań jak również wolność ich manifestowania: indywidualnie, czy społecznie, publicznie czy prywatnie, przez nauczanie, praktyki religijne, kult i wykonywanie rytów". I art. 19: "Każda jednostka ma prawo do wolności opinii i słowa. Nie wolno więc nikogo niepokoić z powodu jego przekonań. Każdy ma prawo do szukania, otrzymywania i udzielania informacji przy pomocy wszelkich środków porozumiewania się i bez względu na granice". Wreszcie art. 20: "Każda osoba ludzka ma prawo do zebrań i tworzenia stowarzyszeń nie zakłócających porządku publicznego. - Nikt nie może być zmuszony do przynależenia do jakiegos stowarzyszenia".

Później ukazały się dwa dokumenty kościelne, które podejmują bardziej konkretnie ten tok myślenia, a doniosłość ich znacznie przekracza obręb Kościoła katolickiego. Mianowicie 11 kwietnia 1963 roku Jan XXIII, w encyklice *Pacem in terris* rozwijając i komentując wytyczne deklaracji ONZ, tak podsumował swoje na ten temat wskazówki: "Godność osoby ludzkiej wymaga, by człowiek w działaniu postępował według własnej rozważki i z zachowaniem wolności osobistej. Dlatego we wszelkiej społeczności politycznej człowiek powinien przede wszystkim z własnej inicjatywy i wyboru zachowywać prawa, wypełniać obowiązki i współdziałać z innymi w rozmaitych pracach i działaniach. Każdy więc ma działać zgodnie z własną inicjatywą, poglądami i poczuciem obowiązku, a nie - jak to często bywa - pod przymusem lub za namową z zewnątrz. Jeżeli bowiem jakaś społeczność ludzka opiera się tylko na przemocy, to nie ma ona w sobie żadnych cech ludzkich. Pozbawia się bowiem ludzi wolności, zachęca do ich rozwoju i dążenia do doskonałości /ustęp 34/ 1/.

Do praw człowieka w dziedzinie kultury nawiązywała też soborowa Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym z 7 grudnia 1965. Czytamy tam: "Jest właściwością osoby ludzkiej, że do prawdziwego i pełnego człowieczeństwa dochodzi ona nie inaczej jak przez kulturę, to znaczy przez uprawianie dóbr i wartości kulturalnych" /ust. 53/. Wymaga to, "by człowiek, zachowawszy porządek moralny, względ na powszechny użytek, swobodnie mógł szukać prawdy i opinie swoje głosić i rozpowszechniać oraz uprawiać wszelkie umiejętności; wreszcie wymaga, by zgodnie z prawdą był informowany o wydarzeniach publicznych. Do władzy zaś publicznej nie należy określanie właściwego charakteru form kultury ludzkiej, lecz dbanie o warunki i środki potrzebne dla podnoszenia kultury wśród wszystkich, w tym także wśród mniejszości narodowych. Trzeba więc przede wszystkim nalegać, by nie naginano kultury do służenia władzom politycznym czy ekonomicznym, odwracając ją od właściwego jej celu" /ust. 59/ 2/.

Bardzo to szczęśliwe, że w swojej historycznej wędrówce znaczna część ludzkości doszła do tego, że może się dziś w teorii zgodzić na takie sformułowania. Nie zagłębiając się w historię powiedzmy tyle, że zawdzięczamy to jak się zdaje trzem przede wszystkim nurtom, trzem siłom - chrześcijaństwu oraz dwu spadkobiercom Oświecenia: XIX-wiecznemu liberalizmowi /płodnemu zwłaszcza wtedy, kiedy atakował chrześcijaństwo/ i XIX-wiecznemu socjalizmowi /płodnemu zwłaszcza wtedy, kiedy atakował liberalizm/.

W teorii zatem nikt nie powie /wróćmy tu do sformułowania deklaracji ONZ/, że nie każda osoba ludzka ma prawo do swobodnego udziału w kulturze, albo że wolno niepokoić człowieka z powodu jego przekonań.

Kiedy jednak chodzi o praktykę, o wcielenie w życie owych szczytnych lecz ogólnych zasad, co krok budzą się wątpliwości. Punkt widzenia praktyczny i realistyczny zajmuje konstytucja soborowa, kiedy przypomina, że istnieją takie "warunki życia i pracy, które dążeniem kulturalnym ludzi stają na przeszkodzie i niweczą w nich zapas do kultury" /ust.60/. Jeżeli więc de facto nie wszyscy mogą korzystać z wyliczonych praw, może nie są to żadne prawa, tylko marzenia? Inne wątpliwości: co to znaczy, że - jak mówi deklaracja ONZ - każdy ma prawo do szukania, otrzymywania i udzielania informacji, skoro każde prawodawstwo próbuje chronić przed wścibstwem - czyli przed nadmiernym poinformowaniem osób trzecich - życie prywatne obywateli /"Nikomnie wolno arbitralnie wkraczać w sprawy prywatne", mówi art.12 deklaracji/, a tak zwane szpiegostwo przemysłowe, czyli chęć szukania, otrzymywania i udzielania informacji dotyczących np. patentów produkcyjnych, nie mówiąc nawet o szpiegostwie wojskowym, uchodzi wszak powszechnie za przestępstwo?

Takie i inne, mniej prostackie wątpliwości usiłują wyjaśnić art.29: "Jednostka ludzka ma obowiązek w stosunku do społeczności, w której jedynie jest możliwy wolny i pełny rozwój jej osobowości. W używaniu swych praw i wolności podlega tylko takim ograniczeniom, jakie są określone przez prawo dla zabezpieczenia odpowiedniego poszanowania praw i wolności innych ludzi oraz dla zachowania słuszných nakazów moralności, ładu publicznego i ogólnego dobrobytu w demokratycznym społeczeństwie".

Pięknie. Tylko co to znaczy odpowiednie poszanowanie praw, co to są za słuszne nakazy moralności i ładu? Te dwa niepozorne słówka skrywają ogromną amplitudę możliwości między marzeniem a rzeczywistością. Nie trzeba być relatywistą skrajnym, by zdawać sobie sprawę, że co jedni uważają za "odpowiednie" to drudzy wcale nie, a "słuszne nakazy ładu publicznego" bywają interpretowane w sposób który zdaniem np. postronnych obserwatorów jest raczej objawem przeraźliwego nieraz bezładu. Nie wiele wyjaśni nam zakończenie art.29: "Powyższe prawa i wolności nie mogą w żadnym wypadku być wykonywane sprzecznie z celami i zasadami Narodów Zjednoczonych".

Istotnie; wskazania ONZ nie powinny być sprzeczne ze wskazaniami ONZ. Teoretycznie wchodzimy tu w błędne koło /chyba, że owe prawa uznamy nie za czyjeś wskazania, lecz jak mówi Jan XXIII - za wypływające z samej natury człowieka, /ust.9/ praktycznie zaś nie bardzo wiadomo, czy cele i zasady tej instytucji lepiej ilustruje entuzjastyczne przyjęcie papieża, czy może Jasera Arafata; czy sankcje ekonomiczne wobec rasistowskiej polityki Unii Południowo-Afrykańskiej, czy Irak jakichkolwiek sankcji wobec losu Kurdów. Teoria i praktyka są tu - jak nieraz bywa na naszym padole - polarnie od siebie odległe.

- 2 -

Ale jest inny, równie istotny powód, który osłabia doniosłość najszlachetniejszych nawet postulatów, dotyczących praw człowieka w dziedzinie kultury. Mianowicie w samej istocie kultury leży to, że wynika się ona ujęciem czysto teoretycznym.

Jeśli spojrzymy na nią od strony osoby ludzkiej, wolno może postawić roboczo taką tezę: kultura, to usprawnienie do dokonywania wyborów. Otóż wyboru dokonuje się oczywiście wśród wartości, dodatnich lub ujemnych; i nie ma wyboru bez wolności wyboru. Toteż kultura, wartość i wolność są w różnych spekulatywnych systemach nierozłączne. Ale zwróćmy uwagę, że wybór, to nie jest kwestia spekulacji, tylko kwestia rozeznania w tym, co się rzeczywiście dzieje i czynnego /lub świadomie bezczynnego/ stosunku względem tego, co się dzieje.

"Działanie się" dotyczy również przeszłości: bo przeszłość, to nie są jedynie kopalne złoża cudzych dokonań, to świadomy, aktywny nasz stosunek do tych złóż,

Mówiąc tradycyjnym językiem filozoficznym i skłaniając się w tym punkcie

do minimalizmu należy przypomnieć, że kultura, wartość i wolność to nie są substancje, czyli były z krwi i kości, z ciała i ducha, tylko to są nazwy, które stosujemy analogicznie - więc bardzo rozmaicie - do opisu określonych sytuacji między ludźmi czy społecznościami, albo między człowiekiem a rzeczami, albo w człowieku samym. Nie istnieje wolność poza konkretnym i bardzo różnym w różnych sytuacjach używaniem jakiejś wolności /można je także postulować lub do niego dążyć, ale - wbrew częstym pozorom - nie sposób dążyć do wolności "jako takiej"/, nie istnieje wartość poza konkretnymi dobrami duchowymi lub fizycznymi, nie istnieje kultura w oderwaniu od konkretnych ludzi. Chociaż więc rodzajową cechą człowieka jest tworzenie pojęć - także pojęć oderwanych - to wydaje się, że mówienie o kulturze w ogóle, o wartości w ogóle i o wolności w ogóle oraz przypisywanie im takich czy innych cech, zasobów funkcjonowania i stosunków wzajemnych, jeśli nie zakorzenia się w życiowym konkreście, jeśli nie jest przez ten konkret wyjaśnione, sprawdzane i korygowane, jeśli nie istnieje ciągła wymiana usług między teorią i praktyką wówczas mówienie takie musi pozostać w sferze mglistych ogólników. Grozi to również próbom takim jak Deweya, który określił wartości, jako naturalne dzieło ludzkich działań, a wolność, jako rozumny i dynamiczny wybór środków dla osiągnięcia tych celów;<sup>4</sup> albo takim, jak McKenna, który mniema, że "w teorii możemy wybierać między dwiema hipotezami: że człowiek aby być wolnym musi działać w świetle wartości, albo że człowiek musi być wolny aby tworzyć i oceniać wartości"<sup>5</sup>.

Ta teoretyczna alternatywa nie daleko chyba prowadzi. Bowiem działanie w świetle wartości zastanych byłoby bezwzględne, jeśli to działanie pozbawić czynnika oceny jakiegoś stopnia współtwórczości; a z drugiej strony - nikt nie tworzy wartości od zera, nikt nie jest prapoczątkiem: wszyscy jesteśmy potomkami, z wyjątkiem Adama /choć i to niektórzy poddają w wątpliwość/.

Jeszcze jedna przyczyna faktu, że tak trudno - mówiąc o kulturze - rzucić most między podniebnymi ogólnikami a zgrzebnym konkretem, to szczególny podział kompetencji. Mianowicie wartością interesują się głównie filozofowie /niektórzy/, o wolności mówią głównie politycy /wszyscy/, kulturą natomiast - i nią jedną, ale w oderwaniu od wartości i wolności - zajmowano się konkretnie: poszczególne kultury badają socjologowie, zwłaszcza zaś antropologowie i etnologowie. Kulturę rozumieją z grubsza tak jak ją definiuje pani Kłoskowska: "Kultura jest to względnie zintegrowana całość obejmująca zachowanie ludzi przebiegające według wspólnych dla zbiorowości społecznej wzorów wykształconych i przyswajanych w toku interakcji oraz zawierające wytwory takich zachowań"<sup>6</sup>. Jest to więc podejście formalne: antropologowie rzadko stawiają sobie pytanie, w jakim stopniu owe wzory i zależne od nich zachowania są wartościowe lub bezwartościowe, rzadko też interesuje ich, czy owa względna integracja kultury wynika np. z nieznamośności kulturowych alternatyw, czy z technik wychowawczych, czy z przymusu, czy z umowy społecznej - czy ze struktur przedustawowych, w jakim stopniu zależy od wyboru a w jakim od - konformizmu? Jeśli zaś od konformizmu, to jakie szanse zostawia integracja dla nonkonformizmu? Prawdę mówiąc antropologowie na ogół wolą, żeby tych nonkonformizmów za dużo nie było, bo ładniej im wówczas wychodzi model kultury integralnej. Mogą tu zresztą powołać się na /powiedzmy tak/ "prawo Gurvitcha": "Stopień wtopienia się jednostki we wspólnotę i ciśnienie, jakie odczuwają członkowie tej wspólnoty, stoją w stosunku odwrotnie proporcjonalnym"<sup>7</sup>. Znaczy to, że im większa integracja, tym mniej odczuwa się w obrębie danej zbiorowości jakiegokolwiek formy ciśnienia, względnie ucisku. Zatem im większy stopień integracji, tym /zdawałoby się/ lepiej.

Tu jednak zjeża się las nowych pytań - o wartości nonkonformizmu dla rozwoju kultury /bo wszakże gdyby konformizm był zupełny, nic by się nigdy nie zmieniło/, o różnicę między konformizmem, wynikającym ze społecznej natury człowieka a konformizmem, wynikającym z jego słabości, o integrację jako bazę żywego ładu społecznego lub integrację, jako przyczynę społecznego skostnienia... Zapewne w każdej badanej zbiorowości te sprawy wyglądałyby odrębnie, swoiście; próby odrywających się od konkretnu uogólnień narażone byłyby nieuchronnie na ową bezpłodną spekulatywność, na "upiorowe myślenie myślenia" /Norwid/.

A jednak - mając w pamięci to niebezpieczeństwo - próbować trzeba.

Spróbujemy zatem sformułować pewne wybrane zasady, które wydają mi się wspólnymi mianownikami różnych kultur i może pozwalają jaśniej zdać sobie sprawę z głębszego sensu praw człowieka w obrębie kultury.

Zasada pierwsza: Nie ma grupy społecznej, która by była pozbawiona kultury. Nie wiadomo czy jest to stwierdzenie radośnie czy raczej przerażające. Oznacza ono, że tak jak nie ma sytuacji, w której by człowiek, dopóki żyje, przez czas dłuższy nie pochłaniał tlenu i nie wytwarzał dwutlenku węgla, tak samo jakaśkolwiek grupa ludzka nieomal od chwili swego powstania produkuje kulturę i wchłania ją: czy to będzie klasztor czy mafia, grupa społeczna więźniów czy np. aktorów filmowych - bardzo szybko grupa taka zaczyna się wyodrębniać własnymi sposobami mówienia, własnymi manierami, własnym - choćby szczątkowym tylko lub zalążkowym - rytuałem, własnymi zasadami lojalności czy wrogości, własną historią lub mitologią, jednym słowem własną - choćby tylko kadłubową - kulturą. I dopiero wszystkie takie kultury łącznie stanowią układ swoisty kultury globalnej danego społeczeństwa.

Otóż trzeba stwierdzić, że cechy kultury istnieją nawet tam, gdzie - ze względu na zatrutą glebę, na jakiej dana kultura grupowa wyrosła - są one patologiczne; gdzie wartości, jakimi się ta kultura rządzi, są pozorne lub zgoła odrażające; gdzie człowiek, jakiego ona formuje, jest skrzywiony. A przecież nie tylko cechom formalnym kultury, lecz by tak rzec jej potrzebie psychologicznej w jakiejś mierze /co prawda nędznej/ staje się wówczas zadość. Tomasz z Akwinu powiedział, że kto nie może oddawać się namiętnościom wysokim, skazany jest na namiętności niższe. Jeśli Cosa Nostra w jakimś namiastkowym stopniu zaspokoi głód swoich członków do interakcji, to znaczy do artykułowanych stosunków międzyludzkich, i do wyboru wartości, choćby takich jak prawdomówność wobec ojca chrzestnego lub odwaga w bandyckich wyprawach, wówczas w poczuciu członka tej grupy może to być - jak śpiewa Wojciech Młynarski - "pełna kultura. Oczywiście w społeczeństwie globalnym ryzyko takie niepomiarne się zmniejsza, zwłaszcza ze względu na pluralizm tego społeczeństwa, przeciwważenie się i uzupełnianie wielu grup: pomijając zbiorowości przestępczo można chyba powiedzieć, że jeśli nadmiernie kurczy się ilość różnych grup społecznych oraz ich samodzielność, ryzyko kulturowych namiastek wzrasta. Jednakże powszechna Deklaracja Praw Człowieka stanowi chyba nie zły termometr do mierzenia temperatury tych drobnych niekiedy, ale ostrzegawczych procesów patologicznych, na które w rozmaitej mierze cierpi każda kultura globalna.

Zasada druga: poważnym zagrożeniem kultury jest nie tylko słabnięcie czynników integrujących, lecz także zwięźnienie się możliwości wyboru. Integracja, która by się równała zamknięciu jakiejś kultury samej w sobie, jest nic nie warta: musi wywołać sklerozę. Zwięźnienie możliwości wyboru oznacza, niekiedy, że we własnym odczuciu człowiek może wybierać tylko między mniejszym a większym złem, lub między konformizmem a heroizmem. Obie alternatywy prowadzą do otepiałłości sumienia, jeśli nie do cynizmu. Utrwalona zgoda na tzw. mniejsze zło musi bowiem działać demoralizująco, ale stała konieczność decyzji; heroizm czy konformizm - dają skutki statystycznie podobne, bo jak dobrze wiemy nie sposób na codzienność wymagać w skali społecznej heroizmu.

Zasada trzecia: Krwioobieg kultury, szanującej prawa człowieka, jest swobodny przepływ informacji i swobodna wymiana poglądów. Tu trzeba zejść z uogólnień i powiedzieć kilka słów o cenzurze w Polsce. Oczywiście i tu - jak wszędzie - należy się strzec, by nie wpaść w idealistyczne abstrakcje, w upiorkowe myślenie myślenia. Od jednej tylko kwestii konkretnej godzi się abstrahować: od intencji poszczególnych cenzorów, od ich zapatrywań na własną funkcję, od stopnia gorliwości w jej pełnieniu, od ich subiektywnych przesłanek ideowych. Nieszczęściem, jak dobrze wiemy, jest sama ta intencja i szerzej: sama zasada. Nieokreślone jej działanie jest ciężkim kalectwem całego polskiego

życia społecznego. Rzecz jest tak oczywista, że z pozoru nie wymaga komentarzy, ale w obrębie naszego tematu nie wolno jej pominąć. Między wieloma innymi pisał o tym rozsądnie Stanisław Ossowski, ale nikomu nie udało się takich rozważań wydrukować.

Cenzura - po pierwsze - tamuje przepływ informacji. Arbitralna ich selekcja wykrzywia nawet te, które do wiadomości publicznej docierają, i budzi zrozumiałą do nich nieufność. Owo zatykanie kanałów informacyjnych ma zgubne skutki nie tylko dla społeczeństwa lecz i dla władzy: tzw. dialog i wzajemna znajomość staje się fikcją. Po każdym wstrząsie politycznym dowiadujemy się oficjalnie tego, o czym wszyscy już i tak wiedzieli na poprzednim etapie dawno przed wstrząsem - ale publiczne sformułowanie wówczas tej wiedzy i nieuchronne w takim wypadku wyciągnięcie konsekwencji mogło się być przyczynić do uniknięcia wstrząsu i rozlewu krwi.

Niejawność polskiego życia ekonomicznego spowodowała m.in. wydarzenia w roku 1976: nie chodzi tu bynajmniej o sam fakt podwyżki cen, która w jakimś stopniu była na pewno konieczna, lecz o długotrwałą dezinformację i metodę zaskoczeń. Niedawno dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o naszej gospodarce, które za polskimi ekspertami powtórzyła prasa francuska; ale nigdy nie przekazała nam tych informacji prasa polska. I jeszcze jeden przykład: każda gazeta bije na alarm z powodu zanieczyszczenia wody i powietrza. Ale kiedy była jeszcze pora przedsięwziąć podstawowe działania zapobiegające, kiedy prof. Goetel gromadził dane na swoim seminarium, w druku nie można było pisać o tym ani słówka.

Podobnie jak w polityce i ekonomii, niejawność panuje i w dziedzinie kultury. Tamowanie informacji obejmuje zarówno teraźniejszość jak historię. Jeśli kultura, to - powtórzmy - usprawienie do dokonywania wyborów, również w tych zasobach, jakie zostawiła nam przeszłość, w takim razie wszystko, co utrudnia poznanie owych zasobów, podcina sam korzeń kultury. Nie trzeba w tym punkcie przypominać, że wydaliśmy po wojnie Mickiewicza, Fredrę i Żeromskiego /choć okrojonego/. Wiadomo, że w trzydziestoleciu osiągnięcia w poznawaniu naszego dziedzictwa mamy nie byle jakie. Ale to jest jeden z fatalnych nawyków, jakie zawdzięczamy cenzurze: każdą, najskromniejszą nawet uwagę krytyczną owijać w grubą warstwę pochwał i samozadowolenia. Nie trzeba. Ludzie mają swój rozum i swoją pamięć, a te pochwalne frazesy wywołują tylko irytację. Wolno natomiast stwierdzić, że gdyby cenzura funkcjonowała dawniej tak sprawnie jak dziś, to niewiele mielibyśmy z tego, czym się obecnie szczycimy. M.in. nie istniałaby polska literatura polityczna, od Frycza Modrzewskiego poprzez Skargę aż do Kołłątaja czy nawet do Satyr Krasickiego. Chyba, żeby ci panowie wydawali za granicą, jak to się staje dzisiaj losem niejednego polskiego myśliciela: nie możemy swobodnie czytać ani dyskutować w prasie książek, które by na pewno przewentylowały niezbyt pobudzającą umysłowo atmosferę naszej kultury. Szczęściem mieliśmy ostatnio kilka znakomitych filmów, ale poważna nad nimi refleksja była jak wiadomo systematycznie cenzurowana - żalosna dyskusja w "Kulturze" o "Człowieku z marmuru" drastyczny przykład tego, do czego prowadzi cenzura. O każdym z jej uczestników można by powiedzieć za Heinem, Vielredner ist er und Sagenichts. Za granicą mieszka i publikuje najwybitniejszy zapewne współczesny polski poeta, Czesław Miłosz. Dlaczego nie możemy wydać go w Polsce? Kto na tym korzysta? W naszym życiu literackim jego poezja odgrywa rolę ważną, choć niestety niejawną i elitarnie ograniczoną, a w przyszłych historiach literatury i antologiach Miłosz i tak zajmie należne sobie miejsce. Pamiętany będzie również jako twórca, którego nie można było czytać we własnym jego kraju. Po co dawać naszym wnukom materiały do takiej oceny teraźniejszości, czemu opóźniać rozwój kultury, odpychając na potem /bo zlikwidować się ich nie da/ wartości, które powinny wejść w krwioobiegi polskiego życia właśnie teraz, w momencie kiedy jawią się, jako próba odpowiedzi na znaki czasu?

Po drugie - cenzura osłabia poczucie odpowiedzialności za słowo i poczucie praworządności. Każdy kto podejmuje działalność publiczną winien wiedzieć, jaka jest jego sytuacja wobec litery i ducha praw. "Wolność prasy /to słynne oświadc-



czenie złożył Chief Justice Mansfield w drugiej połowie XVIII wieku/ - wolność prasy polega na drukowaniu bez uprzedniego pozwolenia, a jedynie z narażeniem się na ogólne następstwa prawa". Zarówno ustawy - stanowione przez przedstawicieli społeczeństwa w oparciu o szeroką opinię jak też ich interpretacja oraz ich funkcjonowanie muszą - rzecz prosta - być jawne: dzięki temu kształtuje się nie tylko kultura prawna zbiorowości, lecz i samo prawo ulega ciąglemu doskonaleniu. Oczywiście nie ce ludzkie nie jest w pełni doskonałe. Za wszystko też trzeba płacić: za wzrost kultury prawnej płaci się być może powolnością, nawet bezkarnością - do czasu - różnych przestępczych poczynań, ale warto, postokroć warto taką cenę płacić w zamian za obniżenie zarządzeń w aparacie sprawiedliwości, za jawne doskonalenie go przy pomocy jedynej dostępnej człowiekowi metody - metody prób i błędów, w zamian za społeczne poczucie prawa i zaufania do prawa.

O ile wiem dwie tylko poważne książki stanęły w dwudziestolecie międzywojennym pod pręgierzem amerykańskich ustaw obyczajowych: "Ulises" Joyce'a i "Kochanek Lady Chatterley" H.H. Lawrence'a. Pierwsza została zatrzymana przez władze celne w porcie nowojorskim, drugiej nie chciała rozprowadzić poczta i wytoczyła proces amerykańskiemu wydawcy. Obie książki zostały jednak wyrokami sądów dopuszczone do sprzedaży. Warto poczytać uzasadnienie tych wyroków, pamiętając zarazem, że obie książki uchodziły w swoim czasie nawet wśród liberalnych i podziwiających je krytyków za szczyty nieprzyzwoitości<sup>9/</sup>. Otóż wypowiedzi sędziów są pięknym przykładem nie tylko kultury prawnej, ale kultury w ogóle: rozpatrują szczegółowo i rozumnie problemy takie, jak psychologiczne działania lektury na różne kategorie czytelników i sensowność pojęcia L'homme moyen sensuel, jak funkcje estetyczne i moralne literatury, jak znaczenie w tym wypadku słynnej Pierwszej Poprawki do konstytucji USA itp. itd. Dodajmy, że z okazji sprawy "Kochanka Lady Chatterley" przemawiało 25 członków Kongresu, że opinia śledziła obie sprawy z ogromnym zainteresowaniem i że stały się one precedensowe dla prawniczego pojmowania nieobyczajowości /nie mówiąc o tym, że precedensy w takich sprawach sięgają w ustawodawstwie anglosaskim wstecz od roku 1538/. Zapyta ktoś, jak w przedwojennym szmoncesie: czy pan sędzia /i pan kongresman/ nie ma już większych smartwien? Odpowiadam, że w pownym sensie nie ma: nie tylko ze względu na przedmiot sporu, ile na jego przebieg. Mimo wszelkich mankamentów wczorajszych i dzisiejszych permissive societies, jednakże ogromne znaczenie wychowawcze ma tego rodzaju lekcja praworządności.

Po trzecie - cenzura odzwyczajają nas od myślenia. Mówić jak najwięcej ale tak, żeby powiedzieć jak najmniej /Vielredner und Sagenichts/, unikać precyzowania faktów i naturalnie unikać tzw. kontrowersyjności. Bo skreślą. Tak jakby - poza całkowitymi banałami - w ogóle istniały poglądy, które by nie były dla kogoś kontrowersyjne.

Zarażeni tą atmosferą, już nauczyciele uczą mowy - trawy: szkolny ideał, to wypracowanie długie, bezbarwne i ogólnikowe. Owszem w telewizji np., która jakże mogłaby być pomocą w nauce samodzielnego myślenia, bywają dyskusje: czy Szarmach... czy Latos... czy Fibak... Poza tego rodzaju kontrowersje na ogół nie wychodzimy. Norwid to powiedział, że Polacy nie umieją pięknie się różnić między sobą. Jeśli mamy się różnić tylko cichaczem, będziemy nieuchronnie różnić się coraz krzydziej. Szkoda.

Wśród wielu przyczyn tego stanu rzeczy chciałbym podkreślić tylko jedną. Jest nią wadliwa psychologia: traktowanie ludzi dorosłych ad instar puerorum, przekonanie, że przeczytają w życiu tylko tę jedną, właśnie inkryminowaną książkę, zobaczą jeden film, posłyszają jedyną jedyną opinię. Bywa, że jakaś kultura prowadzi do ślepego zaułka unius libri - jednej /czerwonej/ książeczki - ale to nie wydaje się ani korzystne psychologicznie ani zgodne z prawami człowieka.

Charakterystycznym symptomem traktowania ludzi jak dzieci jest w informacjach przewaga komentarza nad faktem. Niekiedy taka znaczna, że w końcu

komentarz całkiem się od faktu odrywa i zaczyna samodzielne choć nierealne życie. Znowu błąd psychologiczny. Dawno zwrócił na to uwagę taki znawca duszy ludzkiej, jak św. Ignacy Loyola: "Ten, który przekazuje innym metodę i porządek medytacji lub kontemplacji, winien wiernie opowiedzieć historię tej kontemplacji lub medytacji /.../, z krótkim jeno objaśnieniem; gdy bowiem osoba, która kontempluje, uchwyci sedno tej historii /.../ czy to dzięki własnym rozważaniom, czy dzięki oświeceniu umysłu przez łaskę, otrzyma ona bardziej pożywne owoce duchowe niż wówczas, gdyby prowadzący ćwiczenia szczegółowe wyjaśniał sens owej historii. Bo duszę karmimy nie wtedy, kiedy dużo wiemy, lecz kiedy rzecz wewnętrznym rozumieniem i rozgryzamy"<sup>10/</sup>. Inaczej mówiąc: ważna dla rozwoju człowieka jest nie obfitość komentarza, lecz samodzielne pojmowanie faktu.

Zacytujmy na koniec wybitnego francuskiego prawnika: "Im bardziej kulturalny jest jakiś naród, tym bardziej odczuwa potrzebę rządzenia samym sobą i tym bardziej ma prawo do samorządu. Twierdzą też, że obowiązkiem rządzących jest prowadzić narody ku ich dojrzałości. I wyciągam taki wniosek: wolność demokratyczna jest ustrojem narodów dojrzałych"<sup>11/</sup>.

Zasada czwarta: W kulturze rozwój odbywa się zawsze stopniowo i powoli. Może w innych dziedzinach życia społecznego zdarzają się skoki jakościowe, na pewno zdarzają się rewolucyjne zmiany systemów politycznych czy ekonomicznych. W naturze jednak i kulturze chyba tego nie bywa. Jeszcze Linneusz powiedział, że "natura non facit saltus". Nie wiem, co dzisiaj myślą o tym przyrodnicy, ale kultura rzeczywiście nie skacze, "cultura non facit saltus". Jeśli jej się zdarzy pod naciskiem jakichś przemożnych bodźców pozorować skok, to przy pierwszej sposobności wraca do rzekomo przeskoczonego ogniwa i z wielkim nieraz mozołem nadrabia straty.

Współczesny rozwój techniki nauczył nas stawiania na szybkość i na rezultat od razu wymierny. Tymczasem kultura wymaga cierpliwości, długotrwałego dojrzewania i precyzowania się postaw w ogniu dyskusji i działań, w światłach tradycji, rewidowanej wciąż od nowa. Można by o kulturze powiedzieć to, co napisał Raymond Aron o staroświeckim parlamentarystyce, analizując powolne tempo debaty i skomplikowaną strukturę checks and balances, która miała wszakże być - i nieraz była - gwarantem wolności: "To, co wczoraj budziło dumę ustawodawców, dzisiaj doprowadza do rozpaczki techników"<sup>12/</sup>.

Zasada piąta: nazwijmy ją generalską.

Więc przestańcie udawać lwy /wzywał Julian Tuwim generałów/ -  
Śmieszni ludzie, obwieszani gwiazdami.  
Pamiętajcie, że tutaj - My,  
Zamyśleni przechodnie,  
My jesteście tu generałami.

Raymond Aron podkreśla, że rozwój techniki czy np. ekonometrii tylko pozornie uniemożliwia laikom podejmowanie takich decyzji, w których rolę gra ekonomia czy technika. Po pierwsze - "poziom. rozumienia, wymagany od uczestników dialogu wewnątrz państwa, jest wyższy niż dawniej, ale dzisiaj tak samo jak wczoraj przewyższa poziom, do którego dochodzi większość obywateli. Nie jest jednak nieosiągalny dla światłych, lub, jeśli kto woli, dla ludzi kulturalnych"<sup>13/</sup>.

Jeśli sprawa tak wygląda w decyzjach, implikujących technikę, to cóż dopiero w kulturze. Stańczyk mógł sobie kpić z Polaków, że każdy zajmuje się medycyną, ale nie mógłby się wyśmiać się z tego, że tylu z nas przejmuje się sprawami kultury. Tu nie ma fachowców. A już najmniej powinien się wtrącać do treści kultury urzędnik od kultury, bo nieraz droższe od kultury są mu urząd i urzędowanie.

Panowie! Przestańcie udawać lwy!

Zasada szósta: - naczyni połączonych. Praworządność albo panuje w każdej

dziejnie, albo jej w ogóle nie ma. Tertium non datur. Jeśli kulturę administruje się przy pomocy tajnych i niezgodnych z prawem zaleceń oraz list poskrycyjnych, to trudno się dziwić, że społeczeństwo nie dojrzywa do praworządności

Kultura, jako usprawnienie do czynnego wyboru, jako znajomość i wycucie tego, co dla każdego z nas i dla wszystkich razem żywe w przeszłości i cenne na przyszłość, jako uprawianie dóbr i wartości naturalnych, aby - wedle słów konstytucji soborowej /ust.53/ - człowiek się doskonalił a życie społeczne stało się bardziej ludzkie, tak rozumiana kultura jest najściślej związana z prawami człowieka; i właśnie dlatego, że musimy do niej stopniowo dojrzywać jest sprawą najbardziej własną każdego z nas, sprawą nas wszystkich. Ośmielała i nakłada obowiązek, żeby się nad nią wspólnie zastanowić.

-----

- 1/ Papiież Jan XXIII, Encyklika o pokoju /.../ *Pacem in terris*, Paris 1963. Tom ten zawiera również pełny tekst Powszechnej Deklaracji Praw Człowiek
- 2/ Sobór Watykański II: konstytucje, dekrety, deklaracje, tekst łacińsko-polski, Paris 1967.
- 3/ G.Sartori, *Democrazia o definizioni*, 1957 II Mulino, s.203: "la liberta polityca consiste in un esecizio di liberta".
- 4/ J.Dewey, *Experience and Natura*, 1925, s.302. Cytuje i streszcza M.Roale, *Liberte o valore*, w: *Atti del XII Congresso Internazionale di Filosofia*, tom I, Firenze 1958, s.67-68 i 71.
- 5/ R. McKeon, *Freedom and Value*, w: *J.W.*, s.111.
- 6/ A.Kłoskowska, *Kultura Masowa*, Warszawa 1964, s.48.
- 7/ G.Gurvitch, *La vacation actuelle de la sociologie*, Paris 1950. Cytuje G.P.Prandstraller, *Valori e liberta*, 1956 Edizione di Comunita, s.48. Zdanie Gurvitcha sparafrazowane.
- 8/ M.Amòs, *Konstytucja angielska*, przeł.M.Szerer, Warszawa 1938, s.223.
- 9/ T.J.Murphy, *Censorship: Government and Obscenity*, 1963 Helicon.
- 10/ Św. Ignacego cytuje W.E. Lynch, *JS, The Intergrating Mind*, 1962, Sheed and Ward, s.82.
- 11/ J. Barthelemy, *La crise de la democratie contemporaine*, Paris 1931, s.225.
- 12/ R.Aron, *Essai sur les libertees*, Paris, 1965, s.68.
- 13/ *Ibm.* s. 194-195.
- x/ patrz: "Puls" Nr 1, październik 1977

Zamieszczony powyżej esej Jacka Woźniakowskiego był wygłoszony na sesji "Chrześcijananie wobec praw człowieka" w Warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej oraz w krakowskim ośrodku niezależnych inicjatyw kulturalnych przy klasztorze Sióstr Norbertanek. Tekst publikowany w "Pulsie" jest transkrypcją zapisu magnetofonowego.

Jacek BIEREZIN

## N O W Y R O K

Był styczeń roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego  
 czwartego piątego szóstego  
 Gdziegdzie w Europie zachodniej zaczynał się wiek dwudziesty  
 W Warszawie słońce wschodziło normalnie o godzinie 7<sup>40</sup>  
 Szkoły witały dzień hymnem narodowym  
 Odbywały się lekcje wychowania fizycznego i obywatelskiego  
 Z zajęć praktycznych narazie zrezygnowano  
 ze względu na zmniejszanie się mniejszości narodowych  
 W aulach uniwersyteckich językoznawcy wykładali  
 zasady składni polskiej  
 W rezerwach dla profesorów zainstalowano sztuczne słońce  
 Deszcz był na indywidualne zamówienia  
 W tych warunkach mogły powstawać coraz to nowe  
 dzieła o dobrej robocie  
 W sąsiednim kraju dla ratowania budżetu państwa  
 wymieniano Żydów na pszenicę kanadyjską  
 co można by uznać za przykład dobrej roboty  
 Nasi dzielni obrońcy pokoju  
 dzięki tropikalnym koszulom czuli się dobrze  
 Einstein i Sacharow nadal oczekiwali aresztowań  
 Partie nazistowskie nie agitowały Systemy były monopartyjne  
 Występował jedynie teatr "Eref" który jednak nie jest partią  
 Wzrosła liczba znaków nakazu i zakazu  
 Znaki ostrzegawcze informowały o niebezpiecznych zakrętach  
 w lewo lub w prawo a także o skrzyżowaniu z drogą podrzędną  
 Nie licząc jednej komety znaków na niebie nie było  
 Zmęczone pociągi zwiększały kilkakrotnie obszar kraju  
 Zmęczeni ludzie nie wiedzieli albo nie widzieli  
 I nikt naprawdę nie wierzył że jutro zaczyna się dziś  
 I nikt się nie domyślał że dziś już było za późno

## WIERSZ ODŚWIETNY O CODZIENNYM MILCZENIU

Milczymy o wygnaniach naszych czasów  
 skazanych na wolność za oceanem  
 Milczymy o Najwyższej Radzie  
 O Sołżenicynie i Brodskim  
 O dalekich żaglach pod północną gwiazdą  
 Braterskie milczenie zrównuje oprawcę i ofiarę  
 milczymy w pustyniach naszych dusz  
 o pustyniach w duszach przodków  
 Bryła naszego świata nie ruszona z posad  
 Trwa w milczeniu od lat  
 Milczymy także o codziennym milczeniu  
 Mój kraj staje się największym na świecie  
 eksporterem publicznego milczenia  
 Późną nocą kiedy zasypiamy bez słowa  
 ożywa milcząca wrzawa zebrań  
 Przez nasze sny i dusze idą pielgrzymki wygnaniów.

Adam MICHNIK

## POETA EPOKI PASKIEWICZOWSKIEJ

Wśród wydarzeń literackich roku 1975 z pewnością zasługuje na uwagę ogłoszenie drukiem nieznanych utworów poety epoki paskiewiczowskiej, Erazma Szczurowskiego.

Feldmarszałek Paskiewicz, przypomnijmy, był namiestnikiem Królestwa Polskiego od roku 1832 do swojej śmierci w roku 1856. Smutna to była epoka. Historycy niechętnie się nią zajmują, to i niewiele się wtedy działo, i mało co pokrzepia tu serca. Mieszkańcy Królestwa nie byli w swej większości romantykami; spiskujący kontestatorzy stanowili znikomą garstkę. Polityki realistycznej nie prowadzili również, gdyż nie było na taką miejsca w istniejącym systemie rządów. "Realizm polityczny" - w języku XIX wieku - to nic innego jak ugoda, tej jednakże chcieć musiałyby obie strony. Kiedy jedna ze stron - ta silniejsza - nie chce, wszelkie poczynania ugodowe strony słabszej prowadzą jedynie do samoupodlenia. Stało się też ono udziałem większości ugodowców działających w paskiewiczowskim ówierćwieczu.

Smutna to była epoka. Zaborca zlikwidował konstytucję, swobody polityczne, wolną prasę i wyższe uczelnie; zmasakrowano kulturę narodową i nieprzeniknioną zaporą oddzielono Królestwo od zachodu Europy. Elita umysłowa, polityczna i artystyczna znalazła się na emigracji. Tam tworzono zręby nowych programów politycznych; tam publikowali swe dzieła najwybitniejsi artyści. Kraj tonął w marazmie, bożwładzie umysłowym i czarnej beznadziei. Na tle emigracyjnych olbrzymów - Mickiewicza, Słowackiego czy Chopina - oficjalni artyści z Królestwa wydają się karłowaci, niowydarzeni. Podkreślmy: oficjalni, gdyż byli także pisarze nieoficjalni czy półoficjalni, drukujący rzadko, o Cytadeli i konspirację ocierający się często, przez krytykę i salony nie uznawani wcale.

Udziałem oficjalnej literatury - miałkiej, dworskiej i pokornej - było dążenie do przetrwania. Płacono za to bardzo wysoką cenę. Tchórzliwość, serwilizm, żakosne chytrostki - taki był chleb codzienny owych autorów. "ywiony tym chlebem, pisarz przeobrażał się w coś na kształt szczura, ale na ogół niechętnie przyznawał się do swej szczurzej egzystencji - częściej opiewał urodę pejzażu mazowieckiego bądź zwinność weneckich gondolierów. Znaczenie i oryginalność ostatnio odkrytego poety polega na tym, że inaczej niż inni pisze to, co myśli, jasno, szczerze i bez szczególnego kamuflażu.

X

X

X

Tam, w samym sercu gówna, w gnojowisku  
 Najlepiej jest przeczekać niedobłą godzinę  
 Kiedy się skończy - wyleźć. Sprawdzić czy na pysku  
 Jakiś smród nie pozostał. Splunąć starą ślinę

I oddychać szeroko piersiami wolnymi  
 I ulecieć wysoko nad pokonanymi  
 Co nie umieli się w larwy przewinać  
 Zet onąć, zmilknąć i znowu wypłynąć

I dostąpić w zaduchu brzęczenia, trąbienia  
 Wspólnoty stada i wtajemniczenia  
 Wśród nowych much, co huczą nad swojską padliną.

Oto "pomyśl na życie" narratora tych wierszy; oto zakreślona przezeń wizja własnego narodu. Nie, ani myślę gniewać się na Szczurowskiego za to niezbyt

może eleganckie przyrównanie własnej społeczności do gnojowiska. Poeta ma prawo do metafory; rządy paskiewiczowskie do takiej właśnie metafory prowokowały; słuszenie wreszcie pisał inny poeta debiutujący w paskiewiczowskiej Warszawie, iż nie "ten ptak kłała własne gniazdo, co je kłała", lecz "ten, co mówić o tym nie pozwala". Ale... po chwili namysłu zakrada się podejrzenie, iż nie mamy wcale do czynienia z autentycznym "kalanion gniazda", lecz raczej z falsyfikatem, ze zręczną imitacją romantycznego krytycyzmu. Jeszcze po chwili traść wiersza - z pozorów przejrzysta - mętnieje, by znów się rozjaśnić w sposób nieoczekiwany. Wiersz wydaje się świadomie pozbawiony wyraźnego adresu, brak precyzji nie jest tu przypadkowy. W ten sposób zrównani zostają gnojący i gnojoni, pozbawiony skrupułów promitent literacki ze stroniącym od paskiewiczowskiego dworu Norwidem; ten, który pisze donos, z tym, na którego donos jest pisany; szpiseł ze spiskującym studentem; torturowany Karol Levittoux ze swymi oprawcami; ofiara z katem. To prawda: paskiewiczowska dyktatura deprawowała i zubożała duchowo wszystkich - policjantów i więźniów. Ale czy tym samym jest pauperyzacja duchowa, która czyni nadrzędnym pytanie: jak mego przeciwnika zniewolić? - oraz obsesyjnie nawracający problem: jak się nie dać zniewolić przez przeciwnika? Zamącenie tej różnicy jest istotnym elementem myślenia o świecie Szczerowskiego i jego stronnictwa literackiego.

x

x

x

"Spi reduta Orдона. Bóg płomienną świecą  
Nie dotknął prochów świata, wszystko zostało  
Jeszcze twardsze niż było. Ani się rozleca  
Imperia krwią zlopienie... Nawet nie zagrzaiało

Dziś tutaj cisza taka - jakby nic nie było  
Tuż pod sercem Warszawy - jakby ta płomienie  
To ogniem oczyszczenie, to ziemi wstrząśnienie  
Tylko się w zapomnianych bajkach przysniło

Może lepiej nie czekać, może nie wspominać  
Może nie naszeptywać do ojca do syna

Może na tym pęknięciu, na historii bliźnie  
Uprawiać pomidory - tak służąc ojczyźnie ?"

Jest w tym wierszu - jak i w innych - pewien określony pogląd na historię i ojczyznę. Historia jest tu czymś statycznym, trwałym, raz na zawsze przesądzonym. Kolejne klęski kolejnych redut Orдона zdają się tę niezmienną potwierdzać. Historia jawi się Szczerowskiemu jako nieprzerwany pochód zwycięstw silnych i bezwzględnych ludzi władzy oraz jako równie nieprzerwane pasmo klęsk słabych i naiwnych - choć zbrojnych w szlachetne wartości - wyznawców idei humanistycznych i demokratycznych. Upadają władcy, przemijają ustroje, ale jest to jakby tylko zmiana much obsiadających kałużę - społeczeństwo. Zważmy: Szczerowski dotyka istotnej prawdy stwierdzając, że niesprawiedliwość i krzywda są trwałymi składnikami ludzkiego bytowania. Przemilcza wszelako, iż równie trwałym składnikiem człowieczej egzystencji jest sprzeciw wobec niesprawiedliwości i krzywdy. Historia i ojczyzna przestają być w tym ujęciu zadaniem, czymś co trzeba codziennie współtworzyć i za co przyjmuje się współodpowiedzialność; historia i ojczyzna stają cudzym dziełem i wciąż tą samą jednakowo cuchnącą kałużą. A skoro tak, to w każdej kałuży można się bez zbytnich zahamowań nurzać /zwłaszcza, gdy jest to metoda na "przeczekanie złej godziny" - aliści czy na tym najlepszym ze światów bywają "godziny dobre"?.../.

Bo cóż w tym kontekście znaczy służyć ojczyźnie uprawą pomidorów? Oznacza to - nade wszystko - pewną postawę wobec rzeczywistości.

Nauczony doświadczeniem historycznym, świadom bezsensowności ofiar, klęsk i spustoszeń, przeciwstawia Szczerowski własną, trzeźwą i realistyczną wizję historycznej rzeczywistości mickiewiczowskim iluzjom i złudom. Przypomnijmy, co w związku z tym samym faktem historycznym /czy uważanym podówczas za historyczny/ pisał Mickiewicz.

" - Bo dzieło zniszczenia

W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia;  
 Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgin wyrzecz.  
 Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,  
 Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona  
 Obieją, jak Moskale redutę Ordoña:  
 Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,  
 Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę. "

Treść tego utworu rozumieć można trojako. Można mniemać - najbardziej dosłownie - że poeta rachował na bezpośrednią interwencję Opatrzności. Można też sądzić, że Mickiewicz liczył na jakąś - bliżej nieokreśloną - sprawiedliwość Historii. Obie interpretacje nadają się do łatwej polemiki i jeszcze łatwiejszej karykatury. Drugą z nich zdaje się akceptować w swej rymowanej polemice Szczerowski. Wszelako Mickiewicz - jak sądzę - mówi coś zupełnie innego. Powiada on mianowicie, że tryumf despotyzmu, że podeptanie wolności ludzi i narodów oraz zniszczenie wiary w wartości humanistyczne oznaczać będzie katastrofę nie tylko dla pobitych i zniewolonych, ale również dla podbijających i zniewalających. Zatrucie zbrodnią - zdaniem autora "Dziadów" - odbierze cel życia wszystkim. W tym oto sensie zginie to, co zwykliśmy nazywać "ziemią, planetą ludzi", albowiem społeczność złożona z niewolników nie zasługuje już na tę nazwę. I dlatego właśnie dzieło zniszczenia despotyzmu jest równie święte, co dzieło tworzenia świata ludzi wolnych. Jest w istocie tym samym i stąd wynika postulat obrony "wiary i wolności".

Cóż diagnozie tej przeciwstawia Szczerowski? Gorzką wiedzę o historii i klęskach Polaków? Świadomość przelanej krwi? Cóż, przelana krew jest zawsze jakąś lekcją i nauką, ale może być lekcją rozważań i lekcją małego spryciku: może uczyć miłości do ojczyzny i może uczyć płaszczenia się wobec obcej władzy; może prowadzić do niezgody lub zgody na bytowanie w kałużach, na niewolę. Posłuchajmy kolejnego wyznania naszego poety:

"Ta szczurza zwinność moja, miękkość dialektyczna  
 Obfitość cierpkiej śliny - co skłoi oblepi  
 Najbardziej sprzeczne - i tym brzuch pokrzepi  
 Ta ciętość zębów niby myśl logiczna  
 Oczy, których kamienna ciemność nie oślepi  
 Ta złość, co tak buzuje we mnie - jaśniejąca  
 Jako nadziei gwiazda - w przyszłość prowadząca..."

Narrator tych wierszy został obdarowany mentalnością plebejusza - nuworysza i serwilisty. Mentalność ta zrekonstruowana została bezbłędnie. Jakże przekonująco brzmi np. fraza:

Miękkie morza kariery. Ja z prowincji głuchej  
 Wiem to, co już odjęte ciepłej arodzonym  
 Mnie jeszcze cięższy zapadanie w puchy  
 Choć braknie tam powietrza i niejeden skonał.

Kariera, piornaty, antyszambrowanie ~ oto świat poety. Dworskie marzenia, dworskie wyobrażenia o świecie, dworskie kryteria. Tylko w takim klimacie mogła powstać, sprytnie zresztą pomysiana i zrecznie zrymowana, "Bajka" Szczurowskiego.

Kapłan i błazen w jednym stają domu.  
 Kapłan na górze, a błazen na dole.  
 I jedną ponsję biorą po kryjomu  
 od swego władcy. Przy biesiadnym stole  
 co kapłan błogosławi, to błazen wyśmiewa.  
 Tak bawiąc gości, wciąż mają nadzieję,  
 że ziarno prawdy ułapią. Pocieszne jest  
 to iskanie, i dla króla śmieszne:  
 - Ulgę daje w trawieniu, stolec też ustali...  
 - Ach, jeśli władca mądry, będą wspominali  
 prorocstwa, które kapłan, żarty, które trefniś...  
 A jeśli śmieszny, też zostaną śmieszni,  
 z morału skrzakiem, idei kumkaniem,  
 z przewrotności mizerią - jak muszki fikanie...

"Jeśli ta bajka mówi prawdę - pisał współczesny krytyk - to lepiej złamać pióro i zająć się wyplataniem koszyków. Na szczęście ani kapłan, ani błazen nie są przykuci do pańskiej klamki, nie muszą w pana obliczu szukać swej tożsamości, w nim tylko się potwierdzać. Czyż pańskie oblicze ma być dla nich miarą ich wolności? Plebejuszowi wygodnie jednak wszystko, łącznie z pańskim obliczem, traktować jako żywiol". A cóż pozostaje dworakowi? Jakaż inną może znać miarę?

"Bajka" Szczurowskiego jest podwójną aluzją: polityczną i literacką. Najpierw wyjaśnię jej polityczny kontekst. Przeczytaliśmy opis sytuacji dworskiej. Ten dwór istniał naprawdę. Mieścił się na zamku królewskim w Warszawie, a rządzony był przez "generała - feldmarszałka księcia warszawskiego hrabiego Iwana Fiodorowicza Paskiewicza Erywańskiego i walecznych jego towarzyszy".

Instalując się w tradycyjnej siedzibie królów polskich, Paskiewicz zmienił jej wewnętrzny wystrój. Nakazał usunąć z zamku wszystko, co by mogło przypominać o jego poprzednich właścicielach. Komnaty monarchów poprzerzebiano na biura dla urzędników, zabytkowe meble i obrazy powędrowały w swej większości do Petersburga - pozostałą resztkę nakazał książę warszawski i hrabia erywański przenieść do swych prywatnych rezydencji. Tym zabiegiem konserwatorskim oparły się tylko - jakby na ironię - piękne polskie orły. Ich obecność na zakurzonych sztandarach za wdzięczali bywalcy zamku osobistej decyzji cara Mikołaja, który wyraźnie nakazał Paskiewiczowi "Ostawić etu pticu!". Był więc zamek królewski w Warszawie, były orły - tylko nie było Polski...

Paskiewicz konsekwentnie wprowadzał do Królestwa petersburskie metody sprawowania władzy. Był władcą okrutnym i bezwzględnym: grabił, tępił buntowników, zmuszał ludzi do serwilizmu, zaszczepiał Polakom szlachetny obyczaj donosu i łapownictwa.

Paskiewicz był także władcą przebiegłym: organizował balo, co z pozoru nie było dla towarzystwa warszawskiego niczym nowym; przeciwnie - bale miały długą tradycję. Aliści balom carskiego namiestnika towarzyszyło coś, co już było istotnym novum dla Polaków. Był to, właściwy caryzmowi i nieodłączny od obyczaju rosyjskich imperatorów, przymus. Przypomnijmy, co pisał na ten temat Mickiewicz: "W Rosji /ludzie - A.M./ są ustawowo zmuszeni mówić to, co mówi rząd. /.../ W dzień, kiedy tracono pułkownika Pestela, skazanego za udział w spisku, ojciec jego, senator Pestel, był zmuszony pokazać się na dworze; i to nie tylko pokazać się tam, ale zachować prawomyślny wyraz twarzy, brać udział w rozmowach. Prawo rosyjskie zabraniało mu milczeć". W innym miejscu Mickiewicz precyzował: "Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rosji rozkazem; szczególnie jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin itd. cesarza lub



osób rodziny panującej, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebezpieczeństwo. Były przykłady w Rosji, że rodzina osób uwięzionych i wskazanych na szubienicę znajdowała się na balach u dworu. W Litwie Dybicz ciągnąc przeciwko Polakom, a Chrapowicki wiążąc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takie bale opisują się potem w gazetach jako dobrowolne wynurzenia się nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów".

Takie to były bale w one lata... Wiało grozą. Paskiewiczowskie biesiady miały skompromitować Polaków - uczestników w oczach emigracji i zachodnioeuropejskiej opinii; miały ich skompromitować w oczach własnej społeczności; miały im także, a może przede wszystkim, złamać kręgosłup moralny. "Zajdacy nie będą powstańcami" - tę lapidarną formułę miał wypowiedzieć adiutant Paskiewicza, generał Abramowicz. Ten stały bywalec zamku i współorganizator namiestnikowych biesiad był prezesem dyrekcji teatrów warszawskich, którą to funkcję połączył później ze stanowiskiem szefa policji w Królestwie. Owe zespolenie w jednej osobie instytucji policji i kultury trafnie ilustruje ówczesną sytuację. Kultura była wtedy policyjna, co nie oznacza jednak by policja była kulturalna. Przeciwnie; bywała dosyć nieuprzejma i natrętna...

Inną barwną postacią księżęcej świty był przedstawiciel jednego ze świetniejszych rodów polskich, znakomity pisarz, redaktor "Dziennika Warszawskiego" - Henryk Rzewuski. Rzewuski zasłynął "Pamiętkami Soplicy" - piękną, barwną, pisaną językiem Jana Chryzostoma Paska gawędą o obyczajach i swawolach szlachty polskiej w epokę konfederacji barskiej. Początkowo odczytano tę książkę po prostu jako pomnik wystawiony minionym czasom i ludziom; była jednak czymś więcej. "Pamiętki Soplicy" były określoną propozycją ideową - propozycją polskiści. I były manifestacją przekonania, że polskość może istnieć w tym jednym tylko - soplicowym - kształcie. Zaś "polskość" w ujęciu Rzewuskiego - to awanturnictwo i kontusz, herb i pijatyka, prymitywizm duchowy i wielka krzepa fizyczna, zuchwalstwo i utracjuszystwo, anarchia szlachecka i niechlujność moralna, religijny obskurantyzm i społeczny konserwatyzm, bałagan i gorzała, samosąd i wielkie żarcie. A nade wszystko głupota, głupota, głupota!

Umiłowanie dla tak pojmowanej tradycji polskiej zespolił hrabia Henryk z określoną historiozofią polityczną: kres tego nurtu tradycji i obyczajowości uznał za kres istnienia narodowości polskiej. Winił za ten stan rzeczy - bardziej niż rozbiory - Konstytucję 3 Maja. Obserwując współczesne sobie zdarzenia doszedł do wniosku, że największym złem nie są zaborcy, lecz ci, którzy podejmują walkę z zaborczą władzą o niepodległe państwo polskie.

W polityce nowych właścicieli zamku królewskiego w Warszawie widział jedyną gwarancję trwania resztek tej dziwnej, anachronicznej, sarmackiej i wiecznie pijanej Polski swoich dziadów. Spiskujący niepodległościowcy walczyli o inną Polskę, o taką Polskę, w której on - pierwszy z Sarmatów - byłby niemal intruzem. Broniąc swych okopów świętej Trójcy, hrabia Henryk z pasją piętnował marzenia rodaków o restauracji Polski niepodległej. Był świadom, że konsens w takiej restauracji muszą być głębokie przeobrażenia społeczne i cywilizacyjne. Takiej ceny Rzewuski nie chciał zapłacić. Dlatego utożsamiał restaurację z rewolucją /w czym był - paradoksalnie - zgodny z Maurycym Mochnackim/, dlatego straszył widmem zrewoltowanego motłochu, dlatego przepowiadał i postulował - w imię obrony cywilizacji chrześcijańskiej i tradycji dziadów - zlanie się Polaków z narodem rosyjskim. Nie były to postulaty li-tylko teoretyczne. Rzewuski otwarcie głosił swój filocaryzm. Napisał nawet na ten temat cykl artykułów pod zbiorczą nazwą "Cywilizacja i religia" które - pomieszczone na łamach "Dziennika Warszawskiego" - wywołały gniew wśród tak życzliwej dotąd autorowi "Pamiętek Soplicy" opinii czytelniczej. Nie koniec na tym: ten znakomity, słynący z dowcipu i inteligencji causeur stał się ozdobą salonu hrabiego erywańskiego i księcia warszawskiego. Marząc o przeszłości, tęskniąc do zawiązków i barwnych awantur swego ukochanego Radziwiłła "Panie Kochanku

hrabia Henryk kultywował gloryfikowaną we własnych książkach tradycję polską uczestnicząc aktywnie w paskiewiczowskich facecjach i balach. Nasz Szczurowski był zapewne gdzieś blisko hrabiego Henryka. Snobował się na niego, drukował w jego "Dzienniku Warszawskim", był jego pół-zausznikiem, pół-lokajem. Szczurowski, dworak i arrywista, pełen kompleksów eks-plebejusza, dziwnie się musiał czuć w towarzystwie tego pana z panów, człowieka, o którym car Mikołaj miał powiedzieć, że jest bardziej papieski niż papież, bardziej carski niż on sam i bardziej rojalistyczny niż wszyscy monarchowie europejscy. Musiał odczuwać swoją niższość, musiał nie raz czuć się upokorzony, a jednak wolał wygody kondycji lokaja od niewygód sytuacji człowieka wolnego; wolał być popychadłem Rzewuskiego niż partnerem Norwida. Dlatego takich jak Norwid - ludzi wolnych - musiał Szczurowski szczególnie nie lubić.

Oddanie w wierszach wszystkich tych napięć emocjonalnych jest sprawą nader trudną, a przecież po przeczytaniu wydanych obecnie utworów widzimy osobowość Szczurowskiego jak na dłoni i w pełni zrozumiałe stają się dla nas jego automi-styfikacje. Szczurowski zawdzięczał Henrykowi Rzewuskiemu wiele: karierę, historiozofię, manierę literacką i poglądy polityczne. Powtarzał po Rzewuskim dowcipy, opinie i paradoksy; był jakby efektem przeszczepienia wszystkich wad umysłu i charakteru hrabiego Henryka w skórę plebejskiego dorobkiewicza, który będzie swą plebejskością epatował możnych tego świata, ale który uczyni wszystko, do-słownie wszystko, by do tej plebejskości nigdy już nie powrócić. Dlatego będzie trzymał się blisko Rzewuskiego tak długo, jak długo ten będzie pupilem groźnego feldmarszałka. Ów osobliwy związek odzianego w gronostaje hrabiego ze zbrojnym w cwaniactwo i brak skrupułów plebejem to nic innego jak pełna ironii reali-zacja słynnego zawołania Zygmunta Krasińskiego: "Jeden tylko, jeden cud, z szlach-tą polską polski lud!". Tylko w ten sposób zrealizowało się marzenie Krasiń-skiego - historia lubi dopisywać nieoczekiwane pointy. Idąc śladem Rzewuskiego, imitował Szczurowski język Jana Chryzostoma Paska; wpatrzony w hrabiego Henryka - afirmował paskiewiczowską rzeczywistość. I tak - między Paskiem a Paskiewi-czem - wiodły swój żywot jego sprytnie rymowanki...

Szczurowski wybrał taki właśnie los dla siebie i swego pisarstwa. Dokonał tego wyboru świadomie i w niejednym wierszu swoje postęпки uzasadniał. Dlaczegoż zatem nie lubił Norwida i jemu podobnych? Najbardziej nie lubimy tych, którzy są świadkami naszego upodlenia. Ten, który upadnie równie nisko jak ja, staje się moim współnikiem. Wspólnie przeżywamy smak grzechu, wspólnie racjonalizuje-my własną autodeprawację. Lecz ten, który - znajdując się w sytuacji analogicznej do mojej - potrafi ocalić honor i zachować godność, staje się dla mnie cho-dzącym wyrzutem sumienia. Jeśli na dodatek zdarzy się, że zrobię mu świństwo, a on nie zrewanżuje mi się tym samym, to wtedy człowiek ten staje się przedmiotem mojej wzmożonej niechęci. Szukam rozpaczliwie i zapamiętałem wszystkiego, co by go jakoś dewaluowało najpierw w sferze anegdoty obyczajowej, kiedy zaś uświada-miam sobie miałość własnej argumentacji, przenoszę swoje rozumowanie na wysokie piętra abstrakcji i metafizyki. Powiadam, że - tak czy owak - wszyscy uczestni-czymy w tej samej pantomimie pozorów, którą jedni nazywają życiem, drudzy histo-rią, a jeszcze inni społeczeństwem; powiadam, że z punktu widzenia nieuchronnej śmierci czy losów tysiącletnich cywilizacji, czy czegoś tam jeszcze, nasze dzisiej-sze konflikty i tak nie mają żadnego znaczenia. Powiadam, że w sytuacji nieauten-tycznej - a taką jest nasza sytuacja - gest "za" jest równie nic-nie-znaczący i bezsensowny, co gest "przeciw". Swoją oczywistą metafizyczną bezsilność wo-bec śmierci przenoszę w sferę stosunków politycznych i utożsamiam z bezsilnością wobec władzy. Zrównuję w ten sposób siebie ze swym antagonistą i zasiadam do pisania bajki, w której kapłan i błazen są jednakowo uwieszani u pańskiej klamki.

Szczurowski świetnie wiedział, jak wygląda dwór, gdzie królem był książę Iwan Paskiewicz, kapłanem szef policji i dyrektor teatrów generał Abramowicz, zaś błaznem - potomek hetmanów polskich, Henryk Rzewuski. Szczurowski świetnie to wiedział, bo sam był na tym dworze lokajem. Ale błazen z jego wiersza nie jest aluzją do Rzewuskiego, tylko do starannie unikającego paskiewiczowskich salonów Norwida. Dlaczego? Dlatego, że Norwid był tym chodzącym wyrzutem sumienia,

dlatego, że Norwid wybrał drogę prawdy w swoim piśmiectwie i w swoim życiu, placąc za to biedą, poniewierką i osamotnieniem. Tacy ludzie jak Norwid byli istotnym składnikiem ówczesnej rzeczywistości społecznej i umysłowej, której nie da się zredukować do dworskich kontredansów. Szczurowski jednak, zapatrzony w nieustającą plesaninę na paskiewiczowskich bankietach potrafił w każdej sprawie publicznej i w każdym działaniu ludzkim dostrzec jedynie intrygę dworską, zaś całokształt życia społecznego i umysłowego Polaków był dlań tylko wielokrotnie powiększonym bałem u senatora.

"Bajka" Szczurowskiego jest aluzją literacką do głośnego w swoim czasie eseju, w którym aprobatą postawy błazna oznaczała bunt przeciw dogmatowi trójskiej formuły Uwarowa: prawosławie, samowładztwo, narodowość; pochwała błazna była obroną niezależnej myśli humanistycznej, apologią suwerennego rozumu, niezgodą na ukłon przed Paskiewiczem i jego dworakami. W tym ujęciu błazen przestał być trefnisiem opowiadającym krotoczwile, a stawał się filozofem - moralistą broniącym fundamentalnych ludzkich wartości. Szczurowski - zrezygnując z dwójki sensu słowa "błazen" - zatarł tę różnicę i przeobraził moralistę w nadwornego żartownisia. Niestety realia wcale nie usposobiły do żartów. Autor wspomnianego eseju zapłacił wysoką cenę za swą niechęć do bobrowania w kałuży, skazał się bowiem na dołę wygnania dzieląc w ten sposób los wielkich pielgrzymów "sprawy polskiej" Mickiewicza, Słowackiego, czy Norwida. Ten kontekst sytuacyjny ujawnia dodatkowy sens "Bajki". Napisał Szczurowski, że kapłan /a więc np. gen. Atramowicz/ i błazen /a więc np. autor wspomnianego eseju/ biorą pensję z tej samej kiesy. Należy sądzić, że i on, poeta-lokaj, korzysta z nie innego budżetu. Tylko, że kapłan-policjant i lokaj-poeta pobie rają swe pobory w brzęczącej monecie, natomiast dla błazna zapłatą jest cykuta pałka policyjna lub banicja.

Ludzie wieku dziewiętnastego znali rozmaite formy zakłamania w literaturze. Znali zakłamanie wynikłe ze zgody pisarza na cenzorskie nożyce i zakłamanie apologetycznych malowanek wysławiających uczynki możnych tego świata i retuszujących obraz rzeczywistości w duchu możliwych pożądanym. Znali i inne świadome zakłamania: spowodowane założoną z góry podrzędnością literatury wobec rozmaitych - szlachetnych lub nieszlachetnych - ideologii politycznych. Literatura taka oglądała rzeczywistość przez - na ogół końskie - okulary doktryny, zaś pisarz, ulegający doktrynerskiej prosji i dobrowolnie przekładający wierność doktrynie nad wierność prawdzie, tworzył dzieło okaleczone, ludzi papierowych, świat uproszczony i jednowymiarowy. Przypadek Szczurowskiego jest jednak inny, odrębny i bardziej chyba skomplikowany. Nie widać w jego wierszach śladów ingerencji cenzury, nie widać również, by przydeptywał gardło swej pieśni w imię jakichś wyższych idei. Nie są te wiersze prymitywnym lizusostwem i hymnem na cześć władzy. Na pierwszy rzut oka wszystko jest prawdziwe; codzienne realia narodu żyjącego pod paskiewiczowskim butem nie są przez Szczurowskiego skłamane. Nie nazywa on czarnego białym, nie nazywa kłamstwa prawdą. Ale w trakcie lektury zauważamy, jak niemal niepostrzeżenie biel czernieje, prawda przeobraża się w kłamstwo. Szczurowski jest cały ulepiony ze strachów i ono to właśnie tłumaczy szczególny zabieg poety: waloryzuje on mianowicie swą miękkość duchową, swój serwilizm, swoje spodlenie w taki sposób, że czyni te właściwości swego charakteru cechami charakteru narodowego jeśli nie Polaków, to w każdym bądź razie polskiej warstwy oświeconej. Robię to, co robią wszyscy - zdaje się mówić Szczurowski - kłęk, jak wszyscy; podlizuję się władzy, jak wszyscy; jestem dworakiem, jak wszyscy; jestem ucieleśnieniem polskości - Polska to ja i Ale tylko ja jeden mam odwagę głośno przyznać się do tego i otwarcie o tym napisać.

Nie da się Szczurowskiemu pewnej odwagi odmówić. Jest to ten sam typ odwagi, który pozwala na udział w świństwie, na sojusz z przemocą, na kopanie leżących wbrew - mniej lub bardziej - milczącej i bezsilnej dezaprobacie własnego środowiska. Taką odwagę demonstrowali zawsze renegaci: Adam Gurowski, Henryk Rzewuski czy Emil Skiński. Wszyscy oni odważnie, bez wątpienia, piętnowali wady polskiej społeczności. Wątek krytyki polskiej inteligencji ma w naszej

literatorze długą tradycję. Słowacki i Mickiewicz, Norwid i Krasiński, Świętochowski i Żeromski, Brzozowski i Wyspiański – wszyscy ci ludzie w najostrzejszych słowach osądzali grzechy i upadki polskiej literatury i polskiej "klasy umysłowej". Dla przykładu przeczytajmy uważnie jedno z takich świadectw.

Przegrali dom swój. Śnieg zawiął granice,  
Od Petersburga szły z pieszczalką roty,  
I azjatycki koń wszedł w ich stolicę,  
Na pikach stygła krew gniewnej hołoty.

Powstali w boju, przegrali powstanie  
Bo ludu swego w porę się ulękli.  
Wiatr gnał ich w śniegi, niósł po oceanie  
I śnił się nocą blask wisielczej petli.

Car im na przekór chłopów oswobodził.  
Pieniądz zbudował kuźnie i warsztaty.  
Późnagi bandos do fabryk uchodził  
I w obce kraje biegł od kurnej chaty.

Znów mieli państwo, ale krótko trwało.  
Konie ułańskie pływały w paradzie.  
Zmienili w chwałbę co mogło być chwałką  
I cień i śmierć na dziejach im się kładzie.

Moskał wozami wjechał w gruzy miasta  
Frawa im dawał i wkładał obrożę.  
Prowincja nowa w Imperium już wrasta  
Niosąc w daninie węgiel, tłuszcz i zboże.

Przeklina lud, a błazny mu śpiewają  
Że nigdy nie był tak jak dzisiaj wolny  
I szuka znaków co się w niebie palą  
Pokój służalstwa? Czy zagłada wojny?

Oni tymczasem, drząc w jaskiniach cieni  
Sądzą, nie wiedząc że już osądzeni.

Gorzki wiersz. Jedną z tych, które – przywołując całą dramatyczną przeszłość na świadka – dokonują surowego osądu polskiej elity umysłowej. W wierszu tym – powstałym zapewne w kilka lat po klęsce powstania listopadowego, w epoce bezwzględnej niszczycielskiej administracji resztek odrębności Królestwa – odnajdujemy świat znany nam z wierszy Szczurowskiego. Lecz jakże różne są to wizerunki! Język ostry jak nóż, ton gwałtowny jak u Mochnackiego, bowiem i Mochnacki sądził – wspomnijmy na marginesie – że duchowi przywódcy opinii polskiej w epoce Królestwa. Kongresowego i powstania poprzez swą małość, kunktatorstwo i brak odwagi "zmienili w chwałbę" to "co mogło być chwałką" – przegrali walkę o niepodległą, demokratyczną i nowoczesną Polskę. Przywołane w tym wierszu symbole przeszłości – mają jak u wielkich romantyków – wstrząsając sumieniami. Nade wszystko zaś, ten wiersz jest wyznaniem człowieka wolnego; człowieka, który chce żyć w wolności. Szczurowski natomiast wyznaje:

Bronikiem się dowcipem – taki pewny swego  
Ze wiem, zanim co przyjdzie: jak, skąd i dlaczego

Uczyłem się jak trzeba nabierać oddechu

I nurkować, przeczekać w miękkim morzu śmiechu  
 I wrócić - jako delfin wywinąć kamańca  
 I czuwać - czy nie proszą do nowego tańca  
 I uchwycić powietrza, i skoczyć w głębinę  
 I dusić się, i myśleć - czy aby nie zginę...

I nauczyć się dychać ironią miłą  
 I nie chcieć już powietrza, Bobby mnie zabiło.

Szczerzy wiersz. Poprzez swą szczerłość bardziej może przejmujący od innych. Smętne świadectwo kogoś, kto egzystować może już tylko w dusznej atmosferze dworskich intryg, nie chce innej kondycji niż lokajska; dla kogo zetknięcie z prawdą byłoby śmiertelne. Narrator jest świadom tego, że gdyby nawet chciał wydobyć się z upodlenia i wyrzec słowo prawdy, to język jego - zazwyczaj tak gładki i posłuszny - ton jeden raz odmówi mu posłuszeństwa. Zwycięstwo prawdy będzie klęską jego pisarstwa - poeta oniemieje. Stąd, gorzka chyba świadomość pisarza, iż jedynie jako przykład apostazji duchowej i klęski intelektualnej twórców w epoce paskiewiczowskiej trafi do podręczników historii literatury. Albo też jako jeden z bohaterów wiersza Norwida o "Dzienniku Warszawskim", organie Szczurowskiego i jemu podobnych.

Dlatego, że już wcale zapomnieli,  
 Ze są śmiertelni, nie żadni anieli,  
 I że nie tylko obuwie, odzienie  
 Lub drogi - bite kształcą się ustawnie,  
 Lecz, że się przocież kształci i Sumienie  
 Jak wszystko!.../choć dziś to brzmi zakawnie/...

Dlatego, że Myśl nie u nich nie waży,  
 Ze nad pisarzy wolą arendarzy,  
 A będąc dobrzy, znieść prawdy nie mogą  
 Iż pierw stradali prawdom wyrażenia  
 I ów Miłości - głos Bogu - dziecięcy,  
 Co; kwiatem, wabiąc, chłodami ocienia:  
 Szczerym nie będąc jako ryk bydłecy,  
 Lecz w przezroczyście owianym półcienia,  
 Fałd tajemniczych pełnymi osłonek...

Dlatego, że mu Mistyczny pierścionek  
 Zdjęli, jak Doży, co zhańbił tyjarę:  
 Lub niebieskiemu morzu złamał wiarę;  
 Dlatego, że ów pierścionek sfrunął w kódkę  
 Szpiega, który go zastawia za wódkę,  
 A potem z głupią żoną czyta Sennik:  
 Pewny, że prawdy nikt mu w twarz nie rzecze,  
 Bo Kochanowskich wspomni i uciecze...  
 .....  
 Dlatego! mają dziś Warszawski-Dziennik...

Dlatego - żują klątwę, co nie zamrze,  
 Aż znowu święta - księga się od-modli,  
 Jota po jocie... i kłamra po kłamrze  
 Podli!... bo niemi, a niemi, bo podli! 1/

Pisząc "Dziennik Warszawski" Norwid był już od dawna emigrantem. Jak każdy wygnaniec - był maksymalista. Maksymalizm rodził piękne wiersze i nie zawsze sprawiedliwe osady. Emigracyjny maksymalista był skłonny do nazywania organiczności kapitulacją, kompromisu zdradą, słabości apostazją. "Krajowiec" - również ten przyzwoity - bywał tymi ekskomunikami podrażniony. Żaden naród nie składa się z samych ludzi bohaterskich i to na dodatek bohaterskich przez całe życie. Bohaterowie też bywają zmęczeni... Tu, w kraju, kompromis - choć nie spodlenie! - nader często był koniecznością. "Krajowca" musiały drażnić słane z emigracji wezwania do poświęceń i ofiar oraz surowe osady ferowane tam, gdzie wzywającemu i osadzającemu nie grozi przecież, że o szóstej rano może do drzwi jego mieszkania załomotać feldjegier. Na tej strunie zręcznie umiał zagrać nasz Szczerowski. Oto jego replika na wiersz Norwida.

Ach, tam nad Pacyfiką pienistą kotliną  
Gdzie wszystko buczne, huczne niby w dzień stworzenia  
Tam śpiewać, gdzie jak ziemia, to kontynent - ziemia  
Gdzie kropla oceanem, a piasek pustynią

Ale tu - na przedmieściu? Na tej grudce liczej  
Co przycupnięta pod historii cieniem  
Prowincjonalny głos podnosi cichy  
Niby kornik co w próchnie stuka jak sumienie

Tu być obywatelem globu... I składać poematy  
Pod skoczny takt mazurka: - Póki co, żyjemy...

"Pacyfik" - to zapewne aluzja do czasowego pobytu Norwida w Stanach Zjednoczonych. Trawestacja "Mazurka Dąbrowskiego" jest z pewnością aluzją do kodeksu moralnego emigrantów. Legioniści śpiewali, że "jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy". Deklarowali w ten sposób, że ich naród nie zginie, że będzie żył tak długo, jak długo żyć będą ludzie gotowi o jestestwo narodowe walczyć. Deklaracja taka, niewiele znacząca i banalna dla narodów niepodległych, dla narodu podbitego jest zawsze przykazaniem nadrzędnym. Szczególnej zaś wagi nabiera dla politycznych emigrantów - jest sensem ich istnienia. Wygnañcy z nad Wisły musieli wszak wierzyć, za Maurycym Mochnackim, że "wielkie i głębokie jest każdej emigracji polskiej znaczenie: bo to nie fakcja, pokonana w kraju przez drugą, ale żywa, jawna protestacja, którą cały lud polski podziela przeciwko obcym najeźdźcom". Emigranci musieli wierzyć, że samymi sobą, swoją poniewierką i swym tułactwem zaświadczenia wolę Polaków bycia niepodległymi. W czym się zresztą nie mylili.

Ironiczna tranwestacja tej strofy naszego hymnu, zamiana "póki my" na "póki co", oznacza nie zaskakującą już u Szczerowskiego odmowę udziału we wspólnej odpowiedzialności za los narodu. Przy dużej dozie dobrej woli można tę trawestację rozumieć także jako autoironiczną i tragiczną drwinę z własnego losu. Cóż, drwiny z narodowych świętości bywają płodne i potrzebne. W państwie niepodległym mogą być antynacjonalistycznym kubkiem zimnej wody; w społeczeństwie, które przesadnie poczuwa się do współodpowiedzialności za swój - i tylko swój! - kraj mogą być oczyszczającym śmiechem. Ale w zastraszonej i skarłakim paskiewiczowskim Królestwie?

Przecież tam była to drwina z pokonanych...

Wiersz Szczerowskiego jest jednocześnie pod pewnym względem bardzo zręczny. Autor odwołuje się do antyemigracyjnego i antyzachodniego zarazem kompleksu Polaków. Przypomnijmy jeszcze jedną strofę:

- Tak, obcy lubią Polskę. Jak w teatrze siedzą, patrzą, co tam robimy, z życzliwością śledzą, w którym to akcie sztuki nad purchawką buchnie gorzki dym spalenizny...

Istnieje taki dziwny mechanizm psychologiczny - pisałem o tym nieco wyżej - który powoduje, że człowiek upodlony przenosi swą niechęć z tych, którzy go upodlili, na tych, którzy jego upodlenie obserwowali: na emigrantów i cudzoziemców. Szczurowski sprawnie wykorzystał ten mechanizm. W jego wierszach ludzie skazani są na świat intryg, kłamstw i kałuży moralnej. Egzystencja na balu u senatora została utożsamiona z egzystencją całego narodu: każdy Polak skazany jest na uczestnictwo w tych zakłamanych biesiadach widm i pozorów.

Jak duszno jest, niemrawo, jak wszystko karleje  
 Ściska się i ucióra, ugładza, pasuje  
 Każdy każdego trzyma - Ni to obejmuje  
 Ni to dusi, czekając czy wiatr znów zawieje

Ta powszechność - charakterystyczne "my" - stanowić miała o polskim charakterze narodowym. Półdługość i nikiemność przestawały być tym czym są, stawały się zaś znamię polskości, niemożliwym do zrozumienia dla obcych; stawały się wspólnotą tajemną, czymś tak specyficznym dla Polaków jak język i obyczaj. Każdy, kto mniemał, że w tej osobliwej wspólnoty nie partycypuje - żył ponoć iluzjami, czego dowodzić miała bajka o kapłanie i błaznie. A obcy? Cóż oni mogą o tym wiedzieć? Oni, którzy nie mieli okazji być poddani presjom konieczności dziejowych...

Jeden z krytyków Szczurowskiego pisał celnie, że ta poezja "zaczynała się od ironii ludzi schwytych, którzy muszą lawirować i kluczyć, żeby jakoś przeżyć i coś cennego ocalić. Następnie /Szczurowski - A.M./ przekroczył próg i zwrócił się przeciwko swoim towarzyszom w nieszczęściu, atakując ich za to, że kładzą się, nie chcą uznać tego, co jest, ciągle marząc o tym co być powinno, toteż skusznie są bici. Poezja jego przekształciła się w katalog sarmackich obrzydliwości, bynajmniej nie podawanych za piękne, właśnie za ohydne, ale nieuniknione, swoich, narzuconych przez konieczność czy Opatrzność. Teza, jaką można z niej odczytać jest następująca: ludzie wyobrażający sobie, że w Polsce może być miejsce na szlachetniejsze zachcianki, to głupcy, bo jakkolwiek wybredność podniebienia jest w Polsce ponad stan i Polak musi być świnia, ponieważ się Polakiem urodził".

W kontekście tych przenikliwych uwag bardziej zrozumiałe staje się poień dramatyzmu ton Norwida. Albowiem tu już nie szło o jeden czy drugi indywidualny upadek pisarza, o takie czy inne potknięcie - tu szło o zasadnicze pojmowanie zadań literatury zniewolonego narodu.

Zbyt popularnym afiszów językiem  
 Gada się z każdym, lecz nie mówi z nikim.

Przytoczona strofa Norwida dowodzi najlepiej, że antagonistą Szczurowskiego nie pojmował zadań literatury utylitarnie; nie miała być patriotyczną malowaną ani agitacyjną broszurą, nie miała też zastępować wiecowych przemówień. Ale nie mogła przecież zajmować się tylko sobą; uciekać od rzeczywistości, być - jakby dzisiaj powiedział Antoni Słonimski - nieobecna w ojczyźnie. Literatura polska miała podejmować zasadnicze problemy narodowego losu. Przede wszystkim: problem niewoli i jej różnorodnych, niszczących skutków.

Te skutki częste obezwładniały pisarza. Obezwładniała go atmosfera klęski, której ciężar musiał dźwigać. Kiedy Mickiewicz pisał swą "Odeę do młodości" był wyrazicielem potężniejącego z dnia na strumienia buntu swych rówieśników, był zwiastunem triumfalnego marszu młodości do walki o niepodległą Polskę. Ten wiersz nieprzypadkowo eksplodował marszem podchorążych na Belweder... Sytuacja popawstaniowa była całkiem inna. Idee mickiewiczowskiej ody, idee wolności, niepodległości i braterstwa leżały w kałuży podeptane przez paskiewiczowskich żołdaków. Pisarz obserwował policyjny terror, postępującą konformizację bliźnich, rósłące zażeganie. To działało paraliżująco. Paraliżowały także, pleńnięce się jak trujące zielsko, ideologie narodowej samoniewoli.

Jedni - konserwatywni legitymiści jak Wincenty Krasiński - dowodzili, że na mocy ostatecznych wyroków Opatrzności polityczna rola Polski dobiegła kresu, że władza monarsza od Boga pochodzi, że posłuszeństwo tej władzy jest obywatelską powinnością. Dowodzili, że bunt przeciw monarsze zawsze był, jest i będzie zespolony z buntem przeciw religii, moralności, Kościołowi i porządkowi społecznemu. Dowodzili, że bunt taki - w imię Rozumu i zgubnego liberalizmu - wiedzie zawsze ku moralnemu zepsuciu i politycznej anarchii; że przeto wierną i lojalną służbę legalnemu monarsze Polacy są winni.

Inni z kolei - zdeprawowani hegliści jak ex-patriota i ex-demokrata Adam Gurowski - dowodzili zasadności swej wiary w rozumność, doskonałość i celowość Historii. To co rzeczywiście jest rozumne - powiadali, nie pamiętając lub zbyt dobrze pamiętając, że na rzeczywistość ich narodu składa się policyjną przemoc i obywatelski donos. Uznali oni mianowicie, że Duch Historii /Weltgeist/ opuścił Zachód i zamieszkał w warszawskiej rezydencji Paskiewicza oraz na petersburskim dworze cara Mikołaja. Gurowski bardzo chciał być w zgodzie z Weltgeistem; dowodził, że trzeba wspierać Petersburg - stolicę Rozumu i realizował ten postulat swym ciętym piórem publicysty. Tym samym piórem gnębił "śmieszna polakieryę" sprzeciwiającą się nierozumnie koniecznościom wynikającym z logiki dziejów. Autorem określenia "śmieszna polakierya" - informację tę zawdzięczamy Mochnackiemu - był inny wielbiciel filozofii niemieckiej, również ex-jakołin, Józef Kalasanta Szaniawski, kierownik Wydziału Cenzury w Królestwie i członek Najwyższego Sądu Kryminalnego sądzącego przywódców powstania.

Wszystkie te koncepty myślowe były wyrazem kapitulacji przed siłą, kapitulacji tym niebezpieczniejszej, że przemieniającej niewolę obcą w samoniewolę. Uznanie zasadności tych doktryn przeobrażało bohatera w lokaja; pozostające w ich kręgu społeczeństwo żyło w sieci kłamstw, we mgłę niewiedzy o sobie samym. Rozzerwać tę sieć, rozrzedzić tę mgłę - oto co było zadaniem pisarza. By tego dokonać, pisarz musiał być niepokorny i pokorny zarazem; niepokorny - wobec sytuacji umysłowej i politycznej swego narodu, pokorny - wobec fundamentalnych, najprostszych i najbardziej trwałych wartości kultury europejskiej.

Niepokorny Poeta pisał:

Który skrzywdziłeś człowieka prostego  
Śmiechem nad krzywdą jego wytuchając,  
Gromadę błaznów koło siebie mając  
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili  
Cnotę i mądrość tobie przypisując,  
Złote medale na twoją cześć kując,  
Radzi że jeszcze dzień jeden przeżyli

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.  
Możesz go zabić - narodzi się nowy.  
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy  
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.



Tego wiersza nie napisał wyznawca żadnej z wielkich, masowych ideologii; nie napisał go uczestnik żadnego z wielkich ruchów politycznych. Tego wiersza nie zredziło zwycięstwo i nawet nie nadzieja na rychłe zwycięstwo sformułowanych w nim zasad moralnych. Ten wiersz zrodziła klęska. Klęska narodu i klęska wielkich ideologii, którymi ten naród żył. W obliczu klęski poeta sięgnął do zasad elementarnych, do wartości najprostszych. Spróbujmy zrekonstruować jego sposób myślenia. Najpierw: prawda. Nie kłamać i to nie kłamać w żaden sposób. Albowiem kłamać można dwojako. Można pisać pod dyktando rosyjskich organizatorów polskiego życia umysłowego, Uwarowa czy Szypowa, ale można też popaść w drugą krańcowość: można zastępować fałsz fałszem, schemat schematem, zniewolenie wynikiem z kapitulacji przed siłą zniewoleniem wynikłym z fanatycznego i ślepego oporu; można wymienić filozofozę pisankę na patriotyczny oleodruk. Jeśli bowiem największym bezpośrednim niebezpieczeństwem z obcego zaboru płynącym było oswojenie się Polaków z niewolą, przyuczenie do życia w kłamstwie i aktywne w nim uczestnictwo, to największym niebezpieczeństwem pośrednim było stwardnienie duchowe i zasklepienie intelektualne ludzi opozycji.

Bezsilność wiodła do konserwatyizmu myślowego. W tych warunkach, wybór prawdy był wyborem samotności. Przedkładając nad solidarność z Kościołami i Partiami zgodę z samym sobą, z własnym sumieniem, Niepokorny Poeta powtarzał z rozpaczliwym uporem "dwa ocalone wyrazy: prawda i sprawiedliwość". Wierność tym dwóm wyrazom miała oznaczać, że można zwątpić w mesjanizm, Kościół, nawet w Boga, ale nie wolno zwątpić w dziesięcioro przykazań; że można zwątpić w cel sens i rozum Historii, ale nie wolno zwątpić w prawo człowieka do szczęścia. Nie wolno przeto zwątpić w powinność codziennego dążenia do prawdy i sprawiedliwości, bo skoro odrzuciło się, wierząc w sąd Boga czy Historii, to jedyną miarą naszych postępów jest Drugi Człowiek. I dlatego nie wolno zwątpić w powinność codziennej, aktywnej miłości bliźniego, zwłaszcza tego bliźniego, który jest bity, poniżany i bezbronny: "prostego człowieka". Określenie "prosty człowiek" nie ma tu oznaczać poziomu umysłowego, rodzaju profesji czy też kondycji społecznej. Nie jest to "prosty człowiek" znany z gazet, rycin, przemówień mężów stanu; nie jest to "prosty człowiek", o którym mówią wielkie ideologie o którego los troszczą się wszystkorozumiejący doktrynerzy, którego przyszłe szczęście czyni niezbędnymi dziś stosowane represje, dziś pisane donosy, dziś świszczące nahałki, dziś pędzące na Sytir kibitki. Nie, "prosty człowiek" z wiersza Niepokornego Poety to ten, na którego pisany jest donos, którego na naszych oczach dosięga pałka oprawcy, który dziś jest więziony. Niepokorny Poeta chce spoglądać na świat przez to samo zakratowane okno, co więziony "prosty człowiek", a nie przez okulary twórców papierowych abstrakcji, profesjonalnych uzasadniaczy policyjnego światopoglądu i policyjnych pałek prawem naturalnym czy logiką dziejów. Solidarność z "prostym człowiekiem" jest nie tylko powinnością moralną literatury, nie tylko warunkiem koniecznym realizacji - po laicku pojmowanej - miłości bliźniego; jest to także - zdaje się mówić Niepokorny Poeta - warunkiem koniecznym mojej własnej wolności. Dopóki potrafię się na taką solidarność zdobyć, dopóty jestem człowiekiem wolnym. Nawet w więziennej celi będę - w przeciwieństwie do młóć strażników - człowiekiem wolnym, albowiem wolność to nic innego jak umiejętność odróżniania dobra od zła, prawdy od fałszu, sprawiedliwości od krzywdy. Nie jest to może zbyt wiele, ale nie jest też i mało. Cóż nam bowiem pozostaje? Jak inaczej możemy ocalić swoją godność i swoją wolność - jeśli nie poprzez udział w tej nigdy nie ustającej i zawsze beznadziejnej walce ze złem? Nikt nigdy nie przerosł ił zjadaczy chleba w aniołów i nikomu pewnie się to udać nie może; pewnie zła nie można wyplenić do końca, pewnie musi się wiecznie odradzać. W tej walce nie ma ostatecznych zwycięstw, ale - pociesza nas filozof - nie<sup>ma</sup> też nigdy ostatecznych klęsk. Dobro też się wiecznie odradza i w tym jest jedyne ocalenie literatury.

Polemizując z tym wyznaniem wiary Niepokornego Poety, Szczerowski pisał:

Ten, który skrzywdził człowieka prostego  
Wynajdzie rymopisów, co wszystko wymażą

I historyka w dowodach zręcznego  
 Który wyrzeźbi dzieje z łak dostojną twarzą  
 Jak nigdy w dziejach jeszcze nie bywało.  
 Ten, który zbrodnię czynił - byle wyszedł cało  
 Znajdzie w ciemności wieków swoją sprawiedliwość  
 Chociaż siał burzę, słodkie zbierze żniwo.  
 Takie jest doświadczenie. A my byśmy chcieli  
 Aby się słowa poety lekano.  
 By Imperatorowie w pomiętej pościeli  
 Pocili się myśleli - co o nich pisano

Takie jest doświadczenie, które zawsze znano  
 I zawsze przeciw głupi poeci lecieli.

Szczurowski nie powiększa tedy legionu "głupich poetów", obrońców absurdalnych chimer - i mniema, że wyciąga w ten sposób najwłaściwsze konsekwencje z "doświadczenia". Doświadczenie dowodzi jednakże również czegoś innego niż się wydawało Szczurowskiemu. To prawda, zawsze istnieli i służyli imperatorom kłamający historycy, sprzedajni poeci, przekupni sędziowie. Ale to nie oznacza bynajmniej, że dziś oglądamy przeszłość tylko czy choćby głównie ich oczyma. To nieprawda, że w historycznym obrachunku przegrywa Niepokorny Poeta, a wygrywa dyktator i jego apologeta. To właśnie Niepokorny Poeta wpisuje uczynki władców w księgę historii. I chociaż Nadworny Pochlebca będzie tę księgę fałszował, to "późny wnuk" potrafi przecież oddzielić ziarno od plewy. Jakaż pamięć pozostała po Neronie czy Kaliguli? Jaki wizerunek senatora Nowosilcowa utrwalił się w naszej pamięci? Czy ten sporządzony przez wazeliniarzy i serwilistów, czy ten pomieszczony w mickiewiczowskich "Dziadach"? Rację miał mimo wszystko Niepokorny Poeta pisząc w swej apostrofie do Jonatana Swifta:

Trwalszy twój dom pod krzykiem sowy,  
 Gdzie noc irlandzkie sypie deszcze  
 Niż grymas książąt marmurowy  
 I drzewka lauru przy pochlebne.

Szczurowskiemu trwalsza wydała się książęca łaska. Zdecydował się - odwrotnie niż Niepokorny Poeta - na pokorę wobec władzy i niepokorę wobec kanonu wartości europejskiego humanizmu. Odrzucając wiarę w porządek Boga czy w celowość Historii, odrzucił również wiarę w porządek wartości. Pozostało mu przekonanie, że jedyną instancją, do której on - polski pisarz - winien się odwoływać jest dwór księcia Iwana Paskiewicza. Tam było centrum jego świata, sam zaś świat zdawał mu się być ulepionym z przemocy silnych i podłości słabych - całą resztę uznał za naiwną gadaninę cudzoziemców.

Przyjrzyjmy się raz jeszcze kontekstowi ideowemu twórczości Szczurowskiego. Najpierw kraj żył irredentą. Ruch irredentystyczny wytworzył swoją specyficzną symbolikę: pieśni, modlitwy, przysłowia i gesty. Po klęsce powstania, kiedy irredenta przeniosła się na emigrację, symbolika pozostała w kraju. Początkowo była ona jakimś znakiem niezgody na obcy zabór, jakimś sposobem porozumiewania się maltretowanego społeczeństwa, jakimś protestem przeciw - lansowanym przez obcą władzę i jej stronników - ideologiom uzasadniającym podbój Polski. Potem sytuacja się zmieniła. Rygoryzm doktrynalny potrzebny był Nowej Władzy tylko w pierwszym okresie; z czasem doktryna przestała być ważna, jej rola zmalała, a siła stała się dostateczną legitymacją dla sprawowania władzy. Zmieniła się również funkcja irredentystycznej symboliki - zatraciła ona swoje opozycyjne ostrze, stała się takim samym fragmentem obyczaju jak chrzciny czy choinka. Przestała symbolizować opór i irredentyzm. Tymczasem powstawały nowe kółka niepodległościowej młodzieży i nowe spiski; formowało się nowe pokolenie działaczy walczących o suwerenność narodową. Ci nowi ludzie tworzyli

nową symbolikę patriotyczną, w starej dostrzegając tylko nic nie znaczący już ornament. Tym nowym ruchom rozmaici Szczurowscy przeciwstawiali sztandar starych gestów i sztychów, które - choć poczęte w buncie - od dawna symbolizowały bierne znoszenie niewoli. Młodzi - często w sposób gwałtowny i nieprzemysłany - występowali przeciw dawnej symbolice. Szczurowski i inni rycerze serwilizmu, celem zdewaluowania młodej irredenty nazywali ten sprzeciw wyrzeczeniem się odwiecznej polskiej tradycji, a nową symbolikę określali jako małpowanie obcych wzorów. W ten sposób o zdradę polskości byli oskarżani ci właśnie, którzy podnieśli rękę na zabórczą władzę, oskarżycielami zaś byli - paskiewiczowski lokaje.

Nie było lepszego i bardziej perfidnego sposobu na utrwalenie duchowego panowania zabórcy. To rozlubowanie w narodowym błocie, to obsesyjne powtarzanie banałów o nieuchronnym tryumfie kłamstwa, ta paplanina o odwiecznym fałszu jako jedynym motywie ludzkiego postępowania, ta apoteoza bezsilności i marazmu - wszystko to musiało działać paraliżująco. Kryło się w tych obsesjach przekonanie o całkowitej plastyczności natury ludzkiej; pogląd, że przemo każdego człowieka może upodlić, z każdego zrobić szmatę. Kryło się w tym również przekonanie, że wszelki opór jest beznadziejny, że walka o godność jest po prostu głupotą, a troska o honor - cudzoziemskim snobizmem. Szczurowski nie wychwalał władzy - on tylko deprecjonował protest; Szczurowski nie wychwalał rzeczywistości - on tylko uznawał ją za równie nieuchronną i naturalną jak pory roku czy zjawiska atmosferyczne. Rzeczywistość wyłaniająca się z jego wierszy jest ponura; bardziej ponury jest jednak sam sposób patrzenia autora. Jest to widzenie zdeterminowane przez biologię: przez brzuch i przez strach. Ten utalentowany dworski rymopis ma wszystkie cechy ludzkie poza jedną: nie ma sumienia. Umiejętny naśladowca, od wielu zapożyczył wiele, ale tej jednej rzeczy nie potrafił zapożyczyć od nikogo. Nawet Rzewuskiemu nie skradł wstecznych, anachronicznych, jakichkolwiek zasad. Jego sposób myślenia o świecie cechował jakiś dziwny bezdogmatyzm, jakaś osobliwa mieszanina strachu z cwaniactwem, wiedzy o rzeczywistości z niewiedzą o wartościach. Nic nie ma sensu, każdy sprzeciw jest głupotą, zło nigdy nie zniknie, nie daje się nabrać - oto co zdawał się mówić Szczurowski swoim rodakom. I był słuchany, znajdował czytelników, cieszył się pewną popularnością...

Ta popularność zatrwajać musiała wszystkich, którym majaczyła się walka o wolność i niepodległość. Rozumieli oni przecież, że społeczeństwo, które w takiej poezji widzi realizację swoich ukrytych wzruszeń, musi być trawione ciężką chorobą, że w takim społeczeństwie próchnica moralna musiała już uczynić zagrażające spustoszenia. Rozumieli dobrze, że taką poezję mogą akceptować tylko ludzie ogłupieni i zniewoleni.

Myślę zresztą, że i Szczurowski, i jego zwolennicy mieli w jakimś sensie rację. Przynajmniej wtedy, kiedy dowodzili, że zło nigdy nie zniknie i że gorzki smak przegranej będzie zawsze udziałem błędnych rycerzy prawdy i wolności. Racja Szczurowskiego jest tą racją, w imię której Sokrates uniknąłby cykuty, Chrystus krzyża, Giordano Bruno stosu, Walerian Łukasiński twierdzy Szlisselburskiej, a Polacy ... niepodległego państwa; jest to racja, która pogrzyżłab ludzką w kałużę serwilizmu, niewolnictwa i załgania. Bowiem zważmy: jeśli walka o godność jest zwyczajną głupotą, a troska o honor i prawdę małpowaniem zachodnich wzorów, to owocem tych konkluzji musi być spodlenie pomieszane z ksenofobią; jeśli czyn niepodległościowy jest szkodliwą brednią i winien być usunięty z katechizmu enót narodowych, to jedynym modelem polskości staje się zwyrodniały, schematyczny wariant konceptów Henryka Rzewuskiego.

Obserwując z przerażeniem proces dewastacji sumień i duchowego spodlenia, pisał Zygmunt Krasiński z zagranicy: "Było pryncypióm zakorzonione w Polsce, które zniszczyło wszelką w niej poezję: pryncypióm bufońskie, rubaszność szlachecka, trfność dworzańska, krotochfilność. W innych narodach byli szczególni ludzie wyznaczeni na pśtwę temu pryncypióm, zwali się błaznami królów. / ... / U nas cała szlachta ćwiczyła się w tym rzemiośle, a że wszystko przesadzamy, byliśmy nieraz fanfaronami błazeństwa. / ... /

Ileż to z tego oplakanego zwrotu ducha narodowego wyniknęło podłości i uniżenia w postępowaniu! Ileż razy szlachcic, dworzanin, tak się przyzwyczaił wszystko w koncepta stroić, że nareszcie koncept powiedział o cnocie i został żądakiem. /.../ Czy takie przyczyny nie wydają gorzkich owoców! /.../ Czy taka nicość nie wydraża nicości w duszach, które się ku niej obracają?"

Owszem, "przyczyny wydały gorzkie owoce". "Nicość wydrażyła nicość". Ze śmieci po wielkich ideologiach, ze spodlenia konserwatysty Wincentego Krasiańskiego, adresata cytowanego listu /o ironio losu!/, z Soplicowych facocji i konceptów katolika - sarmaty Henryka Rzewuskiego, z deifikacji siły i pogardy dla "naiwnego humanizmu" heglisty i renegata Adama Gurowskiego - narodziła się nowa jakość: lokaj i tchórz, plebejski gloryfikator staropolskiej głupoty, ludowy bard narodowego spodlenia - Szczurowski.

"Ni cnota, ni niegodziwość - pisał jakby o nim autor "Irydiona" - ale mezzo termino: błazeństwo. Ni sroga tragedia, ni idylla niewinna, ale mezzo termino: farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc mażmazję i piwo, trefnując dziwnie krotoczwilnie - zeszedliśmy do grobu". Tak brzmiała przerażająca diagnoza Zygmunta Krasiańskiego. Świat, w którym tragiczna przeszłość stawała się ze zobowiązania ornamentem, w którym jedyną manifestacją patriotyzmu stało się spożywanie tradycyjnego barszczu, w którym przyszłością Polaków miało być lenistwo myślowe, posłuszeństwo, służalczość i grzebanina w narodowej stajni Augiasza - tak, ten świat był grobem.

Jakaż mogła być w tym świecie literatura? Jaki mógł być los pisarza? Niepokorny Poeta przepowiadał:

On powie tym, co wiernych liczą  
 Że powołaniu służył swemu,  
 Zaśmieją się i nie dosłyszają.  
 Bawiac się zapytają: "Czemu?"

/.../

Usłyszysz, gdy go chirurg weźmie:  
 "My krzywdy twojej tu nie chcemy,  
 Pierś otworzymy bezboleśnie,  
 Węgiel gorący z niej wyjmemy.

Żyć będziesz od cierpienia wolny.  
 Poczytność damy ci i sławę.  
 Niech wiersz twój, zamiast toczyć wojny,  
 Kształkując ludziom da zabawę."

Stanie się tak. I popiół szary  
 Zakryje strony jego pisma.  
 Choć będą śniły się koszmary  
 Nikt do nich głośno się nie przyzna.

Stało się tak! Słowo stało się ciałem. Szczurowski pisał:

...Spie czujnie i chrapaniem zagłuszam te słowa  
 O których bałem się myśleć na jawie....<sup>2/</sup>

1/ Komentarz przepisuje z krytycznego wydania wierszy Norwida w opracowaniu Juliusza W. Gomulickiego: Doża wenecki corocznie zwykł był wrzucać do Adriatyku pierścien, aby zadokumentować w ten sposób, że Morze Adriatyckie jest tak samo podporządkowane Republice Weneckiej, jak żona jest podporządkowana mężowi.

2/ Spisujący te obserwacje nie jest z profesji polonistą, tylko historykiem. Być może dlatego za dużo mówi się w tym tekście o historii, a za mało o literaturze. Pomyślałem sobie jednak, że może być dla niektórych interesujące, jak czyta wiersze ktoś, kto żyje głównie przeszłością, sprawami minionymi i rzadko wysuwa nos zza papierów archiwalnych.

Zapewne również to skrzywienie zawodowe przyczyniło się do potraktowania przede mnio jako postaci historycznej - i obdarzenia nasuwającym się nazwiskiem Szczurówskiego podmiotu lirycznego skonstruowanego /mistrzowsko, przyznaję/ przez Ernesta Brylla w ostatnim tomiku jego wierszy pt. "Zwierzątko" /Warszawa 1975/.

W tekście cytuję także wiersze Czesława Miłosza /"Niepokorny Poeta"/. W wierszu x<sup>x</sup> /Pregrali dom swój.../ pozwoliłem sobie dla potrzeb tego szkicu w wersie siedemnastym zastąpić słowo "czołgami" słowem "wozami" za co przepraszam Autora i Czytelników.

Tekst "Warszawa - noc z 30 na 31 grudnia 1977 roku" został nam doręczony przez nieznaną osobę. Nie znamy także jego autora.

Publikujemy go zarówno ze względu na jego artystyczno-literackie walory jak i wartość dokumentalną.

Autora tekstu zapraszamy serdecznie do dalszej współpracy z piśmem.

Red.

## WARSZAWA - NOC Z 30 NA 31 GRUDNIA 1977 ROKU

Późnym wieczorem kilkaset osób cierpliwie czekało, aż umilkną hymny, werble i niewyraźne głosy przemówień. Prezydenta nie witano w budynku dworca lotniczego; w którym miejscu wyjedzie na ulicę można było poznać po chorągiewkach zatkniętych na latarniach, jedynych informatorach o trasach tej wizyty.

Wreszcie w oknie zamkniętego samochodu przemknęła twarz i dłoń dająca znać, że zobaczył ten niemy szpaler przez pancerną szybę, lodowaty deszcz i grudniowe ciemności.

W powitalnym przemówieniu Prezydent wymienił dokumenty sprzed dwustu lat: amerykańską Deklarację Niepodległości, francuską Deklarację Praw Człowieka i polską Konstytucję 3 Maja. Co naprawdę może myśleć ten człowiek z innego kontynentu, powołując się na nie wobec XX-wiecznych dziedziców targowiczian, którzy zdławili naszą Konstytucję, absolutnych władców, którzy chcieli zdławić wolność Francji, hanowerskich najemników, którzy o mało nie zdławili niepodległej Ameryki?

Przyleciał aż zza Oceanu, by zapoznać się z naszymi poglądami i zrozumieć nasze pragnienia dotyczące przyszłości. Dlatego właśnie z prostackim, trywialnie policyjnym realizmem postanowiono, że odległość między Nim, a naszymi poglądami i pragnieniami dotyczącymi przyszłości, że ta odległość wyniesie co najmniej 150 metrów. Dlatego nie tylko place, gdzie składał wieniec pod pomnikami zostały zamknięte, ale i przyległe ulice. Dlatego na najważniejszej linii "zepsuły się" tramwaje. Dlatego każdą nieobecność w pracy sprawdzano wczoraj surowo i wnikliwie.

Staliśmy godzinami tam, dokąd dopuszczały kordony. Staliśmy oglądając z daleka plecy wpuszczonych na place cywilnych policjantów i tych specjalnie wybranych, którzy mieli specjalne przepustki i specjalne zadanie: udawać nas. Przy Grobie Nieznanego Żołnierza im właśnie ścisnął ręce i z nimi zamieniał przyjazne słowa; z kombatantami, jak podało niebawem radio, także to spoza granic. Z kombatantami! Nad ich listą biedzili się liczni sekretarze i oficerowie, bez pośpiechu, wiele dni przedtem, sprawdzano kartoteki, czy nie znajdzie się w nich jakikolwiek pogląd lub jakikolwiek pragnienie dotyczące przyszłości.

Tak, byłem na ulicy prowadzącej na Plac Teatralny. Widziałem z odległości 150 m ich plecy, widziałem nawet białą czapkę oficera piechoty morskiej, gdy niósł wieniec do stóp Nike. Obok było tysiąc, może dwa lub trzy tysiące stojących ludzi. Na każdej ulicy prowadzącej do Placu były takie tysiące, ale nasze poglądy i pragnienia nie otrzymały przepustki.

I znów przejechał: opuszczona szyba, krzyk skandowanego nazwiska, dłoń w rękawiczce w geście pozdrowienia, przywieziony z prowincji policjanci ujawszy się za ręce tworzyli żywą barierę. Podobno przy pomniku Bohaterów Getta tłum przerwał kordon i otaczał Go kilka minut. W ten sposób przez kilka minut w ciągu 35 godzin Prezydent był naprawdę w tym kraju: co pozwoliła Mu zrozumieć ta chwila? Nie widziałem tego: nie mogłem być w dwóch miejscach na raz, ale byli tam inni, bo nas jest dużo, bardzo dużo, wystarczyło by na zapełnienie wszystkich placów miasta mrowiem głów: tego właśnie się bali...

Dlatego nawet tych wybranych wysyłali na place grupami, by nie mogli się rozdzielić. Sprawdzony Kowalski nie może krzyknąć znieścaka, bo sprawdzony Malinowski deniesie, Malinowski nie poda listu, bo Kowalski zobaczy. Cicho więc i

spokojnie, zachowywali się na placach "mieszkańcy stolicy" i dlatego nasz krzyk podobno było słycać nawet z odległości 150 metrów.

Do hotelu "Victoria", niedawno wzniesionego przez szwedzkie przedsiębiorstwo budowlane, nie można było podejść z żadnej strony. Przywieźli Go na konferencję prasową najmniej logiczną ulicą i samochody zobaczyli tylko ci, którzy tłoczyli się naprzeciw wejścia - za podjazdem, jezdnią, skwerem i rzędem policjantów: razem 150 metrów. Inni, spędzani pod ściany domów Krakowskiego Przedmieścia daremnie czekali, tupiąc z zima. Flagi na latarniach tym razem skłamały: wyznaczały trasę nie na konferencję, lecz na wielki bankiet.

Wielki bankiet odbył się w Pałacu Namiestnikowskim. Pałac zaczęto budować wtedy, kiedy pobożni pielgrzymi z "Mayflower" założyli miasto Boston. W 1817 roku rząd Królestwa Polskiego, tworu Kongresu Wiedeńskiego tak żywo przypominającego dzisiejszy twór Teheranu i Jałty, zakupił go na siedzibę carskiego namiestnika generała Józefa Zajączka, polskiego Filipa Petaina, który także po długiej i zaszczytnej służbie mając lat 66 został kolaborantem i rosyjskim księciem. Ale przedtem był obrońcą swojego kraju, posłem na Sejm, uchwałił Konstytucję, o której mówił Prezydent. Dzisiejsi właściciele Pałacu nigdy ojczyzny nie mieli, nawet w młodości: zastąpiła im ją doktryna, a potem i tę utracili.

To oni, a nie my, podpisali w tym właśnie Pałacu i w tej właśnie sali ów przedziwny Układ wessanych z osmiornicą. Można wątpić, czy Gość zza Oceanu o tym wiedział, być może mniej by Mu smakowały wyszukane potrawy.

Między bocznymi skrzydłami Pałacu Namiestnikowskiego, za ogrodzeniem z żelaznych i czterema lwami znajduje się dzieło Duńczyka Bertela Thorvaldsona: pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, generała polskiego i marszałka Francji. Pomnik ten, wywieziony jako łup, szycerco zdobił w Homlu przez 80 lat rezydencję kata Polski i Węgier Iwana Paskiewicza, a zwrócony w 1922 roku niepodległej Polsce został pocięty na złom przez hitlerowców w grudniu roku 1944. Powtórnie wykonany przez Duńczyków i подарowany Warszawie przez 14 lat nie uzyskał przepustki do miasta, ponieważ książę dowodził armią koronną Broniącą w ostatniej, straceńczej wojnie, Konstytucji 3 Maja. Dlatego musiał stać ukryty w krzewach Parku Łazienkowskiego, zanim wymuszona decyzja byłego już namiestnika dzisiejszego Królestwa Polskiego nie przeniosła go na obecne miejsce.

Za plecami księcia żelazne ogrodzenie oddziela obszerny dziedziniec, za którym dopiero znajduje się korpus pałacu. Razem-150 metrów.

Dlatego pozwolono stać przy wjeździe; opierałem się o jedną łapę kamienną go lwa, o drugą opierał się agent w znoszonej jesionce. Z tyłu napierał tłum, którego poglądy i pragnienia dotyczące przyszłości my obaj dobrze znamy.

Z daleka prowadziły Go skandowania, przejechał metr od nas, twarz za szybką ktoś rzucił grudniowy bukiet, wraz z innymi krzyknąłem dwie sylaby nazwiska wprost w ucho agenta.

Ale tym razem tłum pozostał i zaczął wołać głośno i uparczywie. Już wiem z radia, że usłyszano i dlatego zjawili się dziennikarze z aparatami fotograficznymi, wreszcie ktoś z kamerą i pomocnikiem-oświetlaczem: robił długo i dokładnie zdjęcia wiwatującym. Jeśli to ktoś stamtąd - pozostaną jedynym, nieokreślonym i bezsłownym zaświadczeniem naszych poglądów i pragnień dotyczących przyszłości. Jeśli stąd - uważnie studiowane posłużą za materiał do kartotek. Wpis powinien otrzymać także milczący na swym cokole bohater spod Zieleniec i Borodina: on był tam także.

Radio spoza granic podawało, że bankiet skończy się przed 22-gą bo Prezydent musi odpocząć przed odlotem. Ale zanim tłum zgęstniał usunięto go sprzed żelaznych i lwów. Zanim zmienił się w jedność, dość grzecznie nakazano przez megafon opuścić także drugą stronę ulicy. Rozpołowił się więc na boki; zacinał deszcz i woda płynęła po asfalcie, a bankiet trwał i trwał. Uznano, że 200 metrów to za mało. Zkorzeczących zepchnięto sprzed hotelu "Europejskiego" jeszcze dalej, pod arkady dawnej komendy miasta, wojskowego gnachu, z którego wartownik też chyłkiem wybiegał, by zobaczyć Prezydenta tych, których politruk każe uważać za wrogów, choć poglądy i pragnienia dotyczące przyszłości ma wartownik zupełnie inne, a i co naprawdę myśli politruk - nie wiadomo.

Bankiet trwał, wiatr przenikał czekających, przenikał też rozstawionych co trzy metry policjantów. Tłum szybko topniał: jutro także dzień pracy, zaraz przestaną kursować autobusy i tramwaje.

Wreszcie Prezydent wyjechał na nocną, pustą ulicę, oczyszczoną już z poglądów i pragnień dotyczących przyszłości. Dopiero gdy samochód wśród świetlistych motocyklistów zaczął nabierać szybkości - pokazały Mu się w deszczu nieme, wymachujące rękami figurki pod arkadami jakiegoś gmachu.

A kiedy już pojechał, cywil w znoszonej jesionce nagle przytrzymał mnie za ramię i spojrzeliśmy sobie w oczy: ja w ziejące nienawiścią oczka homunculusa, który wie, że ma całkowitą władzę uderzenia pałką i wsadzenia do aresztu. On - w także nienawidzące oczy kogoś, kto wie, że może być pobity i uwięziony.

Podczas konferencji, na pytanie czy dostrzega dzień, w którym Polska może będzie istotnie wolna Prezydent odpowiedział, że zależy to od decyzji przywódców i narodu. Czy wie, że ten naród od dawna nie ma już przywódców, którzy mogliby podjąć obłędem głowę innego państwa, że oddycha cementem, jak pisze jego prześladowany poeta, że na codzień sprawia mylące wrażenie, iż nie ma już także żadnych poglądów ani pragnień dotyczących przyszłości.

Czasem jednak nagle powstaje z klęczek, a łęk ogarnia wtedy tych, którzy go spełniali, zakneblowali i rzucili na kolana, a umożliwiła im to obca dominacja, jedyna ich ostoja i legitymacja władzy.

Za godzinę Prezydent obudzi się w Pałacu w Wilanowie, którego na pewno nie miał czasu zwiedzić i nie wie, że jego bramy strzegą stare posągi, postacie alegoryczne Wojny i Pokoju. One pożegnają Go niemo na szczęśliwy lot do Teheranu, miasta, w którym 34 lata temu sprawiono, że ciągle jeszcze nie wiemy, czy Kazimierz Pułaski ginąc w odległej Georgii tak blisko domu Prezydenta - nie zginął niepotrzebnie.

Świta, więc wyjde na ostatnią trasę, jedna z postaci migających za oknem samochodu, z którego Prezydent mógł tak dobrze poznać i zrozumieć nasze poglądy i pragnienia dotyczące przyszłości.

I to jest najbardziej gorzka ze wszystkich goryczy niewoli.



Zdzisław JASKUŁA

## TESTAMENT MÓJ

Jeśli byłem skurwysynem wybaczcie to  
 mojej matce która niczemu nie jest winna  
 A także mojemu ojcu wybaczcie jeśli  
 okazałem się niegodnym synem pułku  
 Składałem fałszywe zeznania ale darujcie  
 winy tym którzy musieli mnie słuchać  
 Milicjantom i matematykom odpuszczajcie  
 że nigdy nie policzyli mi żeber  
 W moim imieniu podziękujcie piosenkarzom  
 i politykom za piękne imprezy  
 na wolnym powietrzu i w świetlicach  
 Powiedzcie im że rozerwałem się skutecznie  
 Pisemnie podziękujcie robotnikom  
 chłopom i inteligencji za to że maszyny  
 nie próżnowały ziemia owocowała a myśl  
 była pomyslna pod każdym względem  
 Ci którzy nie pożegnali się ze mną niech  
 wpadną do mnie jutro kiedy już trochę ochłoneę  
 Nawiedzajcie mnie zresztą przyjaciele  
 i - jeśli to możliwe - kupcie mi budzik  
 aby o świcie nie omijała mnie jasność

## MASZYNA DO PISANIA

TESTAMENT MÓJ

mojemu sercu, Sławie

Zastanawiałem się właśnie, co bytu jeszcze  
 ocalić  
 /każdej nocy mój sen był rozwijającym się  
 sztandarem,  
 którego białe-czerwone usta głosiły:  
 POETO!  
 OCALENIE TWOIM NAJWAŻNIEJSZYM OBOWIĄZKIEM !/  
 gdy wszedł komornik.

znów jestem  
 panu, przepraszam, państwu  
 coś winien?  
 - Nie ma niewinnych - odparł - Musi być  
 sprawiedliwość.

- Moje serce  
 - powiedziałem - pracuje bez przerwy i  
 niech mi pan wierzy, nie zarabia nawet na siebie. To  
 prawda, żyję na kredyt, ale...

Właśnie  
 odebrano panu kredyt  
 zaufania. Pan już nie żyje! - wykrzyknął  
 i chwycił moją maszynę do pisania.

- Moja maszyna do pisania jest piękna! - zawołałem

zza grobu słowami Cendrarsa.

— Nie

interesuje mnie jej wartość  
 estetyczna - powiedział już na schodach i za późno  
 zrozumiałem, że język jest nieskuteczną bronią bezbronnych.  
 Czy muszę wyjaśniać, dlaczego od tej pory mój sztandarowy sen  
 nie ma  
 ust ?

#### POEZJA LINGWISTYCZNA

Aby zostać poetą trzeba mieć język  
 giętki W związku literatów z czym należy  
 oćwiczyć go gimnastycznie Wykurzyć  
 z jamy gębowej w ramach zbratania  
 z rzeczywistością Zmusić by stanął na  
 głowie która co pomyśli to po myśli  
 kolejnego zjazdu Następnie  
 powinien stać się rozlewny jak opis przyrody  
 Wsączyć się do ust przez zaciśnięte zęby  
 być nożem rozwierającym szczękę  
 Na powrót mięsisty tuż pod sklepieniem  
 podniebienia które jest najwspanialszym cyrkiem  
 Niech posiadzie sztukę akrobacji Przejdzie na włosku  
 ironii Będzie  
 przez chwilę /chwilo trwa!/  
 języczkiem od-wagi Przechyli szalę  
 na swoją stronę  
 bierną Odbity  
 od trampoliny obróci się o 360 stopni  
 drabiny społecznej W ułamku sekundy przyjmie  
 360 możliwych pro  
 pozycji od dołu do góry na której ma się cudowne widzenia  
 Pod tę górę /dla ćwiczenia dykcji/ niech toczy kamień idei  
 miele nim Niech to robi ze smakiem Ze smakiem krwi  
 Młaskaniem mając obrzękły koniuszek  
 niech odda swój głos na front  
 jedności narodu Na froncie przemieni się  
 w język spustowy języczek ognia /wiersz to Strzelecki  
 rów/ Mając za sobą  
 sporty obronne może przejść do ataku  
 kaszlu Teraz  
 niech przemawia do rozumu  
 Chytrze podchodzi serce od tyłu aż do  
 ścisku gardła Czasami wielojęzyczny  
 niech gryzie się w porę Niech  
 trzyma się za zębami  
 W chwilach osobliwych niech pokaże  
 się na co go stać ale w tej kontestacji  
 niech będzie ostrożny  
 bo może wyłożyć się  
 przejęzyczyć  
 na język obcy Choć wóczas  
 jest jedna szansa na tysiąclecie  
 Niech powiesi się  
 Ledwo dysząc jednym tchem

niech się stanie wywieszonym językiem  
gazetek ściennych

1973

### HIGIENA OSOBISTA

Przyznam, że coraz częściej myślę  
z niepokojem o higienie osobistej mojego narodu  
Pomijam tu elementy chuligańskie które  
- zgodnie z prawdą historyczną -  
doznają oczyszczenia tylko w okresach zimowo-wiosennych  
Ale dajmy na to  
Jak często zmieniają majteczki nasi czołowi politycy  
Ile razy na miesiąc podmywa się Liga Kobiet

Nie znajdując jednak w gazetach ani w rocznikach GUS-u  
odpowiedzi na te najbardziej palące pytania współczesności  
czytam plakat polityczny w szalecie publicznym  
RZEZACZKA I DUR BRZUSZNY TO  
CHOROBY BRUDNYCH RĄK  
Ho ho myślę sobie i wycieram ręce  
w ideologicznie czysty papier toaletowy

1973

### EPISTAXIS

O godzinie dwudziestej czwartej czasu warszawskiego  
gdy Polskie Radio w programie trzecim zęgało słuchaczy  
hymnem narodowym  
a w innych programach trwały jeszcze  
nocne Polaków rozmowy o bezsenności  
szkołach zdobywców liście przebojów studia rytm  
znosiłem cierpliwie kolejny krwotok z nosa  
Krew bezboleśnie upływała ze mnie nie mogłem więc  
mówić o cierpieniu które uszlachetnia  
Był to zwykły epistaxis  
niegodny wiersza nie będący  
chorobą zawodową ani romantyczną  
dla którego na próżno szukałem wielkiej metafory  
i analogii w dziejach ludzkości  
Rozwijające się pochody krwi  
Transparenty  
Napisy na murach  
Słynne marsze kaprali  
Szkarłatne błyskawice dzięki którym  
na ścianach wolności /gdzie błękitna krew  
krążyła/ nieszała się z purpurową idiotów/

realizowały się sny ludzkie o potęgę  
 Przestrzelone ręce rewolucjonistów  
 Przebite ręce Pana Jezusa który ukazał się  
 Edmundowi Monsielowi w Wielki Piątek  
 Ręce wyjęte z dramatów Szekspira  
 Starte do krwi i kości ręce budowniczych Nowej Huty  
 Piosenki o czerwonych makach i innych kwiatach zła w kolorze  
 solferino Płonąca krew wszystkich wolnych  
 umysłów Tych którzy sami przeciwko sobie otwierali  
 ciężką bramę między żabrami  
 wyrwali serce nieśmiertelne  
 w poezji Lekcje historii i godziny wychowawcze  
 po których zostawały rany postrzałowe ziemi Strzały  
 w otwarte usta pijących ze źródła  
 Najwyższy szczyt oddechu z którego runie  
 jeszcze nie jeden Kordian  
 Przywoływałem też z rzeczywistości  
 miesiączkujące kobiety które są warunkiem postępu  
 krwiodawców w kolejce po zapłatę  
 Podniesiony głos Bohdana Tomaszewskiego gdy gorąca krew  
 manifestuje na stadionach sportowych  
 Nie były to jednak właściwe odwołania Tampon  
 mający zapobiec dalszemu rozlewowi krwi  
 nie okazał się skutecznym instrumentem przemocy  
 Krew nadal bezboleśnie upływała ze mnie Tradycja narodowa  
 potwierdzała taką możliwość przelewania biało-czerwonych ciałek  
 z pustego w próżne  
 O godzinie dwudziestej czwartej czasu warszawskiego gdy  
 Polskie Radio zęgnęło słuchaczy hymnem narodowym  
 myślałem o tym że przecież kiedyś  
 historia usprawiedliwi  
 tę odrobinę idea w najciemniejszym miejscu serca  
 moją krew przeciekającą między palcami

marzec 1979

Jacek BOCHENSKI

## P R O S P E K T

## /Fragm. powieści o Tyberiuszu/

Wszyscy mogą wziąć udział w podróży z cezarem Tyberiuszem. Oto najnowszy, prawdziwie awangardowy rodzaj turystyki. Dość sennego wałęsania się z aparatami fotograficznymi, wystawiania przed martwymi posągami w muzeach, jolowego gapienia się na łuki triumfalne, świątynie i akwedukty! Nikt nie będzie nigdzie jeździć tak sobie, żeby tylko popatrzeć. Przystawiamy się na metody nowoczesne, na turystykę zaangażowaną! Każdy, kto znajdzie się w tej drodze, zostanie natychmiast ogarnięty żywym tokiem dziejów i zmuszony do działania jako aktywny uczestnik historii. Wypłyniemy na szersze wody. Morskie mianowicie. Morskie, aczkolwiek przybrzeżne. Czeka nas między innymi żegluga. Ale niech nikt nie myśli, że w licznych miejscowościach, do których zawiniemy, będzie się można tylko wylegiwać obojętnie na plażach.

Byłoby dobrze nie obciążać się zbytnio bagażami. Nie radziłbym podróżować z rodziną, szczególnie w wypadku, gdy ktoś czuje, że jego związki rodzinne są jeszcze żywe. Rodziny będą się łatwo rozpadać. Lepiej w ogóle zapomnieć, że było się do czegośkolwiek przywiązaniem uczuciowo lub w jakiś inny sposób. Samo pojęcie przywiązania, zwyczaju a nawet gustu stanie się kłopotliwe a nawet śmieszne. Wyrzucić ten balast! Prawdę mówiąc, nie należy właściwie brać w drogę niczego, także na przykład modnych strojów i przedmiotów. Wszystko zestarzeje się w gnieniu oka, nowość jest pozorem niesłychanie zdradliwym. Niestety, dotyczy to również naszych nowoczesnych metod turystycznych, co stwierdzamy od razu i całkiem szczerze w niniejszym prospekcie.

Coś dla kobiet. Współżycie seksualne wszystkich ze wszystkimi będzie swobodne pod warunkiem, że zostanie zgłoszone. Nie potrzeba zgłaszać każdego wypadku z osobna. Wystarczy zawiadomić o samej chęci zajmowania się pewnym procederem. Formalności należy jednak dopełnić bez pruderii lub niedomówień. Możemy to przeźwyczyć. Na przykład z panią.

Rozumiem pani sytuację. Znam sprawę, która staje się już nieznosna i wymaga ostatecznie jakiegoś załatwienia. Pani potajemne stosunki z panem X trwają od pewnego czasu. Te ukradkowe spotkania są, oczywiście, niezgodne z prawem. Zabiegi o dyskrecję, wyjazdy za miasto, poszukiwanie ustronnych lokali - wszystko to początkowo bawiło, teraz tylko denerwuje i męczy. W gruncie rzeczy nie idzie wcale o trudności z mężem pani, który jest wolny od przesądów i byłby gotów przytknąć oko na niejedno. Ale można go zrozumieć, jeśli nie chce zwichnąć sobie kariery. Ten człowiek boi się po prostu, by nie wyszło na jaw, że w jego rodzinie toleruje się łamanie prawa. Otóż postanowiła pani dla wspólnego dobra i w interesie publicznym zdobyć się na rozsądek nie mniejszy od rozsądku męża. Stawia się pani w rzędzie edyla. Bardzo słusznie.

Jestem edyłem, dzień dobry, pani do mnie? W jakiej sprawie? Przyszedłam złożyć oświadczenie. Nazwisko pani? Wistylla. Miejsce zamieszkania? Wiek? Czy w sprawie grzywny? Nie, nie ja w sprawie obyczajowej... Pani jest mężatką? Tak. A czyją żoną? Tytydusza Labeona. W porządku, Tytydusza Labeona, słucham. Jestem zaprzyjaźniona z panem X i chciałabym otrzymać licencję. Jaką licencję? Właśnie w związku z tą przyjaźnią obawiam się, żebym nie była pociągana do odpowiedzialności, i chciałabym otrzymać licencję. Koteczko, nie wydajemy licencji na przyjaźń, wydajemy licencję na nierząd. Proszę nie nazywać mnie koteczką. Ale po co się gniewać, koteczko, jesteśmy dorosłymi ludźmi. Koteczką mogą być dla pana X, tu jestem obywatelką rzymską, Wistyllą. Dobrze, czy pani się chce zarejestrować w naszych spisach? Chcę zrobić wszystko, czego wymagają ustawy. Och, ustawy, ustawy, a nie miałyby się wolnej godzinki dziś wieczorem? Phiii, jaka naburmuszona! W porządku, musi pani złożyć oświadczenie. Nazwisko? Wistylla, mówiłam przecież. Ale trzeba wszystko

zapisać w aktach. Wistylla, żona Tytydusza Labeona, gdzie zamieszkała? W Rzymie. Nazwisko ojca? Matki? Ranga społeczna męża? Pretorska. Co takiego? No, chyba mówię wyraźnie: pretorska. Przepraszam, ale nie zdarzył się nigdy taki wypadek, żeby osoba z rodziny pretorskiej rejestrowała się w tym charakterze. Więc właśnie zdarza się taki wypadek i proszę wypełniać swoje obowiązki. A, oczywiście, oczywiście. Potrzebne jest tylko to oświadczenie: ja, Wistylla, żona Tytydusza Labeona, zamieszkała w Rzymie, stawiam się dnia takiego a takiego w edylacie kurulnym i oświadczyłam zgodnie z prawdą, że zajmuję się prostytutką. To wszystko? Tak, wszystko w trybie administracyjnym. Czy mam już prawo spotykać się z panem X? Tak, ale...

Ale bez gwarancji! Ciąg dalszy przeświczmy z mężem, Tytyduszem Labeonem. Nie będę ukrywał: małżonka źle wypadła w swojej próbie. Być może, nie umiała trafić we właściwy ton podczas rozmowy z edylem. Bądź co bądź wiadomość o jej rejestracji rozniosła się po mieście i wywołała ogólne poruszenie opinii. Rzeczą oparła się o senat. Skutek był taki, że na przyszłość zabroniono udzielać licencji kobietom z wyższych klas społecznych. Aristokratki, które zamierzają brać udział w podróży, muszą się teraz liczyć z pewnymi ograniczeniami. Męża wzwano do złożenia wyjaśnień przed sądem.

Sędziowie mają kilka pytań do Tytydusza Labeona. Czy było mu wiadomo, że jego żona Wistylla uprawia rozpustę? Owszem, owszem, proszę sądu, było mi wiadomo. Od kiedy? Ta sprawa, proszę sądu, nabrała rozgłosu, kiedy Wistylla zgłosiła się w edylacie kurulnym i otrzymała licencję. Rzeczywiście, swego czasu otrzymała, sąd jednak stwierdza, że licencję cofnięto, w ogóle zaś nie idzie o to, czy została udzielona licencja, ale jak się Tytydusz Labeon odniósł do faktu rozpusty. Byłem wstrząśnięty i trudno mi nawet mówić o tym z powodu wielkiego wzruszenia. Czy dowiedział się o prostytutce żony od niej samej? Nie, nie, od osób trzecich. Jakie kroki przedsięwziął, gdy się dowiedział? Byłem naprawdę głęboko wstrząśnięty. Czy znane mu są przepisy zawarte w ustawie julijskiej oraz papijsko-popejańskiej o zwalazaniu stosunków pozamałżeńskich? Ależ naturalnie, przepisy te są mi znane. Dlaczego nie wdrożył przeciwko żonie postępowania karnego w myśl tych ustaw? Proszę sądu, sam jestem prawnikiem i nasnęły mi się wątpliwości, czy rozpusta licencjonowana, wyjęta spod działania owych przepisów, może podlegać represjom. Ależ licencję cofnięto, dlaczego więc po cofnięciu licencji nie dopełnił swoich ustawowych obowiązków i nie postarał się o ukaranie żony? Czy ma coś na usprawiedliwienie? Oczywiście, proszę sądu. Sprawa była zbyt poważna, by działać pośpiesznie. Według przepisów mogłem ją podjąć w terminie sześćdziesięciodniowym. Przecież termin jeszcze nie upłynął.

Termin? Sąd zarządza przerwę i udaje się na naradę. Rzeczywiście, termin nie upłynął. Dlaczego nikt przedtem nie zauważył? Wszczyną się sprawę precedensową, doniosła i dopuszcza się do skandalicznych niedopatrzeń! A kto miał wiedzieć, że terminy się jeszcze liczą? A kto powiedział, że nie? Jest właśnie na odwrót. Właśnie teraz bardzo się liczą terminy.

Już po naradzie. Sąd przyjmuje do wiadomości wyjaśnienie Tytydusza Labeona.

Sąd uniewinnia Tytydusza Labeona.

Sąd skazuje na zesłanie Wistyllę, żonę Tytydusza Labeona.

Trzeba będzie jednak bardzo uważać na związki seksualne w czasie podróży. Prawo bywa tak płynne.

Coś dla pisarzy.

Coś właśnie z tej płynności, z tej niepochwytności, z tych szybkich przeobrażeń środowiska, z tych spazmów świata, z tego usuwania się gruntu pod nogami, kiedy niepewne są podstawowe pojęcia i wymierają gatunki literackie. Nie brać na drogę książek! Tradycyjne formy artystyczne znikną niemal z dnia na dzień. Od czasu, gdy w Tomi nad Morzem Czarnym umarł wygnany Owidiusz, nie ma

już ani jednego poety i nie pojawiają się następni. Dopiero co było ich tylu, a nagle, jak ręką odjął, nie słychać o żadnym. Proszę się nie obawiać: nowych zesłań ani wyroków na pisarzy nie będzie /bez gwarancji jednak!/. Nikt natomiast nie ośmielił się niczego opowiadać w sposób uporządkowany, epopeje i wielkie fabuły wyginą jak gdyby ze wstydu. Rzecz ciekawa: zawsze jeszcze znajdują się tacy, którzy je zechcą czytać, ale zabraknie autorów, którzy by je chcieli pisać. Wyginą także utwory liryczne, elegie miłosne i poezja refleksyjna. Zaczną się krzątać obrótni dostawcy tekstów użytkowych, poszukujący zamówień i pytający o zapłatę. Wielkie tradycje, jak ta, którą przeżył Nazo poeta, ustąpią miejsca tragediom płaskim i małym. Będą się zdarzać nagle bankructwa i fatalne upadki z powodu niedopatrzenia terminów albo pomylenia koniunktur. Ktoś rutynowany spróbuje opracowywać zawczasu poematy żałobne na śmierć osobistości jeszcze żywych, by mieć pod ręką gotowy tekst i zgłosić się z nim w odpowiedniej chwili. Wyjdzie to na jaw tylko przez nieostrożność autora. Próbę wygrania na czasie przypłaci on życiem, gdy upatrzysz sobie kolejnego bohatera, bąknie w towarzystwie, o kim pisze nowy utwór.

Chyba najgorszego błędu dopuści się kronikarz historii współczesnej, Wellejusz Paterkulus. On jeden w poczciwym umiłowaniu tradycji zechce jeszcze uprawiać ten dawny gatunek, od którego inni będą się trzymać jak najdalej z przezorności i snobizmu. Niemal w przeddzień katastrofy Sejana wychwali go ponad wszelką miarę, a gdy się nazajutrz obudzi, zapytają go nagle, dlaczego był poplecznikiem zbrodniarza. Będzie to jednak przypadek odosobniony. Nie naśladować tego wzoru! Jest przestarzały.

Zapanują nowe rodzaje literackie. Choć w istocie nie będą całkiem nowe, bo nic nigdy nie jest w tej dziedzinie całkiem nowe, uda im się przynajmniej sprawić wrażenie nowych. Wypłyną tematy konkretne, lekarskie na przykład. Powstanie literatura faktu. Wypłyną też tematy nieokreślone i powstanie literatura nudy. Po zagładzie opowieści epickich, zwartych i jednolitych, wyroją się utwory bezwałkowe, niejako bezkostne, dziwnie rozczłonkowane i ciągliwe. Będą to organizmy zimnokrwiste, żywiące się byle jakim pokarmem, o budowie zawilej i bardzo zróżnicowanej wewnętrznie, utwory - konglomeraty, nieco monstrialne, lecz nie-zmiernie strojne. Zamiast fabuł pojawią się serie niepowiązanych zdarzeń. Uzna się bowiem, że wszystko, co literatura mogła opowiedzieć, opowiedziała już wcześniej. Pozostaje zabawa w odwracanie do góry nogami starych modeli artystycznych. Zostają puste formy, które można przynajmniej z hałasem potłuc. Każdy z tych nowych utworów, będzie się starał głównie o to, by nie być podobnym do innych osobników swojej grupy i w ogóle odróżniać się od wszystkiego. Nadzwyczaj bujnie rozkrzewiają się style. Ogromnie rozpuści się język, który nabierze pretensji i chimer. Zdania porosną wielosłowiem, płataniną złożzeń podrzędnych i szyków przestawnych, spiętrzą się, pokręcają, zawężają, gęsto w nich będzie i ciemno, ale przede wszystkim błazeńsko i niesamowicie, jak w ciemności między obłąkanymi: niczego już nie będzie można być pewnym, na nic liczyć, wszędzie kpina i chichot, matnia i pułapki, i nie tędy droga, a gdzie droga? A nie ma drogi, bo po co? Lepiej nam tu w skłębieniu - powiedzą sobie chimery - i tak już pomieramy, więc umierajmy z chichotem, pogryźmy się albo co? Się posiekamy może w kostkę albo w paski się, albo wtrójkąty się, albo się nadymamy, pękniemy aż, kurczmy albo się, spłaszczajmy albo się. Tak będzie. I nie ukrywam wcale, że coś takiego jak z nowymi utworami literackimi, które zapanują, stanie się niestety i z naszą podróżą, coś w tym stylu, bo takie style są dane, a styl jest zawsze dany, o czym już była chyba kiedyś mowa. Usiłując więc za wszelką cenę odróżnić się i przejawiać jaką taką osobowość w tłumie, lub może z innych powodów intymnych czy obiektywnych /nie wiem i mniejsza o to/ bądź co bądź odznaczają się owe utwory niezwykłymi przeobrażeniami wyglądu i samej substancji. A to upierzą się, a to pokryją wypustkami, a to zrogowacieją, a to zgalarecieją, a to zaczną wyłamywać sobie kończyny, odgryzać ogony, wyszarpywać odwołki, kaleczyć się na wszystkie sposoby, dzielić i rozdrabniać, jakby zmierzały umyślnie do samozniszczenia. Wbrew pozorom nie będzie w tej faunie samego chaosu. Przeciwnie. Jeśli się przypatrzeć, będzie porządek i wielka systematyczność, ale już tylko taki porządek i taka systematyczność, jak wśród

martwych polci mięsa w jatce.

Waleriusz Maksymus na przykład. Właściwie pedant. Ułoży spisy wypadków, dobieranych według pewnego klucza, zgromadzi, dajmy na to, wiadomości o snach, które śniły się ludziom w różnych czasach. Lub inna seria: nieprzeciętne zgony. Lub taki zbiór: liczne rodzaje zemsty. Każdemu epizodowi poświęci Waleriusz Maksymus jedynie krótką notatkę. Tu i ówdzie dołączy kilka słów komentarza, ale rzadko. Powstanie z tego obszerne dzieło w dziewięciu księgach, sama prawie dokumentacja, samo wyliczanie faktów z przejrzystym podziałem na kategorie. Kolekcjoner literacki Waleriusz Maksymus będzie jednak moralistą. Zachowa jeszcze te skłonności, ale będzie moralistą nie wprost, nie takim, który żyjąc między ludźmi, wzbiera oburzeniem i wtrąca się z uwagami, lecz moralistą świata odbitego niejako w lustrze, martwego i niemego, świata abstrakcyjnych modeli historycznych, lecz trochę w stylu naszej podróży. /Z rozdziału "O bezinteresowności i opanowaniu": "Diogenes w Syrakuzach, myjąc jarzyny, na uwagę Arystypa "gdybyś chciał podlizywać się tyranowi, Dionizjuszowi, nie jadłbyś takich rzeczy" - "właśnie" powiedział "a gdybyś ty chciał jadać takie rzeczy, nie podlizywałbyś się tyranowi Dionizjuszowi""/. Jednak po egzekucji Sejana autor zabierze głos na tematy aktualne, mianowicie z wielką gwałtownością potępi straconego. "Całym więc pędem ducha, całą mocą oburzenia rwę się by napiętnować..." Chociaż Sejan "usiłował pogрузić ludzkość w krwawych mrokach", udało się zapobiec na największym nieszczęściu, albowiem "czujne były oczy bogów" i "żadna siła, której obowiązkiem było czuwać nad dostojnym życiem cezara i całością ojczyzny, nie pozwoliła sobie na opieszałość". To też "zachowany został pokój, obowiązują prawa, rzetelna ciągłość w życiu prywatnym i służbach publicznych jest zabezpieczona". Natomiast Sejan "zmiażdżony siłą narodu rzymskiego wspólnie z całym swym potomstwem" cierpi zasłużone kary nawet w zaświatach, "jeśli go tylko tam dopuszczono".

Wzór Waleriusza Maksymusa bardziej niż poprzednie nadaje się do naśladowania. Całe jego dzieło zostało zresztą stworzone w celach potrosze użytkowych, aby je naśladować i przytaczać z niego cytaty w przemówieniach i pismach. Ale wbrew oczekiwaniom język nie uległ jeszcze alogicznemu rozprzężeniu, zdanie się jeszcze nie zagryzły, się nie posiekały w kostkę, inaczej one się niż my byśmy się się, one tylko tak jakoś: z upodobaniem do przydawek, wśród bardzo wielu okoliczników, mżoląc się nad wydłużeniem ciała, węże, ciągną i ciągną aby dalej, podczas gdy wypukłości gruntu przeszkadzają naprężonemu podbrzuszu i trzeba pokonywać drogę uważnie zakosami, aby nie było zakłóceń rytmu, lecz aby zdania, ciężkie i zmęczone, sunęły między przeszkodami ślizgiem pozornie płynnym, a wszystkie ich skurcze i napięcia pozostały możliwie niedostrzeżone.

Koniec ofert dla pisarzy w tym prospekcie.

Och, byłbym zapomniał: Fedrus! Ale nic dziwnego, bo o Fedrusie przeważnie się zapomina. Fedrus będzie geniuszem. Nikt go jednak nie uzna, a on sam nie będzie, oczywiście, wiedział, że jest geniuszem. W ogóle geniusze wyszli z mody, ich era minęła, wszyscy możliwi geniusze zrobili na długo przed Fedrusem, co do nich należało i pomierali, a nowi byłiby tylko śmieszni, ponieważ wiadomo, że geniuszy nie może być już na świecie. Rzeczywiście, Fedrus nie wymyślił nic oryginalnego we współzawodnictwie stylów. Nie nastąpi też dzięki niemu samobójstwo żadnego gatunku literackiego. Fedrus jako były niewolnik zachowa przez całe życie poczucie więzi z ludźmi pozbawionymi swobody i głosu. Będzie pisał bajki o żabach, osłach i kotach, ale wypowie tym sposobem myśli o ludziach, które żadnemu innemu pisarzowi nie przyjdą do głowy. Oglądając świat od dołu, z głębin biedy i poniżenia, stworzy filozofię niewolnictwa i ustali jej ironiczne aksjomaty. Według własnego określenia posłuży się starym gatunkiem, ale nowymi treściami: "Krytycy powiedzą, że wszystko, co niecie, ściągnąłem z Ezopa, a co im się nie spodoba, przypiszą mnie". Istotnie krytycy będą mieli Fedrusa w pięcie. Jeszcze po latach Kwintyliani nie wymieni go nawet w swoich katalogach. Fedrus będzie wielokrotnie przypominał, że nie jest wynalazcą ani klasykiem bajki. Klasykiem był Ezop. Co się zaś tyczy samego wynalazku, nie dokonał go również Ezop. Sprawa wyglądała jeszcze inaczej.



Fedrus opisz to w następujący sposób: "Teraz wyjaśnię krótko, po co wynaleziono gatunek bajki. Ludzie w służbie i niewoli nie mając śmiałości mówić tego, co chcieli, zamykali swe uczucia w powiastkach i pod pozorem, że zmyślają żarciki, unikali prześladowań. Ja ze ścieżki przez nich udeptanej zrobiłem drogę, wymyśliłem więcej, niż oni pozostawili, a to i owo dołączyłem na swą zgubę". Sejan, zanim zginie doczyta się jednak w bajkach Fedrusa przytyków osobistych. Pójdą w ruch donosiciele, świadkowie złożą potrzebne zeznania i skazany Fedrus będzie musiał przez pewien czas odsiadywać karę. /To właśnie ten wyjątek, bo w ogóle wyroków na pisarzy nie będzie/. Fedrus powie jeszcze o sensie bajkopisarstwa: "Jeśli ktoś pomyli się w podejrzeniach i weźmie do siebie to, co jest wspólne wszystkim, obnaży tylko w głupi sposób swoje nieczyste sumienie. Niemniej chciałbym się przed nim wytłumaczyć: nie jest mianowicie moim zamysłem wytykać poszczególne osoby, lecz ukazywać samo życie i naturę ludzi".

## FASADA I TYŁY

Rok 1787. Caryca Katarzyna II odbywa wielką podróż przez południowe obszary swego państwa. Pragnie zobaczyć kraj z bliska, ujrzeć na własne oczy, jak żyje prosty rosyjski lud. Tak się jednak fatalnie składa, że lud żyje znacznie gorzej, niż to sobie wyobraża caryca. Co zrobić, aby nie rozczarować władczyni? Faworyt Katarzyny, książę Potiomkin, wpada na genialne rozwiązanie. Wzdłuż trasy podróży zbudowane zostają w szybkim tempie makiety osad i wiosek: sztuczne fasady chłopskich domków, z daleka patrząc - ładne, nowe i schludne, poza sobą jednak skrywające pustkę dzikiego stepu lub co najwyżej zwyczajną nędzną zagrodę. A ponieważ caryca ogląda te dziwne dekoracje z oddali i w dodatku z okien pędzącej karety, złudzenie jest pełne. Władczyni wraca z objazdu zadowolona, a na faworyta spływają nowe łaski.

Tak narodziły się słynne "wsie potiomkinowskie". W krajach Europy Wschodniej określenie to jest popularne do dzisiaj. A szczególną karierę robi właśnie w ostatnich czasach, w drugiej połowie dwudziestego stulecia. Oznacza ten osobliwy - nieodłączny od panującego tu ustroju politycznego - system złudzeń i makiety, konstruowany na użytek zewnętrznego obserwatora, a mający za zadanie wywoływać wrażenie, że wszystko jest w porządku, że kraj kwitnie a obywatele są zadowoleni. "Wsie potiomkinowskie" to dla miejscowych ironistów hasło wywoławcze, odnoszące się metaforycznie do wszelkich zjawisk, których istota polega na zasłanianiu imponującą fasadą niezbyt imponujących tyłów. My, mieszkańcy Europy Wschodniej, stykamy się z takimi zjawiskami na co dzień. Pracujemy w państwowych gospodarstwach rolnych, do których w dniu wizyty dostojnika państwowego zwozi się dorodno bydło, wypożyczone od okolicznych rolników indywidualnych. Mieszkamy w miastach, w których z okazji przyjazdu przywódcy pokrywa się świeżym tynkiem rudery przeznaczone na rozbiórkę. Widzimy gigantyczne neony reklamowe świecące nad pustymi sklepami. Czytamy gazety donoszące codziennie o powszechnym entuzjazmie, którego sami nie czujemy i nigdzie na około nie dostrzegamy. Nęzliczone "wsie potiomkinowskie" składają się na nasze codzienne doświadczenia.

Nie zawsze jednak zdajemy sobie sprawę, że jedną wielką "wsią" potiomkinowską jest również nasza kultura.

A przecież właśnie ona szczególnie boleśnie odczuwa na sobie proces schizofrenicznego rozdwójnienia, szczególnie często przymuszana jest do konstruowania systemu makiety, zakrywających rzeczywiste dążenia twórców i rzeczywiste oczekiwania odbiorców. Zauważył niedawno przenikliwie jeden z naszych pisarzy/Andrzej Kijowski / że istota naszego ustroju polega nie tyle na jego szczególnym okrucieństwie, jak to ujmują stereotyp liberalny, i nie na szczególnym wyzysku jak chce stereotyp lewicowy, i nie wreszcie szczególnym tępieniu wartości narodowo-religijnych, jak głosi stereotyp prawicowy. Istota jego polega na kłamstwie. Na osobliwym nasileniu tego zakłamania, tego orwellowskiego dwójmyślenia, którym przesiąknięte są wszystkie sfery naszego życia.

Kultura - której głównym przeznaczeniem jest przecież kształtowanie w społeczeństwie określonych wyobrażeń o świecie - siłą rzeczy zmuszona jest do kłamstwa najczęściej i najboleśniej. Cały olbrzymi łańcuch instancji stymulujących, nadzorujących, cenzurujących i rozpowszechniających działa tu tak, aby w kulturze rodziło się możliwie jak najmniej wartości autentycznych, to znaczy - spontanicznych i niezależnych. Te bowiem są ex definitione niebezpieczne. Idealna kultura - zdaniem rządzących państwem - przedstawiać się powinna jako jedna wielka, monolityczna fasada, przyozdobiona mnóstwem rozmaitych upiększeń i imponująca wrażeniem bogactwa i siły - ale poza sobą nie kryjąca nic.

Cała specyfika kultury w krajach takich jak Polska polega jednak na tym, że metafora "wsi potiomkinewskiej" jest w jej wypadku nie całkiem trafna. Za fasadą nie ukrywa się tu bowiem bynajmniej pustka lub przytłaczające ubóstwo. Przeciwnie. Fasada oficjalnej kultury zasłania spory budynek kultury nieoficjalnej, zbudowany całkiem solidnie, choć oczywiście w stylu jaskrawo odmiennym niż fasada i nie tak jak ona jednolitym. Większą część pomieszczeń tego budynku na tyłach stanowią zresztą podziemne katakumby, które tym bardziej nie rzucają się w oczy zewnętrznemu obserwatorowi. Ten ostatni rysujący się za frontem kształty dostrzega na ogół tylko wtedy, gdy fasada, naruszona przez tę czy inną burzę dziejową, rozpada się częściowo i trzeba ją poddać okresowemu remontowi. W ostatnich latach jest chyba jednak i tak, że tylna oficyna zaczyna wyrastać p o n a d fasadę - i wygląda coraz bardziej na to, że właśnie ów skromny budynek jest główną /a w każdym razie najbardziej interesującą/ częścią dziwnie skonstruowanej budowli.

Myślę, że z tej osobliwej podwójności naszej kultury mimo wszystko mało sobie zdaje sprawę odbiorca na Zachodzie. Albo bowiem, nie znając naszej kultury bliżej, zakłada on naiwnie, że jest ona tak samo pluralistyczna i zróżnicowana jak w krajach zachodnich - albo też ze swego punktu obserwacyjnego dostrzega tylko fasadę, równie naiwnie przyjmując, że tak samo wygląda cała reszta budowli. Tymczasem nie jest tak, ani tak. Kultura w Polsce dzisiejszej nie jest ani - w pełnym tego słowa znaczeniu - pluralistyczna, ani tym bardziej monolityczna. Jest przede wszystkim podwójna. Jej istotę wyznacza głęboki przedział między tym, co oficjalne, sztuczne i zuniformizowane, a tym, co nieoficjalne, autentyczne i wewnętrznie wielorakie. Przedział między zniewoleniem a wolnością. Opozycja więc dość elementarna, gdyż walcząc o swoją autentyczność, wolność, możliwość mówienia prawdy - kultura walczy o własną egzystencję i społeczny sens; rezygnując zaś z tych wartości, sama skazuje się na martwość i zagładę.

Podwójność kultury, jej głębokie rozdarcie, zaczyna się już od języka, jakim mówimy na co dzień. Polski szary człowiek, przeciętny obywatel, wstaje rano i wysłuchuje komunikatu radiowego, który swoim sztucznym, fasadowym, pozbawionym wszelkiego znaczenia językiem oznajmia mu na przykład, że "załoga piekarni miejskich zobowiązała się walczyć ofiarnie o dalszy dynamiczny rozwój zaopatrzenia ludności". Następnie obywatel udaje się do sklepu, gdzie okazuje się, że pieczywa akurat zabrakło. Nasz bohater kwituje to ożywioną wymianą zdań z ekspedientką: obydwójce prześcigają się w wynajdywaniu barwnych i obrazowych określeń dla fatalnej sytuacji panującej na rynku. Jeśli jednak nasz bohater jest z zawodu dziennikarzem, zasiada z kolei w swojej redakcji i sporządza odpowiednią "notatkę interwencyjną", posługując się znowu językiem oficjalnym i sztucznym. "Mimo dalszej poprawy zaopatrzenia w pieczywo na pewnych odcinkach występują jeszcze okresowe niedobory". Po czym wraca do domu, gdzie przy obiedzie opowiada rodzinie najnowszy dowcip o Broźniewie. I tak dalej. Każdy z nas mówi po prostu równie biegle dwoma językami: jeden to mowa sloganów, używana w stosunkach ze zwierzchnikami czy w innych oficjalnych okolicznościach, drugi - to mowa potoczna: kpiąca, barwna i żywa, parodiująca nieraz oficjalną "mowę trawę", pełna umownych skrótów i ironicznych aluzji. Ten drugi język - jest w przeciwieństwie do pierwszego - niesłychanie produktywny i pomysłowy; jest jednak również nietrwały i zmienny, stoi po prostu na słabych pozycjach niż potężna fasada mowy oficjalnej, podbudowywana bezustannie przez środki masowego przekazu.

Podobne rozbitcie cechuje też tę sferę kultury, którą można by określić jako najszerszej rozumiany folklor. Także i on - choć dziwnie to brzmi - jest w naszym kraju "oficjalny" lub "nieoficjalny". Folklor oficjalny, folklor z państwową pieczętką to ludowe zespoły pieśni i tańca, karmiące nas od dziesiątków lat tymi samymi piosenkami; to masowe festyny na cześć tej czy innej gazoty; to - w dniach świąt państwowych - drętwe akademie, pochody z transparentami, ulice udekorowane czerwienią i bielą. Folklor nieoficjalny to zjadliwy dowcip polityczny /gdzieś indziej można znaleźć tak doskonałe dowcipy polityczne jak

właśnie w Polsce?/, to rozpowszechniająca się błyskawicznie plotka /pełniąca ważną funkcję jako nieoficjalne uzupełnienie odgórnie serwowanych wiadomości/, to dialogi w kolejkach, to piosenka śpiewana przy gitarze, to maszyny do pisania wystukujące niecenzurowane wiersze, to przekazywanie sobie z rąk do rąk zagranicznych książek i samizdatowych wydawnictw.

Wraz z tym ostatnim faktem wkraczamy już w dziedzinę kultury "wyższej" czy bardziej "elitarniej" - mniejszą z tym, jak ją nazwiemy - do której programowa nieoficjalność przedostaje się ostatnimi czasy coraz częściej. Zdajemy sobie jednak sprawę z pewnej zasadniczej trudności, która na tym obszarze się pojawia. Dowcip czy nawet piosenka nie nie trafia na tym, że funkcjonują w nieoficjalnym lub wręcz podziemnym obiegu: przeciwnie, zwiększa to nieraz ich popularność i atrakcyjność. Inna sprawa ze zbiorem wierszy, powieścią, tomem esejów. Forma książkowa jest dla nich najbardziej naturalnym sposobem utrwalania swego bytu i wejścia w obieg społeczny - a przecież w krajach takich jak Polska próba wydania książki skazuje twórcę nieuchronnie na takie czy inne uzależnienie od oficjalnych przedstawicieli polityki kulturalnej. Cóż zaś rzec o obrazie, który "żyje" przede wszystkim na wystawie, o spektaklu, który nie może się obejść bez teatralnej widowni, o filmie, który praktycznie przestaje istnieć w momencie wydania zakazu projekcji? Dla każdej z tych dziedzin system scentralizowanego zarządzania kulturą jest równoznaczny z dramatyczną alternatywą: albo włączyć się - za cenę rozmaitych ustępstw - w oficjalny bieg, albo skazać się na milczenie, samotność, nieistnienie.

Tak by się przynajmniej z pozoru wydawało. Jednak żywioł rzeczywistości rozsadza od wewnątrz wszelkie, nawet najbardziej sztywne alternatywy. Pojawiają się rozmaite "trzecie wyjścia". Jest ich sporo zwłaszcza w Polsce, gdzie przez trzydzieści trzy lata rządów partii komunistycznej ani razu chyba władzy nie udało się spacyfikować opozycyjnych nastrojów społecznych. Ta sytuacja zmuszała ją do stosowania od czasu do czasu różnorodnych wentyli bezpieczeństwa - również w dziedzinie kultury. Tak na przykład kolejne zmiany ekip rządzących łączyły się zawsze w Polsce z mniej lub bardziej krótkotrwałymi okresami "odwilży" kulturalnej, kiedy to również w ramach oficjalnego obiegu mogły się pojawić dzieła autentyczne i niezależne /gwałtowny wybuch tłumionych w latach stalinowskich spontanicznych tendencji artystycznych zaznaczył się zwłaszcza po przyjściu do władzy Gomułki w roku 1956, a podobną erupcję - choć na mniejszą skalę - mieliśmy do czynienia po zastąpieniu Gomułki przez Gierka w roku 1970/. "Trzecim wyjściem" jest również istniejąca w Polsce grupka czasopism i wydawnictw katolickich, które, jakkolwiek także poddane kontroli państwowej cenzury, usiłują jednak - nie bez powodzenia - zachować własną niezależność. Pojawiają się też okresowo jeszcze inne rozwiązania: przez pewien czas po przełomie politycznym roku 1970 oazą względnej autentyczności kulturalnej były na przykład czasopisma i teatry studenckie, co stanowiło w pewnym sensie cenę, jaką władza zmuszona była zapłacić za brutalne stłumienie protestu studentów w roku 1968.

Tego rodzaju "trzecie wyjścia" odegrały i odgrywają nadal naprawdę potężną rolę w dziele osłabienia centralistycznych tendencji polityki kulturalnej. Ich nieuniknioną wadą jest jednak połowiczność. W walce o dostęp do normalnego obiegu kulturalnego trzeba nieraz jako orężem obronnym posługiwać się ustępstwem i kompromisem. Trzeba znosić pokornie ingerencje cenzury, pertraktować z wydawcami, na własną rękę unikać słów, zdań i idei, które "i tak nie przejdą"; trzeba ponadto godzić się na występowanie w nie zawsze miłym kontekście /samemu zdarzało mi się publikować nonkonformistyczne, w moim przekonaniu, wiersze czy eseje w pismach, które na pierwszej stronie drukowały rocznicowe artykuły o Dzierżyńskim albo oportunistyczne deklaracje ideowe/. Twórca, który zdaje sobie z tego sprawę i który ma powoli dosyć własnej ustepliwej nieautentyczności, prędzej czy później zaczyna szukać wyjść jeszcze innych...

Owszem, wyjściem takim jest - zawsze była - możliwość publikowania w wydawnictwach i czasopismach emigracyjnych. Jednakże, pomijając już represje,

jakie spadają w takim wypadku nieuchronnie na krajowego twórcę, rozwiązanie to ma inny zasadniczy niedostatek, drukowanie za granicą to mimo wszystko usunięcie się na margines. Książka opublikowana w Paryżu czy w Londynie może u nas, w kraju cieszyć się znacznym rozgłosem, może być przekazywana z rąk do rąk, ale przeczyta ją i tak niewielu; wciąż jeszcze zbyt mało obywateli wyjeżdża na Zachód, wciąż jeszcze zbyt wiele egzemplarzy przewożonych przez nich książek wpada w ręce celników na przejściach granicznych. Toteż, choć coraz więcej napisanych w Polsce książek ma ostatecznie swoje pierwsze wydania za granicą, nie jest to wyjście wystarczające. I dlatego trzeba było przejść do rozwiązań jeszcze bardziej radykalnych.

Trzeba było - po prostu - stworzyć w kraju całkowicie niezależny obieg dóbr kultury.

Do uświadomienia sobie tej konieczności doszło w ostatnich paru latach na skutek pojawienia się na widnokręgu dwóch nowych czynników. Pierwszy nie jest właściwie niczym nowym; można co najwyżej powiedzieć, że chodzi o zjawisko powtarzające się okresowo, które jednakże tym razem przybrało miarę ogorzałości zarówno twórców jak i odbiorców kultury. Mowa o znacznym nasileniu kontroli cenzury nad twórczością. Od podobnych okresów wzmożonego nacisku w latach 1949 - 1955 i pod koniec lat sześćdziesiątych okres obecny /trwający co najmniej od roku 1975/ różni się nawet nie tyle większą surowością kontroli czy rozległością jej zasięgu /daje się ona we znaki nie tylko literaturze, teatrowi czy filmowi ale i sztukom plastycznym, a nawet muzyce/, co kompletną absurdalnością. Brak tu miejsca, aby cytować liczne przykłady decyzji cenzury, będące dowodem zupełnego braku kryteriów i zarazem obłądnego lęku przed udostępnieniem szerszej publiczności czegokolwiek choć odrobinę autentycznego, czy raczej: czegokolwiek choć odrobinę odstającego od kanonu wiecznie tych samych sloganów i banałów. Skuszenie pisał w sąsiedniej Czechosłowacji Vaclav Havel o "estetyce banału" jako jedyną, którą władza we Wschodniej Europie potrafi zaakceptować; niepokój rządzących budzi tu już nie tylko niezależność ideologiczna, ale niezależność jak a k o l w i e k, podejrzane jest wszystko, co wychyla się poza granice oficjalnej sztampy.

W Polsce lat ostatnich ten negatywny czynnik zderzył się jednak niespodziewanie z faktorem drugim - i to zderzenie osłabiło jego triumfalny pochód. Ten drugi czynnik to wzrastająca gwałtownie aktywność opozycyjna społeczeństwa, a w jego ramach - również środowisk artystycznych. Nie będę tu wyliczał szczegółowo przyczyn które złożyły się na to, że druga połowa lat siedemdziesiątych stoi w naszym kraju pod znakiem ostrego kryzysu zaufania społeczeństwa do władzy. Istotne jest, że coraz bardziej mnożą się rozmaite formy społecznego działania w obronie praworządności i prawdy, działania w większości wypadków całkowicie jawnego i powołującego się na obowiązujące ustawy.

Cenzura spycha więc to, co autentyczne, w nieoficjalność. Ale jednocześnie - i to jest nowością ostatnich lat - wszystko, co nieoficjalne, dąży otwarcie do publicznego ujawnienia się i wypowiedzenia swoich racji. Dlaczegożby z tej szansy nie miała skorzystać kultura? Jeśli dawniej oficjalne czynniki wstrzymywały druk książki, pisarz chował maszynopis do szuflady i cierpiał w milczeniu, albo - co gorsza - decydował się na skreślenia i kompromisowe poprawki. Dzisiaj bierze maszynopis pod pachę i zanoszą go do znajomej młodzi, która z zapakem kręci korbą powielacza, skonstruowanego domowym sposobem z wyżymaczki. Książka zostanie wydana i rozejdzie się wśród krajowych czytelników wydrukowana z pewnością nie tak ładnie jak w oficjalnym wydawnictwie ale czytana tym chętniej, że po publikacji nieoficjalnej spodziewamy się już odruchowo autentyczności i prawdy.

Polska roku 1977 jest doprawdy dziwnym krajem. Poza martwą bryłą zewnętrznej fasady, poza całą tą uprzykrzoną kulturą gorliwych dziennikarzy, posłusznych literatów, rzeźbiarzy stawiających państwowotwórcze pomniki, tekściarzy płodzących "zaangażowane społecznie" piosenki - poza tym wszystkim i w całkowitej opozycji do tego wszystkiego trwa gorączkowy ruch. Powstają odbijane

na powielaczach czasopisma i książki. Odbывают się w prywatnych mieszkaniach spotkania literackie. Rodzą się piosenki i satyryczne poematy. Organizowane są dyskusje, wystawy, przedstawienia teatralne. Wszystko to bez zgody władz i nawet bez ich wiedzy. Dawno już porzuciliśmy myśl o obłaskawieniu Lewiatana. To raczej on, przerażony rozwojem sytuacji, próbuje obłaskawić nieoficjalną kulturę, wyrwać kogoś z jej kręgu, przekupić tego czy innego twórcę wydaniem mu książki czy innym wątpliwym dowodem łaski. Ale jest już za późno. Powstała po prostu nowa alternatywa. Zamiast "kompromis albo milczenie" powiadamy dziś "kompromis albo niezależność", "kompromis albo autentyczność", "kompromis albo wolność".

I wybieramy to drugie.

Artykuł Stanisława Barańczaka, pomyślany początkowo jako wstęp do katalogu wystawy polskiej na Biennale del dissenso w Wenecji, wygłoszony został na sesji literackiej Biennale pod nieobecność autora, który nie otrzymał od władz polskich zgody na wyjazd.

Tadeusz KORZENIEWSKI

P R I M A A P R I L I S

Najnormalniejszy w kraju profesor, habilitowany Kazimierz Kuśka - wstał. Była szósta pięćdziesiąt. Wstał więc jak zawsze wstawał - i z méty poczuł się dobrze. A potem, wszak Profesor jest profesorem, zreflektował to, że poczuł się dobrze, jak i to dlaczego dobrze właśnie - i poczuł się jeszcze lepiej. Wezmę zimny prysznic, pomyślał z tego wszystkiego jeden z porannych perfekcjonizmów. I rzeczywiście, wszedł pod prysznic i go bierze. Szu, szu, szu szumi letnia woda. Profesor pogwizduje. A żona jego, którą Profesor zaraz po wojnie w jednych majtkach wziął, taka bida była u nich w domu, aż piszczała, żona jego, magister niepracujący i Kuśka Krystyna, no więc ta cała żona jego powiada..

- Kazimierz ?

- Uu - uu ? - odśpiewuje Profesor.

- Spażniasz się, Kazimierz, musisz się pośpieszyć.

A gdzie tam by się spażnił - on ? Profesor? - jak świat światem jeszcze mu się nie przydarzyło. Dokładny taki, sumienny, nawet skarpetki czy nosówki sam sobie wypierze. Krystyna tak tylko marudzi, jak to ona. Obecnie się zaniepokoiła, bo coś za długu łazienka nie odpowiadała; widocznie Profesor mył ja-  
mę. Zaraz też, rzeczywiście odśpiewał.

- Kochana moja, a gdzie tam bym się spażnił. Ja, Profesor ? Jak świat światem jeszcze mi się nie przydarzyło. Dokładny taki jestem, sumienny, nawet skarpetki czy nosówki sam sobie wypiorę. Ty tak tylko marudzisz, jak to ty...

I uspokoiła swój niepokój Krystyna. Wkrótce Profesor wczłapał w szlafroku do kuchni. Krystyna, niby mimochodem, poszła po coś do łazienki.

- Jak tu nachlapałeś ! - dziwowała się wielce po trzydziestu latach.

- Istny potop ! Uch, jak ty możesz, jak niedźwiedź.

I zmiłością zaczęła wycierać.

- Trochę nachlapałem, nic się nie stało - odpowiedział Profesor, zajadając grzanekę.

Ot, dzień jak codzień. Ale kiedy po jakimś czasie żona odprowadzała już Profesora do drzwi, ten do niej powiedział...

- Pa kochanie.

Nie, tu jeszcze w porządku. Ale ona co powiedziała...

- Pa, kochanie, pa. Nie spażnij się tylko na obiad. Będą ruskie pierogi.

O jezu ! O chryste ! O matko boska ! Ruskie pierogi ? To już gorsze-  
go nie Krystyna nie mogła wymyśleć. Wszystko wszystkim, ale ruskie pierogi  
Profesor najgorzej lubił. Wprost nienawidził. Poczuł się bardzo skrzywdzony;  
ale wolał już lepiej nie drażnić Krystyny, znał ją jak lysą... Tak, tylko  
Profesor nie wiedział, że Krystyna go dziś wykiwała. Naprawdę na obiad będzie  
kiszka świńska, napychana tarkowanymi kartoflami i skwarkami, potrawa, którą  
Profesor darzył nie tylko smakiem, ale i sentymentem / u niego w domu to się  
robiło, jak świniaka zabili zawsze/. A był to po prostu primaaprilisowy żart  
Krystyny. Dziś przecież pierwszy kwiecień. Lecz Profesor o primaaprilisio nic  
jeszcze nie wie...

Nieduży grzecznościowy samochód małolitrażowy nawet sprawnie wkołował

w swój prostokąt na parkingu uniwersyteckim. Profesor trzasnął dobrze drzwiami, popróbowwał klamki i zatrzaśki, zaglądnął pod błotnik - i ruszył rześko przez dziedziniec. W trakcie marszu uświadomił, że wziął przecież przysznic - i ruszył jeszcze żwawiej, zupełnie sportowa sylwetka. Bardzo młodo wygląda, jaki sprężysty, no naprawdę. Tuż przed wejściem do Gmachu Głównego złapał go za rękaw... a, Bębenek, ten złodziej.

- No, jak tam. Czytałem wczoraj w "Le Rire", że twoje badania strumienia postępowej świadomości naukowej w IV w.n.e., w świetle najnowszych osiągnięć uczonych radzieckich nie wytrzymują krytyki ...

- zagadnął habilitowany Bębenek.

Przez zadowoloną świadomość profesora Kuśki przeleciała sinotrupia rakietą.

- Co?... Gdzie masz ten numer !... Jeszcze nie dostałem... - wyjąkał.

- Primaaprilis, kochany, cha, cha ! Primaaprilis jest dzisiaj, nabrałem Kuśkę, cha, cha ! - cieszył się szczerze prof. Bębenek jak mała, pogonił trochę tego złodzieja.

- Pri... a, cha, cha, primaaprilis ! A cha cha ! - ucieszył się również prof. Kuśka - Ale masz pomysły.

W hallu się rozeszli. Profesor skręcił do Auditorium Maximum. Jest to największa, najnowocześniejsza z sal wykładowych Uczelni: akustyka, klimatyzacja, telewizja przemysłowa. Ale bo trzeba wiedzieć, że wykłady z dziedziny historii wolności nauki są fundamentalne i obowiązują na wszystkich wydziałach i kierunkach wszystkich uczelni w kraju; więc nie mogą odbywać się na poddaszu, jak np. ćwiczenia z Płatonem. Sala była nalana po brzegi. Dziesiątki, setki zwycięzców w turnieju na manualne sprawności umysłowe, tzw. studentów, ziewało, gadało, trawiło blade stołkowe śniadanie. Ten i ów programował akcje erotyczne. Jeden z drugim popuszczali baki.

- Dzień dobry - powiedział Professor niegłęboko.

Razem z tyłkami studentów usiadł i brum na sali. Wykładowca otworzył teczkę i wypuścił listę obecności. Po czym sięgnął po... Po czym zaczął w tezcze szperać. Raz - nie ma. Drugi raz. No nie ma, cholerka. Wyłożył wszystko na stół... Nie ma co, notatki zostały w domu. A żebyś ty skisł, co teraz robić ?

Profesor nie różnił się w tym od innych profesorów i też wykladał z karteczek. Jeden - dwa - trzy, a potem do każdego a - be - ce - de. Żadna historia. Nawet nie trzeba mieć po kolei w głowie, żeby zrozumieć sytuację Profesora... Kierownik Zakładu Historii Wolności Nauki, członek komisji Do Spraw, wiceprezes zarządu Tramwadrata, członek komitetu Pif-Paf, doktor hc Uniwersytetu w Leningradzie, dokąd kiedy by nie pojechał, zawsze się schleją jak świnie z rodzicielskimi przyjaciółmi... Aha, był jeszcze honorowym przewodniczącym Wojewódzkiego Związku Łowieckiego.

I członkiem Komitetu Rodzicielskiego u syna w szkole.

I jeszcze, doszedł nawet do sternika jachtowego w akademickim Yacht-Clubie.

No i oczywiście, przede wszystkim, samo przez się, o czym się doskonale wie, był aktywnie biernym członkiem jedynie słusznej formacji obywatelskiej naszego kraju, wielkiej socjalistycznej partii politycznej Pic Na Wodę.

W żadnym wypadku nie można depuścić do kompromitacji, gorączkował się Profesor. Ale jak to /a jakie miał czasem wyjścia w bridża sportowego/... ale jak to zrobić, skoro nie pamiętał nawet, o czym mówił ostatnio. I co tu się dziwić, tyle tych grup różnych, materiały nie zawsze równo idzie, święta, dni rektorskie, etc. Podejść zobaczyć u kogoś w notatkach... Nie, nie. Nie można dawać powodów. Swoim zwyczajem zaczął Profesor spacerować przed tablicą. Mówiliśmy już, że każdy Profesor jest przecież profesorem. I jaki by on tam nie był, głupi czy mądry, uczciwy czy świnia, homo creans czy naukowy hedonista i



polityczne popychadło - to jednak lata profesorowania nie idą w las. Czystą sproność intelektualną, spryt w kombinowaniu i umiejętność posługiwania się cerebralnymi instrumentami posiada z grubszą każdą z nich. A nasz Profesor nie różnił się od innych, również dokonał paru samodzielnych podróży w obrębie peryferyjnych zagadnień. I po niespełna minucie wyjście znalazł. Osiągnął nawet dosyć konkretną ideę rozwiązania problemu. Traf-trafem, dziś przecież prima aprilis! - uświadomił sobie. I wyrozumował, że wykład można podać przecież niezobowiązująco. Nawet żartobliwie. Prima aprilisowo. Oczywiście, za tydzień wszystko się odwoła i będzie tylko kupa śmiechu, a jaki zarobek na popularności! Najprościej by było, przez te dwie godziny, coś tam na żywo wykonstruować. Ot, coś, cokolwiek. Podjąć jakiś temat - i poddać mu się swobodnie, on już sam poprowadzi... pomyślał cytata z burżuazyjnego intelektualisty. No Boże, ale co, o czym tu, czas się odezwać... myślał dalej, już samodzielnie. Ot, o jej, byle się zaczęło... No cokolwiek!

- Może pan - poprosił uprzejmie głową. - Może pan podejdzie do tablicy.

Z ławki podźwignął się boy w nonszalancko cerowanym swetrze i idąc nie tylko nogami, ale biodrami, barkami, rękami, a nawet uszami, ustami i głową, zatrzymał się luźno przed tablicą. Bardzo luźny, bardzo, jaka swoboda, no naprawdę.

- Proszę pana - powiedział Profesor. - Proszę napisać: jeden dodać jeden.

Zastukała kreda.

- Ile to jest? - zapytał.

Stuknęła kreda raz, drugi i na tablicy pojawił się taki oto napis:

$$1 + 1 = 2$$

- Tak - powiedział Profesor. - Dlaczego?

Student lekko zwątpił. Co dlaczego, o co mu chodzi? Jeden plus jeden zawsze daje dwa, oczywista sprawa. Ale ponieważ Profesor nie przestawał czekać, student zaczął myśleć. No jak to, myśli, jeden, dodać jeden, równa się dwa? Jeden papieros, i jeden papieros, to przecież dwa papierosy. Śliwki /akurat jadt przed wykładem/, no ze śliwkami tak samo przecież. Może... buty? Że dwa buty to para, o to może mu chodzi? Nie, no co za... Ale Profesor czekał, i teraz już dosyć nachalnie - sam też nie wiele więcej wiedział od studenta w tej sprawie. A studenta cały luz sflaczał jak przekłuty balon, tu Profesor, za plecami trzysta osób, a on n i e w i e... Zaczął przypominać co było na ostatnim wykładzie - ale nie, było o badaniu czystej świadomości postępowej. I spostrzeżeniu postępowym bezpośrednim. Nie nie, to raczej coś z matematyki. Jakby tak obie strony scałkować? Albo różniczkować po... zera będą, nic z tego. Może przenieść na drugą stronę... to zero równe zero, też nic. Cholera, o co mu chodzi! Nerwy. A chwila nie czeka, tyje, pasie się na szeregowym myśleniu studenta, jest już jak największa kropla u dachu nabrz... Żubudu!

- Bo jeden i jeden daje nam zawsze dwa - usłyszał student swój niezwywy głos.

- No dobrze, ale dlaczego - uśmiechnął się zewnętrznie Profesor.

Student poczuł, że głowa mu lewituje.

- Jeden. I jeden... spróbował głośnego rozumowania.

Ale dalej już było pusto. Znowu zwiśła cisza. Każdemu, kto w duszy ma choć odrobinę empatii, robiło się w tej chwili nieprzyjemnie.

- No, niech pan siada. Dziękuję - zrezygnował Profesor i zwrócił się do sali.

- Może ktoś z państwa ma swoje zdanie? Dlaczego jeden plus jeden równa się dwa.

Ale populacja sali siedziała jak wół na malowanych wrotach. Zaspuntowana swoją ilością, myślała tę konstatację: "minęło już dziesięć minut". Profesor nie liczył na żadne wielkie tam amerykańki, skądże znowu, ale choć początek, choć pretekst do myślenia niech dadzą... Cisza. Trudno, wysnęło się, trzeba się teraz wykombi-

nować. Myślał niedługo.

- Dialektyczne ujęcie natury ludzkiej - ~~proszę państwa~~ - zaczął najodważniej dopuszczać możliwość postawienia takiego pytania.

- Z filozoficznej sprzeczności natury ludzkiego przekraczania /transcendencje/ i natury ludzkiego pozostawania /servare/, wiecznie wyradza się, pulsując między ekstremami szczęścia i cierpienia, ściąga nieustannie swoją świadomość, najprzedziwniejsza jakość dotąd spenetrowanego świata - człowiek. Niech dzisiaj ma głos człowiek transcendentny. Niech dzisiaj przemawia homo creans. Oto on niez mordowany prześladowca oczywistości. Znowu rozwija skrzydła. Znowu burzy i rozkopuje wyniosłą budowlę naszej cywilizacji aż do jej podstaw, aż do jej węgla kamiennego - bo jakże inaczej określić zjawisko, które dzisiaj mam obowiązek państwu opisać. Ten pewnik, ten aforyzmat, podstawowa teza naszej cywilizacji, każdego świadomego społeczeństwa - ta teza rzucona w podejrzenie - Teza, powiadam, proszę państwa. Teza, gdyż związek tu opisany jest tezą, niczym więcej! Ogół ludzki przyjmuje ją jako prawo, jako niekwestionowane twierdzenie, jako najoczywistszy z aksjomatów. Ale nie dziwny się, proszę państwa, ogółowi. Człowiek z ogółu jeszcze się dobrze nie urodzi, a już jest skazany. Zapastowany. Marzeniami i kompleksami rodziców, chytrym przysposobieniem do bezmyślnej w istocie służby społeczeństwu - szkołą, ogólnymi trendami ruchu zastanej amebry Ogółu. Bardzo rzadko zdarza się komuś być człowiekiem szczególnym.

- Więc teza, powiadam - gdyż nie znaleźliśmy związku tu opisanego na żadnych kamiennych tablicach, których nie przyniósł nam żaden Mojżesz; który nie otrzymał ich od żadnego pana Boga. Nie był też związek ten w chwili rodzenia się człowieka wypisany dla niego na żadnym kosmicznym monitorze.

- To konstatując, nie możemy nie kwestionować "prawdy jedynek". Musimy rozstrzygnąć - jesteśmy powołani do tego naszym naukowym obowiązkiem - musimy rozstrzygnąć najpierw o jej prawdziwości. Musimy sobie unaocznic jaka jest prawdziwa twarz prawdy jedynek!

Tu przerwał dla zaczerpnięcia tematu. Upolaryzował już z grubsza wysunięte zagadnienie i choć mówienia miał w tej chwili nie więcej jak na trzy minuty, w oparciu o swoją inteligencję i erudycję był całkowicie spokojny.

- Na to, by się przekonać o prawdziwości związku "jeden i jeden znaczy dwa" - podjął dalej - musimy poddać go weryfikacji. Musimy w trzeźwy naukowy sposób i zgodnie z metodologią nauki, sprawdzić ten związek we wszystkich możliwych permutacjach jego desygnatów. Zgodnie z naszą jedynie słuszną doktryną rozwoju rzeczywistości, jedynie słusznym sposobem weryfikacji jest skonfrontowanie tezy ze światem rzeczywistym. Realnym. Ze światem materii i niezawisłych praw nią rządzących. Nie obchodzi nas zabobon teofanii czy iluminacji! Nie chcemy świata subiektywnych idei podporządkowanych indywidualnym interesom zdeprawowanych irracjonalnie jednostek! Z głębokim przekonaniem odrzucamy średniowieczny realizm w sporze o powszechniki, jako naukowo zły, szkodliwy i skażony nieadekwatnością. My pozostajemy przy rzeczywistości. Tu, w tym namacalnym świecie, który jednoznacznie ujmujemy w korelacji zmysłów, jest nasze miejsce i nasze pole działania. Tu będziemy w sposób przemyślany, odpowiedzialny, bez zakłóceń porządku naukowego, bez naukowego warcholstwa, bez palenia naukowych Komitetów Wojewódzkich i ganiań po kątach ich personelu, będziemy sprawdzać - jestże nasze działanie prawdą czy nie jest.

Ciekawe co student w głowie kombinował, kiedy kazałem mu myśleć...

- Panie kolego - powrócił Profesor do studenta. - Nie odpowiedział pan na moje pytanie, ale nie był pan obowiązany, bynajmniej. To jest materiał nowy. Ale czy może nam pan choć w zarysie nakreślić jak pan...próbował, próbował wewnętrznie odpowiedzieć. Może dokonywał pan jakiej weryfikacji? - podpowiedział chytrze.

Studentowi nie trzeba było dwa razy podpowiadać. Już od pierwszej wzpian-

ki o weryfikacji przypiął się myślami do tych swoich...śliwek, butów i papierosów.

- No więc właśnie, panie profesorze, ja próbowałem to działanie, tak jak pan profesor powiedział...znaczy weryfikowałem - wyrzucił z siebie, ociupinkę jeszcze speszony.

- No słuchamy, słuchamy.

Student odrzucił buty i papierosy, zbyt trywialne jak na wykład akademicki. Pozostały...

- No więc weryfikowałem te działanie, yy... Śliwki po prostu dodawałem w pamięci - poszukał reakcji na twarzy wykładowcy.

- Tak, tak? No słuchamy, słuchamy. Niech pan jak najszczegółowiej opowie nam o swojej weryfikacji dyskutowanej tutaj tezy - zachęcał Profesor, sam jeszcze grał jak but w kwestii zdań nadchodzących.

Student się trochę namyslał. Jak podać, jak by to...zobrazować, te śliwki. Aha, ręce.

- No więc...Uznysłowiłem sobie, że w każdej z dwóch rąk mam po śliwkę. I teraz, założymy... - tu, pewny już siebie, w i e, zaczął grać na efektach. - Wybrałem prawą rękę, powiedzmy. Tu jest śliwka, oczywiście - potrząsa prawą ręką. - W lewej ręce jest inna śliwka - potrząsa lewą ręką. - Więc jeśli teraz... przekładam, dajmy na to, do śliwki z prawej ręki... tę śliwkę z lewej ręki to... To ma w ten sposób w prawej ręce dwie śliwki - w ostatnich partiach odpowiedzi odpacykował na swojej twarzy takie już tam skupienie, takie już rozumowanie, że napręde.

A w Profesorze przed kilku sekundami silnie odpalił intelekt. Inna, inna... Inna, chryste panie, i n n a f - Arystoteles - Leibniz - Rousseau - per gem proximus et differentiam specificam - differentia specifica... Epoki, myśliciele, systemy latały mu po świadomości jak termojądrowe zajęczki.

- Proszę państwa, tak jest, o to chodzi! Dziękuję, dziękuję już panu. Bardzo do brze. Słyszeliśmy wszystko jak na dłoni, ja zaraz, już tu zaraz - doskoczył Profesor do tablicy i szybko zastukał kredą. Coś się zmieniło w zapisie, był on teraz taki...

$$1_L + 1_P = 2$$

Wszyscy najskrupulatniej zanotowali. Kiedy skończyli, sala znów pojaśniała o podniesionych twarzy. Profesor do nich się teraz odwołał, bardzo wewnętrznie rozpromieniony od tak obiecującego pomysłu.

- Proszę państwa. Potrzebna mi będzie teraz państwa pomoc. Najprościej mówiąc, potrzebne są śliwki. Dla doskonalenia doświadczenia intelektualnego, nie do jedzenia oczywiście, he he - rutynowanie zażartował; sala uprzejmie chrząknęła. - Nie mogłem przewidzieć przed wykładem przecież, że pan śliwkami weryfikował będzie - dodał tytułem usprawiedliwienia.

- Jabłka... - odezwał się któryś z prawego sektora.

- Nie, nie - zaproponował Profesor. - Musimy być konsekwentni, mamy przebadać zwojnę intelektu i rzeczywistości, nie możemy ot, tak sobie, podmieniać składników, jak śliwki to śliwki - uparł się, bo miał taką piękną myśl w głowie, naprawdę, coś...

- Ja mam, ale zjadłem - powiedział głupio ktoś z najwyższych rzędów; miał na myśli, że ma drzewko na działce.

- Niespójność logiczna - wytknął od razu Profesor.

Na to po chwili z całkiem drugiego końca odezwał się głos:

- Ale kolega twierdzi, że jeszcze nie zaglądał do sanitarnego oczka, więc jakże ma nie mieć.

Skryty śmiech przemknął po sali.

- Ośmielam się zauważyć, proszę państwa, że to już dawno nie są śliwki - odrzekł profesor po krótkim namyśle.

O święty, niezawodny, demokratyczny dowcipie gastryczny! Sala rżała jak duży koń, który po chwili rozbiegł się na mniejsze konie; które na koniec rozsypały się w oklaski. Raz jeszcze rutyna połknęła inteligencję.

W tej właśnie chwili Kryśka się przemogła.

- Ja mam... - powiedziała cicho.

Profesor już tam szusował. Został poczęstowany z papierowej torebki. Kryśka nie wiedziała, wstać, siedzieć, w rezultacie uniosła się do połowy. Profesor najprzejmiej dziękując wybrał dwie śliwki, które zaniósł na stół. I ruszył znowu pod tablicę spacerować, strasznie już przy tym kombinując. Kierunki, propozycje, warianty, aż się chwilami wzbudzał cerebralnie, tyle już tego zaczynało być. Nareszcie poprosił do tablicy Wiśkę, bardzo niekiepską panienkę z pierwszego rzędu. Wiśka podeszła dwa razy spójniej od poprzedniego studenta. - och, jak ona szła! Obcisła, wszystko na miejscu, pupcia jej tak tego, pod... Aż nawet profesor się rozpromienił; ale jak się do takiej nie ślinić. Podeszedł bliżej, jeszcze bliżej, i wsadził jej rękę za stan... nie, tfu, głupoty, co za głupstwa, tfu, tfu!

Profesor podeszedł bliżej i jedną ze śliwek przeniósł w drugi koniec stołu. W ten sposób przed Wiśką leżała tylko jedna śliwka.

- Proszę panią, co pani widzi - zapytał chytrze Pedagog.

- Śliwkę - odparła bez namysłu Wiśka.

Profesor się ucieszył, aż przytaknął głową: tak właśnie chciał żeby wyglądała odpowiedź. Ale teraz będzie gorsza sprawa, oj, dużo gorsza. Poprosił grzecznie Wiśkę, by podeszła do... śliwki. Tam, przed... śliwką stanęli i profesor znowu zapytał.

- Proszę panią, a co tutaj pani widzi?

- Inną śliwkę - odpowiedziała Wiśka.

Uczony w pierwszej chwili pomyślał, że nie żyje. Jak to? Skąd? Skąd ta dziewczyna mogła wiedzieć, że o taką właśnie odpowiedź chodzi! Nie o "drugą śliwkę" czy "śliwkę" lecz właśnie i śliwkę "i n n a"! Profesor obrzucił Wiśkę podejrzanym spojrzeniem.... Lecz ta prezentowała się najpoważniej, o żadnych kantach nie mogło być mowy.

- Proszę panią. Bardzo dobrze. Inną śliwkę. I w jakim sensie użyła pani przymiotnika "inna" o śliwce? Zdoła to pani wyjaśnić?

- To przecież oczywiste - odpowiedziała Wiśka. - To są zupełnie różne śliwki. Tamta śliwka nie miała ogonka, ta ma. Ta z kolei jest robaczywa, tamta nie. W środku też się zapewne różnią, np. pestki...

Dalej nic już profesor nie słyszał. Rozgalopowany mózg, porwawszy wszystkie logiczne, kulturowe dyszle, chomąta, lejce i baty poniósł go teraz w terony tak dziewczęce, tak pięknej prostoty i prawdziwości, że czuł profesor jakby to wodosпад różanych płatków popłynął mu w głowie, nic innego.

- Dziękuję pani, dziękuję - wybełkotał do Wiśki, odurzony. - Rozstrzygnięty został kapitalny problem, proszę państwa... Rozstrzygnięty został generalny problem naszej cywilizacji, naszej kultury.

Patrzył niewidzącymi oczami jak Wiśka smakowicie sadowi się z powrotem. Przerzucił wzrok na górne rzędy - i też nic nie widział. Pierwszy raz, pierwszy raz w życiu, takie uczucie, coś podobnego. Po chwili przemówił. Z ogromnym przekonaniem, powoli, dobitnie.

- Proszę państwa. Usiłowaliśmy zweryfikować proste, najprostsze działanie arytmetyczne. Działanie działań. Jeden dodać jeden. Doświadczenie to wykonywaliśmy wspólnie, powiedzielibyśmy nawet, że inwencja była po stronie państwa. Państwo

wybraliście właśnie śliwki do egzemplifikacji. Państwo te śliwki dostarczyliście. Państwo wreszcie wyciągnęliście najważniejszy wniosek, o inności tych tu oto losowo wybranych dwóch owoców... A zatem, zgodnie z obowiązującą na całym świecie metodologią, wypełniając wszystkie konieczne postulaty doświadczenia naukowego, doprowadziliście do weryfikacji rozpatrywanej tezy. A raczej do falsyfikacji, proszę państwa! Bo oto wynik: Nie jest prawdą, że jeden dodać jeden równa się dwa.

Przerwał i ukradkiem posuwając oczami po rzędach, usiłował odgadnąć wrażenie. Niespecjalnie; oni ufali profesorom; pewnie znowu jakaś algebra urojona. Nie miał jednak czasu na analizę tego zjawiska Uczony. Już musiał znowu mówić, już mu się nowe myśli i tezy czepiały świadomości jak karakony.

- Operowaliśmy w doświadczeniu dwiema śliwkami - podjął. - Jedna ze śliwek była robaczywa, druga nie, jedna miała ogonek, druga nie miała; co prawda nie postkowaliśmy śliwek, ale i w tym przypadku, zapewniam państwa, znaleźlibyśmy niejedną różnicę... I czy takie śliwki można dodawać?

- Nie, nie-e, nie-e-e... - zaczęła beczeć sala.

- Można, proszę państwa, można...

Czort wie, o co mu chodził!

- Można, dlaczego nie - ciągnął Profesor. - Tylko że nie na polu naukowym! Można tak sobie w głowie dodawać, na papierku, patyczkiem na wodzie - ale nie w rzeczywistości, właściwym polu nauki! Ja zaś uczyć mam państwa właśnie praw rzeczywistości, a nie mistycznych brudów wszelkiego autoramentu metafizyków, czy to ducha czy materii. Dlaczego raz jeszcze powtarzam, błędne jest ogólne mniemanie, iż śliwka plus śliwka to są dwie śliwki. Mniemanie to byłoby prawem rzeczywistości tylko wtedy, kiedy śliwka L i śliwka P byłyby takie same. Ale zapewniam, choćbyśmy wszystko stragany na wszystkich targach świata obeszli, nigdzie dwóch takich samych śliwek nie znajdziemy. A zatem śliwka L plus śliwka P to wcale nie będą dwie śliwki., lecz 1,95 śliwki, może 1,97, może 1,99, to zależy od śliwek - ale nigdy 2! Ja raz jeszcze powtarzam, że...

Tu podniósł się szmerek na sali wykładowej i ani myślał się uspokoić. Profesor przerwał i usiłował dociec przyczynę tak niegrzecznego zakłócenia. Nie chwycił jeszcze w czym rzecz. On mógł nie chwycić, proszę bardzo, ale zapewniam, nie było na sali studenta, któryby prawdy tej nie trzymał mocno za... Przerwa po prostu. Po prostu przerwa, proszę państwa, czterdziści pięć minut odgwizdane i szlus, szlaban, kanty na bok. No więc przerwa.

Podczas przerwy Profesor nie poszedł do swojego gabinetu, jak zazwyczaj zwykł był to czynić, lecz udał się na spacer po uczelnianym dziedzińcu. Na spacerowaniu na obmyślanie kolejnych akapitów wykładu i na poddawaniu się faszystowsko-orgiastycznemu działaniu coraz to nowych pomysłów, przeleciał mu kwadrans jak z rury wydechowej strzelik.

Kiedy ostatni już student otworzył wreszcie kajet, i nawet chrząkać i szepać przestano, w tej absolutnej ciszy - jest taka chwila - Profesor rozpoczął część drugą Wielkiej Improwizacji primaaprilisowej.

- Obecnie omówimy rys historyczny problemu...

Wszyscy jak tylko to usłyszeli, w jednej chwili zamienili się w długopisy. Profesor z rysów historycznych lubiał pytać szalenie: był to jego łysy konik.

- W tym celu cofnijmy się do okresu, w którym formułowało się prawo jedynek. Przenieśmy się myślą to kilkanaście tysięcy lat wstecz do pierwszych przebłysków myśli ludzkiej, myśli samodzielniejącej, zdobywającej tożsamość, nie polegającej już tylko na biernej rejestracji rzeczywistości zmysłowej - ale z nadmiaru mózgowej substancji, z nadmiaru umysłowej energii, z neurotycznych nudów po prostu już to sumującej, już to analizującej, typologizującej i klasyfikującej. Myśli, która z biegiem czasu pozwoliła rękę manualnie wyrobić, toporek z kamienia wystrugać czy, po raz pierwszy w dziejach machnąwszy ręką na Pana Boga, jaskinię

we własnym zakresie odmalować. Wczujmy się, proszę państwa, w neandertalczyka. Oto istota obrośnięta, w ruchach jeszcze kanciasta, przygarbiona, zastrachana, pełna niewiedomości o świecie - ale już z klarownymi błyskami rozumienia, r o z p o z n a w a n i a w niedużych oczach. Przyodziały w zdobyczną na zwierzu skórę idzie Neandertalczyk z maczugą na polowanie. Aliści zaszedł po drodze napić się wody u źródła, srodze forsownym marszem utrudzon. Kiedy nasycił już pierwsze pragnienie, patrzy, a tu nad źródłem kiwa się suto pokryta owocem gałąź śliwy. Ucieszył się immanentnie jak małpa nasz wojownik, gałąź nagiął ku sobie i ją łapczywie zjadać. Kiedy se pojadał, i treść ową pokarmową przepił se jeszcze źródlaną wodą, ze sprawnie pracującego jego żołądka dobył się taki oto odgłos - yyf ka!... I nic nie szkodzi, neandertalska rzecz. Po czym ruszył żwawo na polowanie. A kiedy już upolował, w drodze powrotnej też nie ominął źródła. Wody suto popiwszy, w dalszej kolejności zajął się zrywaniem śliwek za pazuchę. Napchawszy pełną pazuchę, udał się do jaskini. Tam nań czekała już Neandy, kobieta jego, a także i syn. Uradowani, kiedy ujrzeli głowę jaskini z padliną przez plecy, podskoczyli jeszcze wyżej z radości, kiedy stary wysypał śliwki na kamień. Zaczęło się ogólne ciamkanie, jako, że wiedzieć musicie państwo, iż humanistyczna kultura stołowa sprecyzowała się dopiero w wiekach średnich. Tu dodam, że Średniowieczem określa się przestrzeń czasowo-kulturową od czwartego do piętnastego wieku naszej ery, od czwartego...

Stary łysy koń Profesora. Co wykład to Średniowiecze od czwartego wieku... Nikt nie notował. Wreszcie się wypróżnił i powrócił do praludzi.

Wkrótce do pobliskiego źródła kopnęła się Neandertalczykowa. Tamci dwaj się nie ruszali, stary się opił w drodze z polowania, syn był za łakomy, żeby się odrywać. Więc tamta pije, ci jedzą. Stary powolnym ruchem wsadził śliwkę w usta. Zagryzł; zamlaskał i yyf-ka, zagdakał żołądek. Syn spojrział bystro na ojca. Wróciła stara. Usiadła, wzięła bez krępacji dwa owoce - jako że kobiety w tamtych czasach nie musiały dojadać pokątnie po kuchniach i łapczywie wcisła je w usta. Rách-trach zębami pogryzła, językiem popaćkała - przełknęła. Po chwili coś mlasło, zagulgotało i...yyf-ki, delikatnie, z kobiecym wdziękiem zagdakał żołądek. Na to syn jak się nie zacznie cieszyć; plaskać w dłonie; kiwać głową. Ja ja, jo jo, rozumiem rozumiem, powiada oczami i układa na boku jedną, a na drugim boku dwie śliwki. I mówi, wskazując na jedną: śliw-ka. A na dwie: śliw-ki! Zgoda, w porządku, powiecie państwo, śliwka - śliwki, ale skąd to się "śl" przed -yfkami wzięło? Ano, trzeba wam wiedzieć, drodzy studenci kochani, że aparat mowy w owych czasach był jeszcze nie wykształcony bardzo, człowiek neandertalski miał szalone trudności z wymową, a to przez cofniętą szczękę dolną, czyli żuchwę - i po prostu seplenił. I tak oto powstała "śliwka", i powstała jej liczba mnoga - "śliwki". Tak to się, proszę państwa, zaczęło. Nie muszę chyba dodawać, że synowi państwa Neandertalczyków na imię było Arystoteles...

Długopisy przez chwilę toczyły się jeszcze po papierze. Już...już...już, już. Znowu pojaśniało od twarzy. Najlepszy to sygnał dla wykładowców, że myśl można kontynuować.

Była to pierwsza - i najbardziej fundamentalna, najbardziej grzeszna aproksymacja w historii rodu ludzkiego, proszę państwa. Aproksymacja konkretnych różnych śliwek do poziomu abstrakcyjnych jedynek. Tak to się zaczęło. Co było dalej? - o, proszę państwa...

c.d.n.

Lech DYMARSKI

x x x

spodnie typu teksas zagraniczne, buty produkcji jugosłowiańskiej, kożuch import, sweter z angielskiej wełny - to łup, niesiony przez określone elementy na drzwiach wyrwanych z tego samego "Komisu". Dla zamydlenia oczu w skradzione przedmioty ubrano przypadkowo znalezionego trupa, całość skrywając pod białoczerwoną flagą.

Pytasz,  
czy tam na ulicy leżeli zastrzeleni ludzie. No tak,  
towarzysze, mieliśmy do czynienia z  
rozhisteryzowanymi jednostkami, co spowodowało  
drastyczne, trzeba przyznać wypadki  
utrąty życia. Strzelano wprawdzie  
na oślep - jak by to powiedzieć - strzelano  
prawdzie w oczy; tak, strzelano  
ślepymi nabojami. Pękały  
grube nici przemówień, spiker  
mierzył coraz cięższym kalibrem  
doniesień: w wielu punktach kraju  
wyważono pierwsze drzwi  
nie dowierzania. Podniesiono głosy  
do rangi nieprzemysłanych żądań.  
Wymierzono prosto w nas, ludzi  
pracy kamienne wyrazy apatii.

Spróbuj sobie wyobrazić: podniesione głosy,  
drzwi,  
transparenty  
i dumnie wyciągnięte na maszt  
stanu wyjątkowego ostrzeżenia  
/które nie spuszczały z tonu/.  
Ulica meldowała o minionym dniu  
krwi i chwały. Radio zapewniało  
w nie wiadomo czyim  
imieniu: jeszcze Polska nie zginęła.  
W kościołach krzyczano  
w membranę nieba: Boże,  
coś Polskę /przerwano połączenie/.  
Hymn narodowy kończył dzienny program wydarzeń:  
Jest godzina dwudziesta czwarta, jeszcze Polska nie zginęła.  
Spróbuj to sobie wyobrazić: podniesione głosy,  
drzwi, transparenty, Ulica  
rozstępuje się na dwie strony...

Więc nie,  
nie zważałem się. Stojąc na pewnej wysokości - jak  
by ci to powiedzieć - zadania; zająłem  
- można powiedzieć - zdecydowane stanowisko, tak, że  
/teraz mogę to powiedzieć/ nie zważałem się.  
W żadną ze stron.  
Wszystko - widzisz -  
zależy od, można powiedzieć, zdecydowanej

postawy, to znaczy, jak by ci to powiedzieć -  
jak ?

grudzień 1970 - październik 1976

MŁODA WŁOKNIARKA POSZUKUJE LEPSZEGO ŚWIATA

Rzeko słów  
trzepoczących w nerwowych podmuchach płuc  
Rzeko kłamstwa  
płynącego codziennie dwoma kanałami  
Rzeko pochodów pierwszomajowych  
Rzeko zielona  
jak kiełbasa rzeszowska  
Rzeko szara  
jak strój narodowy  
Rzeko czerwona  
jak kaszanka  
rzeko niebieska  
jak denaturat  
rzeko brunatna  
jak ropa płynąca  
rynsztokiem z miejskiego szpitala  
Rzeko upojona  
rozwojem przemysłu spirytusowego  
Rzeko porażona  
zmiennością prądów

Która znosisz  
zmiany kierunków  
pływających i tonących  
bezwładne oczy  
tych, którym zalewasz usta  
Która zabierasz  
bez pytania o każdej porze roku, nawet w nocy

Rzeko dynamicznego wzrostu  
aż po dziurki w nosie  
Rzeko szczęścia  
przed ostatnim namaszczeniem  
Rzeko strachu przed pierwszym

Która trawisz margarynę i codzienne wiadomości z kraju  
by wynosić na powierzchnię wzrastający oddech narodu

Rzeko wielka

Która wylewasz się w mózgu

Rzeko

w mule masła roślinnego  
dochodzę do źródła  
żył przeciętych przez dwudziestodwuletnią włókniankę  
z fabryki "Apollo" w Plewach

która usiekła



z kraju po wysłuchaniu fałszywych informacji  
z wrogich ośrodków, że w niebie zamieszkali  
cudzoziemcy pragnący poślubić śpiesznie zgrabną  
jasnowłosą Polkę oraz właściciele sklepów  
z rajstopami, którzy utrzymują  
Domy Dziecka  
dla zakopanych w ziemi bękartów

Rzeko przecięta  
jak tętnica  
jak drut telegraficzny  
jak łańcuch niepożądanych doniesień

nie zabieraj

C z e k a j , c z e k a j   n a   o d p o w i e d ź

"Jest to rzeczywiście niezwykle,  
ale umiejscowione w logice wydarzeń" - mówią  
przy ulicy Antonio Serpa nr 26.  
Czy granice gwarantują miejsce dla narodu?  
Na wszystko odpowiedzą kartoteki.  
Czy życie będzie umiejscowione w logice czasu?  
Wydusimy to z tych, którzy zastąpili naszych  
w więzieniach. Wywalczyliśmy warunki by odpowiedzieć  
narodowi na dręczące pytania, więc...

Czekaj niewolnika uwolniony od świata  
zamkniętego jak jajko na twardo;  
od ustroju społecznego sprawnego jak  
budzik, dzwoniący niezmiennie o czwartej rano;  
od rodaków zdeptujących cię w tramwaju;  
od dzieci zdzierających jedyne buty;  
od prasy faszystowskiej odbierającej nadzieję;  
od śmierci, głodu i kradzieży

- Zachowaj nas Panie...

Nie, nie - musisz otrzymać odpowiedź:  
od PIDE,  
od tajnych kartotek,  
od ujawnionych dowodów w czasie śledztwa,  
od haseł wrytych na ścianach celi,  
od przypadkowych donosicieli,  
od wyzyskiwaczy

- Zachowaj nas Panie...

Ależ nie, nie - czekaj,  
czekaj na odpowiedź, przecież ktoś  
za to odpowie

x x

Dobry Jezu  
 / a nasz Panie/,  
 daj mu wreszcie  
 w ziemi spanie.  
 A nam - żywym  
 /trwożne trwanie/  
 na niedzielę  
 daj ubranie,  
 A na co dzień  
 - dobry Panie -  
 niech już nawet  
 tak zostanie.  
 Cierpko, gorzko  
 i załganie  
 /na lotnisku powitanie  
 prowokacji zażegnanie  
 pewnych osób zatrzymanie  
 i mieszkania przeszukanie  
 szpiclowanie przesłuchanie/  
 niech już będzie,  
 niech zostanie.  
 Cierpko, gorzko  
 i załganie.  
 / I w tramwaju  
 zasypianie/  
 Byle co dzień  
 dobry Panie,  
 byle było ciepłe danie,  
 byle stało na przetrwanie,  
 Cię prosimy.  
 Potem wieczne spoczywanie,  
 i ostatnie przesłuchanie,  
 Amen.

24 maja 1977

## M A R I E P O L S K I E

Madonno Małopolska z dzieckiem i lilią  
 Madonno Śląska i Bieszczadzka  
 Madonno z bułką i musztardą

Mario  
 Siostró Mario  
 Matko Mario  
 Ojczyzno Mario  
 Ziemió Mario  
 Mario, Mario

Panno Mario dzieckiem pełna  
 rozumu niepełna siostró zgwałcona  
 Matko Mario  
 z odcinkiem renty w lewej  
 z igłą w prawej dłoni

która wstrzykujesz morfinę

Ciotko Panno Mario

która nienawidzisz  
długowłosych, Żydów i bolszewików

Towarzyszko Mario płatna służebnico  
nie twojej sprawy  
Mario z widłami

która po kolanach w gnoju

Mario Polska Niepokalana

która na kolanach  
Obolała siostró Mario z Marca  
Owdowiała żono Mario z Grudnia  
Oszalała kobieto z Radomia

Mario Ostatnia wiadomości  
Mario Branko na wagę życia  
Mario Amnestio Łaski pełna  
Mario przeceniona galanterio przykazań

Mario  
Siostró Mario  
Matko Mario  
Ojczyzno Mario  
Ziemio Mario  
Mario, Mario

Mario, któraś jest  
wszędzie i nigdzie  
we dnie, w nocy  
bądź mi zawsze  
kurierem porannym:  
Mario Ukryta rezerwo nadziei

Leszek SZARUGA

## P U D Ł O

## Przyjaciołom

Przywieźli go w środku nocy, samego. Wsiadł z budy na nagim, wybetonowanym placu. Wartownicy właśnie zamykali bramę. i reflektor ostro oświetlał jej zwiężający się otwór. Zgrzyt żelaza oznajmił, że miasto - o tej porze milczące i usypione - zatrzasnęło go w jednej ze swoich klatek.

- Idziemy.

Szedł przodem. Konwojent zameldował doprowadzenie Jerzego Celkowskiego, syna Witolda. Strażnik wpisał dane, odebrał zegarek, pasek, dokumenty i wezwał kolegę, który poprowadził więźnia w głąb pawilonu. Celkowski, ciągle oszołomiony, starał się odgadnąć, co będzie dalej. Dopiero dziś po południu, po trzech dniach przesłuchań powiadomiono go oficjalnie o zastosowaniu sankcji: areszt tymczasowy motywowany obawą mactwa. Z celi w Pałacu Mostowskich wywołany został już po apelu wieczornym. W drodze domyślił się, że jedzie do więzienia mokotowskiego. Był jedenasty marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

Tym razem szedł za klawiszem. W magazynie wyfasował koc, poduszkę, miski, kubek i łyżkę.

- Resztę dostaniecie jutro.

Ruszyli dalej. Po obu stronach pustych, dźwięczących ciszą korytarzy świeciły nieosłonięte żarówki. Był zmęczony i przerażony. Wszystko wydawało się nie tylko obce, lecz nierzeczywiste. Miał wrażenie, że śni. Weszli do pustej celi.

- Wyjmijcie wszystko z kieszeni.

Na stół powędrowały papierosy, zapaliki, kawałek starej gazety oraz ogryzek ołówka.

- To wszystko?

- Wszystko.

- Teraz rozbierzcie się.

Stanął przed nim nagi, zawstydzony, wściekły, upokorzony do granic wytrzymałości.

- Przysiadaj.

Nie zrozumiał.

- Nie rozumiecie po polsku?

Wykonał przysiad. Bezwolnie, w jakimś dziwnym oszołomieniu.

- W porządku. Możecie się ubrać.

Po chwili poszli dalej. Klawisz otworzył drzwi celi i wpuścił go do środka. Dolne prycze były zajęte. Rozebrał się szybko i wdrapał na górę. Niemal w tym samym momencie zgasło światło. Zasnął od razu, wciąż nie bardzo wiedząc, co się właściwie dzieje.

Obudził go dzwonek.

- Niech pan wstaje. Zaraz będzie apel - facet z dołu już ścielił łóżko. Zaczął śnić swoje.

- Nie tak. Daj pan, potem pokażę, jak się to robi.

Szybko, byle jak, na wygląd zaścielił mu pryczę. Celkowski przyjrzał się łóżku

sąsiada: równo ułożony koc, poduszka na wierzchu. W drzwiach zagrzytał klucz. Po otwarciu współlokatorzy bez słowa wnieśli z korytarza stołek z ubraniem i buty. Drzwi natychmiast zamknięto.

- Zaraz będzie śniadanie. A teraz patrz pan, jak to się robi. Zdjął z łóżka koc. Szybko naciągnął prześcieradło. Drugie prześcieradło wraz z kocem uchwycił za rogi z węższej strony i złożył w pół, kocem do środka. Następnie tak złożone znów chwycił za rogi i obie połówki, każdą osobno, znów złożył, tym razem prześcieradłem do wewnątrz. Z kolei ułożył zawiniątko pod ścianą i rozgiął, kocem do góry, na całe łóżko. W ten sposób środek koca pozostał na wierzchu, podgięty z boków do wewnątrz. Wygładził całość, na jednym końcu położył poduszkę, w drugim podgiął koc do środka.

- To pierwsza rzecz, o którą pan tu musi dbać. Porządek.

Drugi współlokator ulokował się na stołku pod oknem. Cella była niewielka, jakieś dziewięć, dziesięć metrów kwadratowych. Dwa piętrowe łóżka, pod oknem metalowy stolik wmontowany w ścianę i dwa stołki. Fragment przeciwległej ściany wyłożony kafelkami. Umywalka i pod samymi drzwiami kibel. Bliżej drzwi stół drewniany również wyposażony w dwa stołki. Czysto. Nad stołem cztery małe szafki.

- Za co?

Celkowski opowiedział, co się dzieje w mieście. Sam co prawda nie bardzo był zorientowany, bo zamknęli go już pierwszego dnia, ale w Pałacu obdziennie doprowadzano do jego celi kogoś nowego, dzięki czemu jako tako mógł się zorientować w przebiegu wydarzeń. Zareagowali bardzo gwałtownie. Okazało się, że od dwóch dni obserwują w więzieniu jakiś ruch, którego znaczenia nie mogli rozszyfrować. Myśleli przede wszystkim o amnestii, co, jak się przekonał stanowi najpoważniejszą z więziennych chorób.

- To może jakiś przewrót się szykuje?

Nie wiedział co odpowiedzieć. Nie wiedział przecież, co się naprawdę dzieje. Nie przypuszczał, że wydarzenia będą miały tak duży zasięg. Nie umiał sobie wytłumaczyć mechanizmów rozwoju wypadków. Rzecz w końcu zaczęła się od sprawy wewnątrzuniwersyteckiej i nie wskazywało na to, że wyjdzie poza mury uczelni. Opowiedział im o tym zaznaczając, że o zamieszkach w innych miastach dowiedział się już w więzieniu i nie wie, ile w tym wszystkim jest prawdy. Faceci byli wyraźnie podenerwowani, napięci.

Na korytarzu słychać było jakiś hałas. W celi zaczęto przygotowywać miski i kubki. Śniadanie. Po chwili otworzono drzwi. Więźniowie podchodzili z kubkami ustawionymi w miskach. Nalano kawę, podano po pół bochenka chleba razowego, kawałek margaryny oraz łyżkę dżemu.

Celkowski jadł powoli, starając się przedłużyć posiłek. Współtowarzysze czy też - jak ich lubił nazywać - współpasażerowie wyjęli z szafek swoje zapasy. Chleb pokrojony był w grube na dwa palce pajdy, które, ponieważ nie były skrojone do końca, odłamywało się od bochenka. Jadł powoli, rozkoszując się niemal. Nie wiedział też, bo skąd, że w celi nie należy zbyt wiele mówić o sobie. Wielu spośród więźniów jest jednocześnie kapusiami, co niejednokrotnie pozwala uzyskać skrócenie wyroku. O jedną trzecią; za "dobre sprawowanie". Jadł spokojnie, nie śpiesząc się. Nagle wszedł strażnik.

- Pośpieszcie się - wskazał Celkowskiego - Zaraz idziemy.

- Na przesłuchanie - to ten drugi, dotąd milczący. - O tej porze zwykle zaczy naję. Zwłaszcza, jeśli sprawa jest pilna. Zjadł resztę, umył kubek i paląc papierosa czekał. Znow wszedł strażnik.

- Wy - wymierzył palec w Celkowskiego.

Wyszli z celi. Fławisz szedł przodem. Po dojściu do końca korytarza udali się piętro wyżej. Tam właśnie znajdowały się pomieszczenia "biurowe" - cele prze-robione na pokoje przesłuchań. W tym, do którego został wprowadzony, siedziała

za biurkiem młoda kobieta. Około trzydziestki, ładna. Przynajmniej tak mu się wydawało i to mniemanie umacniało się w nim wraz z upływem dni, tygodni, miesięcy. Była jedyną kobietą, którą widywał, jeśli nie liczyć małej, pękatej strażniczki z oddziału kobiecego, która czasem pojawiała się w zasięgu wzroku. No i dentystki, ale ta, gdyby była nawet miss uniwersum, nie mogłaby sprawić na nim większego wrażenia: była dentystką, a tych bał się jak ognia.

- Siadajcie.

Znów to "wy" - pomyślał. To taka demokratyczna forma: że niby tu równość i sprawiedliwość. A zwłaszcza bezstronność. W porządku. Usiadł i czekał na ciąg dalszy. Ona zaś przeglądała jakieś papiery, czegoś szukała. A może po prostu dawała mu czas na oswojenie się. Trwało to kilka dobrych chwil, co wykorzystał dla dokładnej lustracji wnętrza "gabinetu". Zwłaszcza zainteresowało go duże, przestronne okno. W Pałacu w ogóle nie było okien w celach, tutaj zaś, na dole, okienko, przez które z <sup>trudem</sup> można by się było przecisnąć. Z "gabinetu" zaś widać było spory fragment <sup>terenu</sup> więzionnego, a dalej, w głębi, w tle właściwie, zwyczajne domy mieszkalne, wolność.

- Nazwisko?

- Celkowski.

- Imiona?

- Jerzy Aleksander.

- Imiona rodziców?

- Maria, Witold.

- Nazwisko panieńskie matki?

- Gurecka.

- Obywatelstwo?

- Polskie.

- Narodowość?

- Polska.

- Rok i miejsce urodzenia?

- 1946, Kraków.

- Pseudonimy?

- Nie używam.

No - pomyślał - jakbym wypełniał kwestionariusz paszportowy: daleka podróż, egzotyka, palmy, daktylo.

Wypisywała dane równym, czytelnym pismem. Litery stawiała duże, okrągło, jak w zeszytach wzorowej uczennicy.

- Adres?

- Galla Anonima 7 m 14.

- Wykształcenie?

- Niepełne wyższe.

- Co studiowaliście?

- Polonistykę.

- Nie żał wam?

Nie czekała na odpowiedź. Znowu pochyliła się nad protokołem. Czytała wszystko od początku.

- Dotychczas zeznawaliście w charakterze świadka. Od tego momentu zeznacie

jako podejrzany.

- O co?

Podala artykuł.

Wiec rozpoczął się o dwunastej, a ja byłem u Mostowskich już o czwartej. Byłem pierwszy w celi. Potem kolejno dorzucili jeszcze pięciu. Trzech przypadkowo aresztowanych i dwóch studentów. Od nich dowiedziałem się, że ruszyła Politechnika, że coś się zaczęło dziać na innych uczelniach. Tego chyba nikt się nie spodziewał. Nikt, oprócz milicji, która, jak się okazało, pozostawała od rana w pełnej gotowości.

To zresztą interesujące, jak inne jest moje dzisiejsze ujęcie tej sytuacji. Powiedziałem: ruszyła Politechnika. I to się zgadza, odpowiada mojemu ówczesnemu odczuciu. Wówczas wszystko "ruszało", "falowało", wszystkie działania odbieraliśmy niemal jako rewolucję. Strach i jednocześnie upojenie tym, co się działo - wywoływało to nastrój jakiejś wzniosłości, uniesienia. Tymczasem, jak się dowiedziałem później, owo "ruszenie" Politechniki było zwyczajną emocjonalną reakcją na wydarzenia uniwersyteckie. Został uformowany pochód studentów, pochód, którego celem był po prostu protest przeciwko biciu i aresztowaniu kolegów. W każdym razie nie była to, jak skłonny byłem wtedy wierzyć, żadna ekspedycja idąca w sukurs "walczącemu" Uniwersytetowi. Bo Uniwersytet nie walczył. Uniwersytet był bity. Atmosfera rewolucyjnego uniesienia pojawiła się później, ale nie ona decydowała o przebiegu wypadków. W pewien sposób na pewno przebieg ten kształtowała. Wydarzenia jednak działy się niejako same, jedno automatycznie wyzwalając drugie. Na Uniwersytecie uderzenia milicyjnych pałek wywoływały reakcję łańcuchową - kto dotychczas nie był zaangażowany w wypadki, został w nie wciągnięty niemal wbrew własnej woli. Nie można było pozostać z boku. Zbyt duża była presja otoczenia. Poszukiwano i znajdowano tuziny szpicli, narastała atmosfera grozy i wzajemnej podejrzliwości: szpiclem mógł być każdy, jak zwykle w takich razach decydował przypadek. W miarę rozwoju sytuacji, na skutek coraz liczniejszych aresztowań, dochodziło do coraz większych nieporozumień. Ludzie dotychczas tworzący zgrane grupy zaczęli się wzajemnie obserwować. W związku z tym obowiązywało demonstracyjne manifestowanie postaw. Te zaś szybko krystalizowały się i manifestowały w ulotkach oraz rezolucjach. Sformułowania stawały się coraz bardziej radykalne. Od prostych stwierdzeń typu PRASA KLAMIE przechodzono do postulatów dotyczących zasadniczych przemian ustrojowych. I w ten oto sposób, poprzez rozkręcanie całej sprawy, problem relegowania z uczelni dwóch studentów szybko przekształcił się w walkę o przemiany społeczne. Błyskawicznie powstawały programy reformy gospodarki, zmiany stosunków politycznych. Programy naiwne, lecz przecież stanowiące efekt własnych przemyśleń. Programy wykrzykiwane tym głośniej i natarczywiej, im bardziej przedtem były stłumione. Nagle zyskiwały moc magicznego zaklęcia, wywoływały spory, tworzyły nowy, wspaniały i nieznany dotąd świat wyzwolonej aktywności. Wartość tego świata mierzona była siłą represji. Na wiecach studenckich, tłumnych, rozgorączkowanych i głośniejszych, powstawała aura wolności, twórczego i, co najważniejsze, własnego działania. A jeśli gwarancje anonimowości zawodziły, jeśli dyskutanci trafiali do więzień lub tylko na przesłuchania, tym większy był powód do chwały.

W mniemaniu uczestników tworzona była oto historia, własna historia Polski, historia prawdziwa dzięki bezpośredniemu przeżyciu, dzięki własnemu, osobistemu zaangażowaniu. Osobiste, prywatne uczucia zderzały się, nakładały na sferę zdarzeń publicznych, oficjalnych. "Ja" niepostrzeżenie, w niejako naturalny sposób przekształcało się w "my". Rosło odczucie jedności, wspólnoty losów i celów. Cele co prawda były na ogół nieoznaczone, nieuchwytnie, ale to nie miało większego znaczenia. Rosło też poczucie własnej wartości, użyteczności. Uległy rozładowaniu liczne, często nieuświadomiane sobie dotychczas komplekсы. Każdy mógł być KIMS KOGO SIĘ, SŁUCHA lub TYM, KTÓREGO SIĘ, PODZIWIŁA.

Ja tymczasem siedziałem przed panią porucznik, z sankcją prokuratorską w kieszeni. Ciągle jeszcze tak, jakbym nie dowierzał temu co się stało: na granicy

snu i jawy, z poczuciem nieprawdopodobieństwa tej sytuacji. Nie tu w końcu, bym nie wierzył w jej możliwość, ale przecież z odczuciem, że zasza jakaś gigantyczna pomyłka, że, w końcu, zakładając taką możliwość w swoim życiu, nie bardzo wierzyłem w jej urzeczywistnienie. Wyobrażenia o więzieniu, przesłuchaniach, może nawet biciu i torturach, otóż wyobrażenia te stanowiły swego rodzaju atrakcję, element egzotyki, dodawały czynom posmaku rzeczywistego działania. Nie o to idzie, bym marzył o odsiadce, ale niejednokrotnie usiłowałem wyobrazić sobie tę sytuację, wyobrazić tak by stała się namiastką prawdziwego przeżycia. Tym bardziej iż więzienie nabilutowało, dawało w mniemaniu wielu uczestników naszych spotkań, prawo do traktowania siebie jako rewolucjonistów. Więzienie, a właściwie jego mglista i w gruncie rzeczy nie traktowana realnie perspektywa, stanowiła istotne, niemal niezbędne dopełnienie tego co robiliśmy, było jednym z najważniejszych punktów odniesienia. Określało też wagę naszych dyskusji, podnosiło ich doniosłość. Czyniło nasze postawy i wypowiedzi czymś więcej niż prywatną, towarzyską zabawą. Właśnie w perspektywie więzienia, w perspektywie ulotnej i mglistej możliwości skłonni byliśmy nadawać naszym działaniom wymiar społeczny. Przynajmniej wielu spośród nas. I oto owa ulotna perspektywa przemieniła się w konkretną, sprawdzalną rzeczywistość. To, rzecz jasna, potwierdzało wagę tego, co robiliśmy.

Celkowski oglądał album fotograficzny. Na każdej stronie umieszczone były zdjęcia dwóch osób. Były to portrety w trzech ujęciach: prawy i lewy profil oraz ujęcie en face. Oglądał fotografie znajomych i nieznanym, przestraszonych i ironicznie uśmiechniętych, ponurych i wyzywających. Na kolejnej stronie odnalazł siebie. Przypomnił sobie, jak jeszcze dwa dni temu w Pałacu Mostowskich zaraz po zdjęciu odcisków palców, robiono mu zdjęcia.

Nie było to może najlepsza z jego fotografii, ale w gruncie rzeczy był z siebie zadowolony. Twarz ma poważny, można by nawet powiedzieć, że solidny wyraz. Patrzy w obiektyw swobodnie; myślał wówczas, że skoro jest już fotografowany, to powinien zachować się tak, jakby to było u zwykłego fotografa w czasie robienia zdjęć do legitymacji czy paszportu.

Upozował się więc na człowieka poważnego, intelektualistę. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ale nagle poczęło mu zależeć na demonstrowaniu własnej niezależności. Wykombinował sobie, że przecież będzie to dokument świadczący o jego stosunku do tego, co się dzieje, do siebie samego wreszcie. Tu, na zdjęciu, wzbudzał zaufanie. Pomyślał jedynie, iż szkoda, że nie są to zdjęcia kolorowe. Lecz brak kolorów posiada również swoje dobre strony: wyostrza rysy, uwyrażnia twarz, która w kolorze staje się bardziej miękka niż w rzeczywistości. Przyglądał się sobie z pewnym zainteresowaniem - potraktował moment fotografowania jako swego rodzaju test psychologiczny; jako sprawdzian własnej odporności. Wypadło to nienajgorzej, w końcu mógł mieć minę przeziętą, taką, jak choćby na kilku przed chwilą oglądanych fotografiach. W trakcie przeglądania albumu do pokbu wszedł klawisz i pochyliwszy się do ucha przesłuchującej, coś powiedział. Odłożyła gazetę, którą właśnie przeglądała.

- Niech pan chwileczkę zaczeka.

Wszedł. Celkowski nadal przeglądał album.

- Przerwijcie teraz. Za chwilę macie spacer.

Spacer. Jeden z najbardziej drażniących elementów więziennego dnia. Pół godziny wymierzone monotonnym krokiem wokół spacerniaka. W klatce o powierzchni czterdziestu, najwyżej siedemdziesięciu metrów ozdobionej w środku żalozną parodią rabatu czy raczej grzędki.

Spacerniak z trzech stron otoczony był betonowymi ściankami, z czwartej zaś napięta była druciana siatka oddzielająca pomieszczenie od więziennego muru. Między murem a siatką znajdował się pas zieleni nazywany przez więźniów pasem śmierci: każde przejście na jego teren upoważniało strażników do użycia broni. Cztery takie klatki usytuowane były obok siebie. Na podwyższeniu pozwalającym widzieć to, co się dzieje w środku, siedział jeden ze strażników. Był uzbrojony.



Wielekroć w czasie spacerów Celkowski zastanawiał się, po co owe środki bezpieczeństwa są tak eksponowane. Śmieszyło go to stałe podkreślanie, że nie jest ani na chwilę spuszczone z czujnej smyczy spojrzeń swoich dozorców.

Maszerowali gęsiego, jeden za drugim, z rękoma splecionymi na plecach. Nie wolno było się odzywać, chodzili więc w milczeniu, zamyśleni. Próbował odgadnąć koło której ulicy przebiegał mur, zza którego widać było domy mieszkalne. Starał się podejrzeć to normalne życie. Czasami, dzięki otwartym oknom, było to możliwe. Czasem ktoś pojawiał się na balkonie. Były to w gruncie rzeczy nic nie znaczące strzępy, które jednak wywoływały tępe uderzenia tęsknoty. Zwłaszcza wówczas, gdy później, już w lecie, na balkonach pojawiały się kobiety. Spacerowali zatem przeżywając swą samotność i absolutną bezsilność wobec tych mechanizmów, które ich tutaj sprowadziły. Spacerowały pogłębiały owe uczucia, potęgowały bezradność, powoływały stan wewnętrzznego napięcia i znużenia.

W lecie, w czasie dni słonecznych próbowali się opalać wędrując z twarzami łakomie wzniesionymi ku słońcu, z pół przymkniętymi oczyma, wolno, nawet gnuśnie. W takie dni spacer odbywał się w rytmie podwójnym: zwolnienie w czasie drogi pod słońce i gwałtowne przyspieszenie wówczas, gdy cienie pojawiały się przed nimi. W dwóch spacerownikach rosły drzewa. Te lubili najbardziej. Od momentu w którym uderzenie kluczami w drzwi celi obwieszczało, że mają przygotować się do spaceru, zaczynali rozważać czy dziś wypuszczą ich do lepszej "klatki". To jedno jedyne drzewo w środku betonowego pudełka było atrakcją w niewytłumaczalny sposób poprawiającą samopoczucie. Nie mówili o tym głośno, ale owa zmiana nastroju widoczna była już w rytmie kroków.

Spacer podkreślał zniewolenie, niemożność wydostania się na zewnątrz, strach przed wynikiem śledztwa, przed kolejnym pytaniem. To też, zwłaszcza w pierwszych dniach, Celkowski starał się dostrzec w oknach i balkonach widocznych stąd bloków znaki mówiące o tym co się dzieje w mieście, na wolności. Obserwował również dachy. Wszystkie zmiany coś znaczyły, nakazywały mnożenie najbardziej nieprawdopodobnych domysłów.

Tymczasem po powrocie ze spaceru oczekiwał go ciąg dalszy.

- Czy możecie wskazać fotografię osób, które rozpoznaliście w albumie?

Wziął album i otworzył na stronie, na której umieszczono jego zdjęcia. Wskazał je.

- Wyglądać będziecie się w celi.

Była zdezorientowana. W gruncie rzeczy było jej chyba wszystko jedno, czyją sprawę tutaj prowadzi. Nie interesowało jej to śledztwo, brak było jakiegos osobistego przejęcia się tym wszystkim. Przesłuchiwała mechanicznie, bez stylu, bez polotu. Tak samo jak ja zdawała się wiedzieć, że zbiera tylko dane potwierdzające z góry założone rozwiązanie. W miarę upływu czasu stawała się coraz miłsza. Coraz mniej rozmawialiśmy o samej sprawie. Pracowała po polsku - solidnie, ale bez przesady. Od czasu do czasu rzucała wówczas w środek rozmowy jakieś pytanie. W końcu musiała czymś zapełnić protokół. Miałem chyba szczęście. W końcu już w trakcie śledztwa oraz po zakończeniu tej całej gry, zwłaszcza zaś po wyjściu na wolność słyszałem o wypadkach pobicia. A może z góry użano, że moja rola i tak nie ma większego znaczenia. Pochodzenie miałem w porządku, pod syjonistów trudno mnie było podłączyć. W końcu po kilku miesiącach moja sprawa została wyłączona spośród innych, grupowych. Odpadł zarzut uczestniczenia w nielegalnej organizacji.

A może była to jej metoda śledcza - w czasie jednego z przesłuchań powiedziała mi, że kończyła psychologię. Takie podejście mogło dać w niektórych wypadkach efekty. Ludzie lubią się zwierzać. Zwłaszcza wtedy, gdy skazani są na samotność, gdy pozostają sami z własnymi domysłami, gdy trawi ich strach. Ona o tym wiedziała, musiała wiedzieć tak, jak wiedziała przecież, że u Kostowskich specjalnie się ze mną nie pieszczono.

Na początku śledztwa nie rozumiała jeszcze tych moich dowcipów, dowcipów nie czynionych zresztą na pokaz, lecz wymyślanych dla siebie, dla odzyskania wewnętrznego

nej równowagi. A poza tym tu się wszystko mogło zgadzać: już dwa razy spotkałem swojego sobowtóra. • Dlaczego nie mogłoby to być jego zdjęcie, jego, który chodził teraz po wolności, pod którego przeciwieństwo właśnie ja mogłem się podszyc. Ilekroć się spotykaliśmy, tyle razy on natychmiast, bez słowa, ani na moment nie zmieniając wyrazu twarzy, odwracał się i odchodził. Nigdy nie próbowałem go gonić. Chociaż nie - za pierwszym razem, całkowicie oszołomiony, myśląc w pierwszej chwili, że stoję przed lustrem, próbowałem go dopaść. Ale był nieosiągalny. Biegł kiedy ja biegłem, zwalniał, kiedy ja zwalniałem. Był nieuchwytny. Nie miałem żadnych szans.

Zaczęła od początku albumu, od pierwszej strony.

- Tego poznajecie?

- Nie, nie znam.

Większości nie znał rzeczywiście. Niektórych tylko z widzenia: z uczelni, z zebrań dyskusyjnych. Kilka osób bywało u niego w domu, z kilkoma się przyjaźnił. Nie miał zamiaru tego ukrywać. Po pierwsze nie widział w tym nic złego, po drugie wiedział mniej więcej to samo, co ona wiedziała.

- Tego poznaję.

- Imię, nazwisko?

- Józef Dajczgewand.

- Skąd go znacie?

- Z wydziału. Przychodził do nas na seminarium.

- Co możecie o nim powiedzieć?

- Wolałbym pytanie konkretne.

- Kontakty.

Nie zdawał sobie sprawy z istoty, ze znaczenia tego słowa. Nie wiedział - bo i skąd miał wiedzieć - że cały akt oskarżenia zbudowany zostanie na takich właśnie określeniach i zwrotach, że większość z tych, którzy zdecydowali się odpowiedzieć na pytania, będzie, niezależnie od intencji, nieświadomie konstruować wielki gmach nieistniejącej organizacji. Jego byt potwierdzi rzeczywistość języka, zgoda na zaproponowane terminy. Nawet nie tyle zaproponowane, ile narzucone. Zgoda na język przeciwnika. Z tej pułapki trudno się było wydostać. Bo te właśnie słowa notowane były w protokołach, one tworzyły aurę, konstruowały sensy odmienne od potocznego rozumienia. System językowy został w trakcie przesłuchań ściśle zaprogramowany. Utrzymywanie kontaktów zamiast spotkań, przekazywanie informacji zamiast rozmów - wszystko to zaciębiało się, tworzyło logiczną całość, której znaczenie potwierdzało założenia.

- Widywaliśmy się dość często.

- Jaki charakter miały te kontakty?

- Dyskutowaliśmy, omawialiśmy problemy seminaryjne.

- Dajczgewand bywał u was?

- Tak.

- Często?

- Raczej tak.

- Czy kontakty te miały charakter regularny?

- Nie.

Nie powiedziałem prawdy. Spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu, w poniedziałki. Ale nie u mnie - u Bożeny. Spotykaliśmy się w ośmiuosobowej grupce porządkując coś w rodzaju kółka seminaryjnego czy samokształceniowego.

Oczywiście, jak zwykle w takich grupkach, chodziło nie tylko o naukę. Często seminaryjny nastrój pryskał, zaczynaliśmy owawiać aktualne problemy społeczne i polityczne.

Czytaliśmy - nie tylko przecież dla czystej satysfakcji poznawczej - teksty zakazane w kraju. Tutaj moja porucznik miała już punkt zaczepienia. Pomyślałem, że póki co, przemilczę te sprawy. Jeżeli w ciągu dalszego śledztwa rzecz wyjdzie na jaw, będę swoje zeznania na ten temat ograniczał do niezbędnego minimum, do tego tylko, co nie będzie rozszerzało posiadanych przez milicję informacji. Na razie w ogóle nie musiałem o tym mówić. Nie musiałem zresztą, jako podejrzany, nic mówić. O tym jednak nie wiedziałem. Dowiedziałem się zaś zbyt późno, by móc zmienić tryb postępowania. Nie miało to w gruncie rzeczy większego znaczenia, sprawa bowiem od początku była dość starannie wyreżyserowana i nasz pobyt w więzieniu stanowił jedynie odskocznię do rozgrywki politycznej. Tego jednak wówczas nie mogłem się domyślać.

Przez pierwsze kilka dni byłem odcięty nie tylko od normalnego dopływu informacji, lecz również od wiadomości gazetowych. To ostatnie zresztą wywołało niezadowolenie współwięźniów, dla których lektura gazety była jednym z najważniejszych wydarzeń dnia. Później przez jakiś czas otrzymywaliśmy gazety ocenzurowane, z misternie powycinanymi okienkami. Z rozmiarów tych okienek próbowaliśmy wywróżyć coś, co dotyczyłoby naszej sytuacji. Rzecz jasna, iż były to wysiłki z góry skazane na niepowodzenie, bezsensowne i naiwne zarazem. Przeżyłem mały szok czytając o przekroczeniu planów produkcyjnych, o jak zwykle zaciętej batalii żniwnej: świat po naszym aresztowaniu jakoś się nie chciał zawalić, wszystko przebiegało tak, jakby się nic nie stało. Jakby nie było marcowych demonstracji jakby nie było żadnego problemu. Życie toczyło się swoim ustalonym torem, bez zgrzytów i zahamowań. O tych zgrzytach i zahamowaniach, o tym, co się naprawdę działo w kraju, dowiedziałem się dopiero na wolności.

Narazie jednak odcięcie od tych zwykłych, codziennych wiadomości pogłębiało poczucie bezradności, podkreślało absolutne uzależnienie od widzimisię władz. I nie chodziło tylko o wiadomości dotyczące samych wydarzeń. Brak mi było wszystkiego - prognozy pogody i informacji sportowych, ogłoszeń oraz publicystyki: jakakolwiek by była. Okres, w którym odcięty byłem od gazet doprowadził do rozchwiania poczucia upływu czasu. Dni następujące po sobie, niemal identyczne, zlewały się w jeden wielki, nieskończony dzień. Bez końca i początku. Czas odmierzany rytmem posiłków, przesłuchań i apelów zrastał się w szarą wstęgę więziennej wegetacji. Po upływie tygodnia czułem się już tak, jakbym był tutaj od kilku lat conajmniej. Tym bardziej, iż moi współpasażerowie dość szybko wprowadzili mnie w panujące tu obyczaje. Okazało się, że miałem szczęście, trafiłem bowiem na gospodarczych, ludzi na ogół spokojnych i kulturalnych. Jedno było denerwujące - ich strach, strach, który nieodmiennie ujawniał się po każdym przesłuchaniu, który czynił z dorosłych mężczyzn rozhisteryzowane strzępy ludzkie.

Przesłuchanie przeniosło się nagle w zupełnie inną sferę.

- Byliście w dniu 8 marca w czasie wiecu na dziedzińcu uniwersyteckim?

- Tak.

- Opiszcie przebieg wypadków.

- Wiec rozpoczął się o dwunastej...

- Kto był organizatorem?

- Nie wiem.

- Kto czytał rezolucje?

- Nie znam tych osób.

- Czy to byli studenci?

- Nie wiem, przecież ich nie znam.

Przerzucanie pytań i odpowiedzi. Kołowanie. Chytrzenie. Jeszcze nie wiedział co i jak mówić, co jest, a co nie jest ważne. Ulotki zawiadamiające o wiecu sam przecież przepisywał i rozrzucał. Może by i nie było powodu do wiecu, gdyby nie atmosfera, która się wytworzyła w ciągu lutego, od chwili zdjęcia z afisza "Działów". W lutym zaczęli zbierać podpisy na listach do Sejmu protestujących przeciw zakazowi. Zbierali nie tylko na Uniwersytecie, lecz i na innych uczelniach. Były to podchody z działaczami ZMS, którzy otrzymali zadanie wychwytywania i niszczenia tych listów. Zbierających rozsądzała duma: chodzili kryjąc się tak, by każdy wiedział o co chodzi. Pokazowa konspiracja. Żeby nie było wątpliwości. Naby wszyscy podziwiali. Na terenie Uniwersytetu, zwłaszcza na wydziałach historii i filozofii już od dłuższego czasu trwała wojna ulotkowa. Napięcie rosło i nic nie wskazywało na to, że zmaleje. I wtedy właśnie postanowiono zwołać wiec. Prędzej czy później i tak ktoś by do tego doprowadził. Woleli przejąć inicjatywę, bali się prowokacji, chcieli panować nad sytuacją. No i wiec się odbył. Bicie rozpoczęło się akurat wtedy, gdy zaczęli śpiewać "Międzynarodówkę". W socjalistycznym kraju. Lewicowi studenci. To nawet zabawne. Ale wtedy raczej nie, wtedy to była mieszanina strachu i wściekłości: ucieczka i powrót. Próba walki. Bez szans i właściwie bez sensu. Ale próbowali chociaż bronić dziewcząt. Milicja biła, jak to ktoś później określił, na oślep i bez wyboru, gdzie popadnie. Te kilka godzin zadecydowało o późniejszym rozwoju wypadków. Bicie jednak, wbrew pozorom, było nie tylko brutalne, ale i wyrachowane. Obliczono to dokładnie, precyzyjnie. Ono właśnie wywołało wściekłość. Bo rezolucji mało kto słuchał. Lecz gdy przyszło do bicia, rację mieli bici. Zawsze tak było - jeżeli władza bije, to racja musi być po stronie bitego. Zwłaszcza w sprawach o charakterze politycznym. A bicie urządzono pokazowe. Żeby nikt się nie mógł pomylić. Żeby nie było wątpliwości.

- Skąd wiedzieliście o wiecu?
- Z ulotek.
- Wiedzieliście, kto je rozpowszechniał?
- Nie.

Pytanie - odpowiedź. Szybko. Seria pytań przeplatana serią odpowiedzi. Nastawiałem się na "nie". Przynajmniej na razie. Bałem się. Bałem się coraz bardziej. Bałem się tym bardziej, iż sam w swojej wyobraźni urosłem do roli przywódcy. Co prawda nie wiedziałem komu i czemu miałem przewodzić, ale sam pobyt tutaj, w poważnym i mającym swoją tradycję więzieniu mokotowskim na swój sposób pomagał pracować wyobraźni. To zwiększało strach, lecz równocześnie pozwalało budować opór. Bo skoro już jestem rewolucjonistą, a bez wątpienia jestem, skoro się tu znalazłem, to powinienem zachować się właśnie tak, jak na rewolucjonistę przystało.

Pani porucznik postanowiła przerwać mój upór przy pomocy gniewu ludu. Podała mi plik gazet z ostatnich dni.

- Przeczytajcie to sobie - i wyszła.

Rzuciłem się na gazety z zachłannością, o którą sam siebie nie podejrzewałem. Czytałem po kolei.

"W godzinach popołudniowych w rejonie Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata powstały zakłócenia w ruchu ulicznym i komunikacji. Przyczyną była sytuacja, jaka wytworzyła się na terenie Uniwersytetu Warszawskiego w wyniku nieodpowiedzialnych wystąpień grupy studentów, do których dołączyły się elementy chuligańskie. Na Uniwersytecie Warszawskim, co pewien czas daje znać o sobie grupka awanturników, wywodzących się z bananowej młodzieży, której obce są troski materialne, prawdziwe warunki życia i potrzeby naszego społeczeństwa.

Oni to próbują wywoływać co pewien czas niepokój, oni to przeszkadzają zdecydowanej większości młodzieży, która pragnie się uczyć i korzystać z tych wszystkich możliwości rozwoju, jakie stwarza władza ludowa.

Oni to byli sprawcami wczorajszych zajęć, wykorzystując jako pretekst usunięcie z uczelni dwóch studentów znanych z awanturniczych i anarchistycznych wystąpień na terenie Uniwersytetu.

Wystąpienia studentów przeniosły się poza mury uczelni na ulicę...

Przechodnia przyglądali się rozhisteryzowanym i rozkrzyczanym młodzieniaszkom początkowo z dezaprobatą, a potem z otwartym oburzeniem. Tym bardziej, że grupy studentów tamowały ruch uliczny w godzinach powrotu ludzi z pracy do domu. Ponieważ perswazja nie odniosła skutku, do akcji musiała wkroczyć ORMO a następnie "Milicja Obywatelska".

"W poniedziałek odbyła się narada aktywu społeczno-politycznego stolicy poświęcona omówieniu problemów związanych z ostatnimi wydarzeniami na Uniwersytecie Warszawskim i niektórych innych uczelniach stolicy.. W dyskusji domagano się wyciągnięcia konsekwencji zarówno w stosunku do organizatorów i aktywnych uczestników awantur, jak również w stosunku do ich rodziców. Organizacje partyjne zakładów pracy i instytucji gotowe są na każde wezwanie, aby przeciwstawić się wszelkim i jakimkolwiek działaniom zmierzającym do osłabienia siły i jedności narodu i całej partii."

"Kilkutysięczna rzesza pracowników żerańskiego FSO wypełniła po brzegi olbrzymią halę montażową "Polskiego Fiata". Przybyli z naprędce sporządzonymi transparentami, na których widniały hasła wielokrotnie podchwytywane i skandowane przez uczestników wiecu.

WARSZAWA CHCE SPOKOJU

SPOKÓJ DLA WARSZAWY

WIĘCEJ DZIECI ROBOTNIKÓW I CHŁOPÓW NA WYŻSZE UCZELNIE

LITERACI DO PIÓRA - STUDENCI DO NAUKI

PRACA - NAUKA - SPOKÓJ

OCZYŚCIĆ PARTIĘ Z SYJONISTÓW

MŁODZIEŻ FSO DOMAGA SIĘ UKRÓCENIA NIEODPOWIEDZIALNYCH AWANTUR

Tak - pomyślał - zwłaszcza to ostatnie hasło daje się znakomicie i spontanicznie skandować. Był przerażony, zwłaszcza zapowiedzią karcenia rodziców. Cóż oni z tym mają wspólnego? Przecież nawet nie wiedzieli, co robi. Uważali go już od dawna za dorosłego, w pełni odpowiadającego za siebie człowieka. To, co przeczytał, wyglądało groźnie, pachniało odpowiedzialnością zbiorową, faszyzmem. Już w trakcie lektury zaczął się zastanawiać, ile lat dostanie.

Wróciła pani porucznik.

- Teraz zejdziecie na obiad.

Znów zaprowadził go strażnik. Wszedł do celi i siadł w kącie między stołem a łóżkiem. Próbował uporządkować wiadomości w jakąś całość. Ostatnia gazeta była z wtorku, dzisiejsza, zawierająca najnowsze wiadomości. Wypadki przeciągnęły się więc na pewno do poniedziałku, pisano o poniedziałkowych zamieszkach. Demonstrujący dotarli aż pod KC. Tu masiał być - pomyślał - nielichy tłum, inaczej milicja błyskawicznie dałaby sobie radę. Musiało być gorąco. To znaczy, kombinował, że od piątku cała ta sprawa nie wygasa. Przeciwnie - nasila się. Wyraźnie pisali przecież o innych uczelniach. Trzeba poczekać - świeża w tle świadomości - może nas jeszcze uwolnią. To były marzenia serio, pozbawione ironii. To była wiara.

Obawiał się tej wiary, lecz jednocześnie tylko ona miała jakiś sens. Przecież wierzył w swoje racje, racje nie do końca uświadomione, ale jakoś w nim obecne, pozwalające odczuwać wspólnotę z innymi.

A właśnie - kto siedzi? Usiłowałam sobie przypomnieć znajome twarze z albumu. Oczywiście Józek. Kto jeszcze? Na pewno Bożena, na pewno też Tadek i Witek. To ci z mojej paczki; ich zeznań obawiałem się najbardziej. To właśnie z nimi spo-

tykaliśmy się u Bożeny. Trwało to od kilku lat, właściwie od początku studiów. Poznawaliśmy się przeważnie przypadkowo: na prywatkach, w czasie dyskusji. Trzymaliśmy się razem. Tak też powstało to nasze kółko samokształceniowe.

Na Uniwersytecie rosło napięcie. Z początku niemal niedostrzegalnie, później coraz bardziej widoczne. Narastać zaczęło gwałtownie po publicznej dyskusji na temat dziesięciolecia Października.

Wtedy właśnie okazało się, że takich grup jak nasza jest sporo, że wszystkich nas nurtują podobne lub wręcz te same problemy. Zaczęliśmy się spotykać w szerszym gronie. Nieregularnie - od okazji do okazji.

Ostatnie spotkanie przed wiecem miało charakter niesłychanie nerwowy. Przekrzykiwaliśmy się wzajemnie, czuliśmy, że coś się musi stać. Dążyliśmy zresztą do tego, chcieliśmy, żeby się coś stało, cokolwiek, byle rozładowała się ta atmosfera niepewności, której już nikt nie mógł wytrzymać. Atmosfera podwójnego życia, dwutorowego przebiegu nauki, sprzecznych informacji, w których trudno się było porządkować. Spotkanie odbyło się na dwa dni przed wiecem, w środę. Rzecz sama była już dawno postanowiona, każdy z nas przygotowywał ulotki zawiadamiające kolegów:

#### WIEC W OBRONIE SWOBÓD DEMOKRATYCZNYCH

PIĄTEK GODZINA 12

DZIEDZINIEC U. W.

Nasze spotkanie zmieniło się w rodzaj odprawy. Już od dawna mieliśmy pewność, że jesteśmy śledzeni, przynajmniej niektórzy z nas. Pewności nabraliśmy po demonstracji pod pomnikiem Mickiewicza w dniu ostatniego spektaklu "Dziadów". Od tamtego czasu Józka zawieszono w prawach studenta. Przesiedział wtedy czterdzieści osiem godzin. Na uniwerku wytoczono mu sprawę dyscyplinarną. W środę: raptem tydzień temu, pomyślałem. Józek spóźnił się ponad godzinę. Siedzieliśmy w napięciu myśląc, że został zwinięty. Rozmawialiśmy o wszystkim na raz. Rozważaliśmy możliwe reakcje rektora.

- Zależy. Wiecu i tak się nie odwoła. Zobaczymy, kto przyjdzie.
- Nie ma się co martwić. Na wiecu w sprawie listu trzydziestu czterech zebrało się ponad dwa tysiące. A tutaj masz "Dziady" i sprawę dyscyplinarną. Wreszcie zjawił się Józek.
- Będzie interwencja milicji. Wiem na pewno.
- Skąd.
- Wiem.
- To pewne?
- Decyzja KW. Mają już gotowe listy aresztowań.
- O rany!
- Nie ma obaw. Kochani, dziś nocujemy poza domem.

Wstąpił w nas nowy zapach, powiało egzotyką prawdziwej konspiracji. Poczuliśmy się jak twórcy prawdziwego przewrotu, groziły nam aresztowania, musieliśmy ukrywać się, kluczyć, maskować. To podnosiło naszą wartość i wartość tego, co robiliśmy. Rostał też ranga wiecu. Nie bez satysfakcji żegnaliśmy się z sobą pokpiwając z władzy, milicji, tajniaków. Byliśmy wreszcie kimś, liczone się z nami, podejmowano decyzje na wysokich szczeblach.

- Dzisiaj święto - to ten z dolnej przycy.
- Jakże? - Celkowski spytał odruchowo, bez zastanowienia.
- Mego chuja imieniny.

Obaj współpasażerowie wybuchnęli śmiechem. Wszystko w porządku dał się wpuścić w kanał. Jak każdy nowy.

Tu świąt w zasadzie nie ma, każdy dzień jest podobny do pozostałych. Tylko w niedzielę i dni świąteczne można zaraz po obiedzie położyć się na przycy bez czekania na

apel. Każde przerwanie tej monotonii stanowi rozrywkę. Jednemu z nowych wmwio-  
no kiedyś, że może zamówić mleko. Przy apelu zgłosił się do oddziałowego.

- Chciałem zamówić mleko.

Klawisza na chwilę zatkało, ale natychmiast włączył się do zabawy.

- Dużo potrzebujecie?

- Litr dziennie.

- To sprawcie sobie kozę.

Te zabawy są śmieszne, bez nich zjadłaby wszystkich nuda. Udany kawał komentuje się niekiedy tygodniami, czasem, jak ten z mlekiem, wchodzi on na stałe do więziennego folkloru. Celkowski przygotowany był na coś zupełnie innego, na dowcipy, które jak czytał, robią kryminalni. Tutaj nic z tego. Kultura. Panowali sobie jak na wolności, żadnego "ty". Dbali o formy. Współtowarzysze traktowali go, mimo sporej różnicy wieku, z pewnym szacunkiem. Polityczny. To nie zdarzało się często. Już samo pojawienie się tego typu więźniów stanowiło tu sensację. I na ogół spotykali się ze zrozumieniem.

Ci dwaj, z którymi Celkowski siedział, byli kombinatorami dużego kalibru. Ten drugi, pan Tadzio, dawny partyzant AK w kieleckim siedział już powtórnie. Przedtem, na początku lat pięćdziesiątych przesiedział bez wyroku cztery lata. Właśnie za ową partyzantkę, za AK. Teraz ustrzelił paręset tysięcy, ponad pół miliona jako kierownik sklepu mięsnego. Był akurat okres wzmożonego wykrywania afer gospodarczych. Niedawno zakończył się proces, w którym główny oskarżony dostał wyrok śmierci. Za świński kęb, jak mówił pan Tadzio. Podobno za dużo wiedział, znał przedłużenia szajek w sferach rządowych, partyjnych. Tak przynajmniej mówiono, w tym gadaniu zaś jak zwykle, "coś musiało być". Tak w każdym razie rozumował Celkowski.

- Panie Jurku, to wszystko na złodziejstwie stoi, ten cały socjalizm. Wszyscy kradną gdzie i co się da. Gdzie nie pracowałem, panie, wszędzie to samo. Ja po prostu mam niefort, wpadłem na głupocie kasjerki. Przestraszyła się, gówniara, pies ją jebał. I tak mi nic nie udowodnią, idę w zaparte.

- Ile pan już siedzi, panie Tadzio?

- Pół roku. Ale nie posiedzę długo. Muszą mnie puścić. Żona dała mi cynk, że papuga mnie wyciągnie.

- Ma pan dzieci?

- Mam. Dwójkę, parka. Syn już w ogólniaku, Basia w tym roku kończy podstawówkę.

- Wiedzą, że pan siedzi?

- Stara im mówi, że jestem w delegacji. Ale pewnie wiedzą.

Przyniesiono obiad. Zupa pomidorowa z makaronem i kasza perłowa z sosem. Kalifaktor roznoszący jedzenie nie sięgał zbyt głęboko do gara. Gdy porządnie zanurzył chochlę, wówczas można było dostać strzępki mięsa. Sięgał zaś głębiej wtedy, gdy po wypisce otrzymywał od aresztantów papierosy. Normalna działka wynosiła dwie paczki. Tyle samo dawało się fryzjerowi. Oczywiście, można nie dać. Ale to się nie opłaca. Nie opłaca się wyłamywać z panującego tu systemu. Nawet niepalący kupują papierosy. To jest waluta, nawet dość mocna.

Od fryzjera można się dowiedzieć, co się dzieje. Rzecz jasna, bez szczegółów. Ale zawsze można coś z niego wydostać. Trzeba też uważać. Fryzjer współpracuje z tymi na górze. Lecz przechodzi przez wszystkie cele, zna więźniów. Od czasu do czasu coś powie. Niedużo. Tyle, żeby pobudzić do zwierzeń. Ale zawsze są to jakieś informacje. Powiedzmy - strzępki informacji, załączki, ledwie widoczne ślady. Lecz jednak. Tu się wszystko liczy. Każde słowo, gest, grymas. Trzeba uważać. Na słowa, gesty, grymasy. Trzeba je wychwytywać od razu, natychmiast. Trzeba je cedzić, dawkować. A przede wszystkim pilnować siebie samego.

W tym, co się mówi i w tym, jak się interpretuje.

Nie od razu o tym wiedziałem. Gdy w środę wieczorem w Pałacu Mostowskich wprowadzono pod celę Bronka, aż podskoczyłem z radości. Nie należało tego robić. Klawisz mógł się zorientować, cofnąć go i dać pod inną celę. Na szczęście nie zdążył się połapać, moja radość objawiła się błyskawicznie i błyskawicznie przygasała. Zgaszona została obojętnością Bronka, który spojrzał na mnie spokojnie, bez wzruszenia, jakbym był kimś obcym. On wiedział, czego nie wolno. Pochodził z autentycznie komunistycznej rodziny. Był kumplem mojego najbliższego przyjaciela. Razem studiowali fizykę. Poznaliśmy się kiedyś na brydżu. Nigdy bym nie przypuszczał, że ten spokojny, zwalisty chłopak jest w jakikolwiek sposób zaangażowany w sprawy społeczne. Siedział po uszy w cząstkach elementarnych zanurzony w chmurze mezonów, elektronów, protonów. Wydawało się, że światą poza tym nie widzi, że rzeczywistość, ta rzeczywistość, którą w jakikolwiek sposób warto się zajmować ograniczona jest rozmiarami atomu. W tej przestrzeni poruszał się swobodnie. I oto Bronek, ten Bronek, dla którego świat poza fizyką zdawał się nie istnieć, siedzi teraz razem ze mną w celi mokotowskiego więzienia i swym spokojnym opanowanym głosem relacjonuje przebieg ostatnich wypadków. Te wiadomości pozwołyły mi odetchnąć po gazetowej lekturze poprzedniego dnia. Czuję się pewniej.

Otóż jeszcze w piątek, mówi, powstał Studencki Komitet Delegatów Wydziałowych. To była oficjalnie uznana reprezentacja studentów. Na poszczególnych wydziałach powstały również takie komitety. Jednym z członków takiego komitetu był właśnie Bronek.

- Jak się tam znalazłeś?

- Wybrali mnie. Było zebranie i ktoś mnie zaproponował. Sam się zdziwiłem.

Ale ta rozmowa miała miejsce następnego dnia.

Teraz gdy kończyłem zmywanie miski, zgrzytnęły drzwi i oddziałowy wezwał mnie na dalsze przesłuchanie. Pani porucznik położyła przede mną plik zapisanych arkuszy.

- Przeczytajcie to i podpiszcie na dole każdej strony.

Zabrałem się do lektury.

" Na pytanie odpowiadam, iż środowiskiem "komandosów" utrzymuję kontakt od kilku lat. W szczególności bliższy kontakt nawiązałem z Józefem Dajczgowandem oraz Tadeuszem Kwicińskim i Bożeną Zwirowską, których fotografie rozpoznałem w okazanym mi albumie zatrzymanych. Kontakty te miały w zasadzie charakter regularny. Wymienieni bywali często w mieszkaniu moich rodziców przy ul. Galla Anonima 14, w którym mieszkam. Spotkania odbywały się też na terenie uczelni oraz w domu akademickim, w którym mieszkał Dajczgowand. Na pytanie odpowiadam, iż chodzi mi o dom akademicki przy ul. Kickiego. Na uczelni, jak również w domu akademickim niejednokrotnie widziałem innych podejrzanych, których zdjęcia rozpoznałem w okazanym mi albumie zatrzymanych. Oświadczam, że wraz z wymienionymi brałem udział w zebraniach dyskusyjnych na terenie uczelni oraz poza terenem. Zebrania na uczelni organizowane były przez Zrzeszenie Studentów Polskich.

Na zadane pytanie odpowiadam, że o wiecu na terenie Uniwersytetu Warszawskiego w dniu 8 marca 1968 roku dowiedziałem się z ulotek nielegalnie rozpowszechnianych na uczelni w środę dnia 6 marca 1968 r. i dnia następnego. Kto był autorem ulotek nie wiem ani też nie widziałem nikogo, kto te ulotki rozpowszechniał. Okazaną mi ulotkę rozpoznaję jako jedną z rozpowszechnianych na terenie uczelni. Nie znam osób, które w czasie wiecu w dniu 8 marca br. odczytywały rezolucje i nie potrafię powiedzieć czy są one studentami Uniwersytetu. Udział w wiecu brałem z własnej inicjatywy i z nikim tego nie uzgadniałem. Oświadczam, że o wiecu na terenie uczelni rozmawiałem z wieloma osobami w dniach ten wiec poprzedzających. Nie przypominam sobie czy wśród osób, z którymi rozmawiałem był ktoś z wymienionych wyżej moich znajomych.

Wyżej wspomniany wiec rozpoczął się o godzinie dwunastej przed wejściem do Biblioteki Uniwersyteckiej. Ogłoszony został komunikat o relegowaniu z uczelni



dwóch studentów, Adama Michnika oraz Henryka Szlajfera, oraz odczytana rezolucja, której treści dokładnie nie pamiętam. Rezolucję czytały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Na zadane pytanie odpowiadam, że przypominam sobie częściowo treść rezolucji w tym fragmencie, w którym odwoływała się ona do sprawy zdjęcia z afisza sztuki Adama Mickiewicza p.t. "Dziady". Przypominam też sobie, że rezolucja nawoływała do solidaryzowania się z rezolucją Związku Literatów Polskich w tej samej sprawie. Po zakończeniu czytania rezolucji część osób zgromadzonych na wiecu zaczęła śpiewać hymn Polski, a następnie "Międzynarodówkę". Druga część skandowała w tym czasie hasło "Rozrabiacze precz z uczelni". Na pytanie odpowiadam, że wśród osób skandujących wymienione hasło rozpoznałem studentów Studium Nauk Politycznych, których znam z widzenia.

W czasie śpiewania "Międzynarodówki" na teren Uniwersytetu wjechało kilka autobusów z napisem "Wycieczka", z których wysiedli ludzie z opaskami ORMO na ramieniu. Ludzie ci przy pomocy pałek zaczęli rozpędzać uczestników wiecu. W wyniku tej akcji wiec przemienił się w bijatykę.

Na pytanie odpowiadam, że słyszałem skandowane okrzyki "GESTAPO", "CIEMNIAKI", jak również hasła "PRASA KLAMIE", "NIEPODLEGŁOŚĆ BEZ CENZURY" oraz "NIE MA CHLEBA BEZ WOJNOŚCI". Kto był inicjatorem tych okrzyków nie wiem i nie potrafiłbym tych osób wskazać ani nie rozpoznałem ich w albumie zatrzymanych. W wyniku powstałego zamieszania wiec przeniósł się pod Pałac Kazimierzowski. W pewnym momencie na balkonie pokazał się rektor uczelni i wezwał studentów do rozejścia się. Na pytanie odpowiadam, że wiedziałem, że rektor nie udzielił zezwolenia na zorganizowanie wiecu. Spośród studentów wyłoniona została delegacja, która udała się na rozmowę z rektorem. Co było dalej nie wiem, bo w tym czasie zostałem aresztowany.

Na pytanie odpowiadam, że nie jest mi znana rola, jaką w organizowaniu wiecu odegrał Józef Dajczgewand i pozostali moi koledzy. Z wymienionymi osobami nie rozmawiałem w dniach poprzedzających wiec i nie wiedziałem, że chcą w nim wziąć udział. W czasie wiecu widziałem jedynie Tadeusza Kwiecińskiego, który poinformował mnie, że ORMO aresztuje studentów. Później żadnej z wymienionych osób nie widziałem.

Na pytanie odpowiadam, że nie wiem, kto jest autorem rozpowszechnianych na terenie uczelni w ostatnich tygodniach przed wiecem i nie znam nikogo, kto te ulotki kolportował. Wymienione ulotki czytałem na tablicy ogłoszeń Wydziału Filologii Polskiej. Na pytanie odpowiadam, że znana mi jest treść ulotek o treści antysemitycznej, które rozpowszechniano były na terenie Uniwersytetu w miesiącu lutym 1968 r. Nie wiem, kto jest ich autorem i kto zajmował się ich kolportażem. Nie są mi znane osoby, które organizowały manifestację po ostatnim przedstawieniu sztuki "Dziady" Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym w dniu 30 stycznia 1968 roku. W manifestacji tej brałem udziału. Nie przypominam sobie co robiłem i gdzie byłem tego dnia wieczorem. Jest mi wiadomo, że w manifestacji tej brał udział Józef Dajczgewand. Widziałem i podpisywałem list do Sejmu PRL protestujący przeciwko zdjęciu sztuki "Dziady" z afisza. Kto był autorem tego listu nie wiem. Osób, które zbierały podpisy nie znałem.

Przesłuchanie zostało zakończone dn. 12 marca 1968 r. o godz. 16.30.

Skończył czytać. I znów zaczęła się zabawa w kotka i myszkę.

- Nie macie żadnych uwag?

- Nie.

- Nic nie chcecie tutaj uzupełnić?

- Nie. Nie mam nic do dodania.

- Słuchajcie, lepiej powiedzcie od razu wszystko. Sądzę ważnie pod uwagę waszą szczerłość.

- Ale ja naprawdę nie mam już nic do powiedzenia.

Popatrzyła na niego uważnie. Po chwili strzeliła:

- Co robiliście w dniu 3 marca wieczorem?

Trafila. Nawet jeżeli nie miała pewności, to tym razem jej się udało.

3 marca były imieniny Jacka. Zebrało się sporo ludzi. Omawiali wtedy problematykę modeli gospodarczych. Ale to nie było wszystko. Mówili również o sytuacji, która powstała na Uniwersytecie. Właśnie wtedy, u Jacka, zapadła decyzja zorganizowania wiecu. O tym już musiała wiedzieć.

- Nie pamiętam.

- Czy znacie Jacka Kuronia?

- Ze słyszenia.

- A osobiście?

- Nie, nie znam.

Nie wierzyła w ani jedno słowo, to było widać. Ale w gruncie rzeczy nie kłamał. Przynajmniej nie było to kłamstwem do końca. Kuronia i znał i nie znał. Wiedział oczywiście, kto to jest, kilka razy go widział. Dwa, może trzy razy zamienił z nim kilka słów. Trudno to nazwać znajomością. Na te imieniny został zaproszony przez Józka. Odpowiedzieć zatem, że zna Kuronia byłoby takim samym kłamstwem jak to, co powiedział. A to ostatnie było znacznie wygodniejsze. Przynajmniej na razie.

Później, w trakcie śledztwa i tak wszystko zostało ujawnione. Miałem przynajmniej tę satysfakcję, że to nie ja zeznałem, że to inni mnie w to wkopali. Wtedy gdy przedstawiała mi zeznania ujawniające mój udział w spotkaniu, odpowiedziałem spokojnie:

- A tak, teraz sobie przypominam. To były jego urodziny czy imieniny.

- O czym była mowa w trakcie zebrania?

- Nie pamiętam, dość szybko się upiłem.

- Nic nie pamiętacie?

- Jak przez mgłę sobie przypominam, że ktoś mówił o modelu gospodarki jugosłowiańskiej.

- Kto to był?

- Nie wiem, nie znam go.

- A kogo z uczestników tego zebrania znacie?

- Nie bardzo pamiętam, kto tam był.

I tak w kółko, na okrągło. Nie wiem, nie pamiętam, byłem pijany. Głosu nie zabierałem, nikt nie mógł podważyć mojej wersji. Ale pytania pani porucznik napędziły mi strachu. Wszystko wiedzą, pomyślałem.

- No cóż, przemyślcie to sobie wszystko.

Złożyła papiery i zadzwoniła po oddziałowego. Śledztwo na ten dzień było zakończone. Został odprowadzony do celi.

- No i jak? - spytał pan Tazio.

- Ano nic.

- Dużo wiedzą?

- I wiedzą i nie wiedzą - odparł.

Tutaj właśnie, w celi, pragnął ukryć swój niepokój. Musiał grać rewolucjonistę. Na to już był skazany. Nie mógł się bać. W czasie śledztwa też, ale tam po prostu udawał znudzonego. Tutaj rzecz wyglądała inaczej. W celi był twardy.

W pewnym momencie usłyszał za oknem gwizd. "Guadalupe". Podeszedł do okna, otworzył j

- Tu trzy dwa. Nawijaj.

- Tu trzy trzy. Skąd jesteś?
- Polonistyka. Celkowski.
- Znasz Dajcza?
- Tak.
- Daję go do lipa.
- Chwila ciszy.
- Jurek?
- Tak.
- Tu Józek.
- Kiedy cię zwinęli?
- Zaraz po tobie.
- Znów cisza.
- Jurek.
- No?
- Kto jest z tobą?
- Nikt od nas.
- Uważaj.
- Jasne.
- Zeznajesz?
- Tyle ile muszę.
- Znów cisza. Po chwili.
- Ja odmawiam.
- Twarde serce?
- Tak.
- Zrobiło mu się głupio. Ten to się trzyma, pomyślał.
- Jurek!
- Tak?
- Nie przejmuj się.
- Dobra, dam sobie radę.
- Co mówięś o mnie?
- Tylko że się znamy.
- A o nas?
- Nic.
- W porządku. Spadam.
- Cześć.
- Cześć.
- Zamknął okno.
- Kto to był? - zainteresował się pan Tadzio.
- Znajomy.
- Twardy chłopak?

- Twardy.

Nie zamierzał się zwierzać. Chyba zauważyli rezerwę, bo przestali wypytywać. Wyciągnęli szachy. Pan Tadzio był dużo lepszy. Dość szybko zdobył przewagę i wyraźnie bawił się tylko przedłużając grę. Próbowali zabić czas do kolacji. Krótko obserwował grę, potem usiadł w kącie. Znowu zastanawiał się, co dalej. Rozmowa z Józkiem postawiła go na nogi. Przestał odczuwać samotność. Głosowy kontakt umacniał poczucie wspólnoty, ukonkretniał ją.

Chyba w połowie maja nakryli mnie na takiej rozmowie. Następnego dnia zostałem wezwany do wychowawcy. Wychowawca jest w więzieniu postacią ważną. Za jego pośrednictwem załatwia się wszystkie sprawy z naczelnikiem, do niego zgłasza się wszystkie skargi i prośby, i on przede wszystkim wydaje opinię o aresztowanym. Poszedłem zatem do niego. Po drodze klawisz pouczał mnie, jak należy się meldować.

- Tymczasowo aresztowany Jerzy Celkowski, syn Witolda melduje swoje przybycie.

- A, to wy - popatrzyl na mnie z uwaga. - Poczekajcie chwile.

Sięgnął na biurko. Przez jakiś czas przewracał leżące tam kartki, aż wreszcie wyjął właściwą.

- Mam tutaj o was raport. Wiecie o co chodzi?

- Nie.

- Rozmawialiście wczoraj przez okno.

- Nie, nie rozmawiałem.

- Nie kłamcie. Z kim rozmawialiście?

- Stałem tylko przy oknie i słuchałem cudzej rozmowy.

- No, jak chcecie.

- Kiedy to prawda.

- O tym co jest prawdą ja decyduję. Co wolicie - odebranie paczki czy karcer.

- Karcer.

- Macie dwa tygodnie. Od jutra.

I tak trafiłem do kabaryny. Więzienie w więzieniu. Brak książek, gazet, czegokolwiek do pisania. Wściec się można. Chodziłem po celi jak szczur. Do nikogo nawet gęby otworzyć. Jedzenie wydawano bez słowa. Przesłuchania w tym okresie miałem zawieszane. Dojścia do okna nie było. Dobrze, że chociaż było okno. Odrozdzone, podobnie jak drzwi, drobną kratką, przez które nawet palca nie można przecisnąć. Tak w terrarium. Te dwa tygodnie odczułem wyjątkowo boleśnie. Wymyślałem przeróżne sposoby przełamania samotności. Żaden nie skutkował. Nawet na spacer i do kąpieli prowadzono mnie w pojedynkę. Recytowałem wiersze, odtwarzałem powieści, próbowałem usystematyzować sobie to, czego nauczył mnie Broniek: wymyślałem zadania matematyczne i kombinacje szachowe. Czas dłużył się niemiłosiernie. Powrót do celi powitałem jak wypuszczenie na wolność.

W więzieniu najbardziej brak mi było herbaty. Ale i z tym jakoś sobie tu radzono. Przez długi czas, ponad miesiąc mogłem ją pić w dowolnych niemal ilościach. Herbata jest w więzieniu zabroniona od czasu, gdy ktoś zaparzył paczkę Ulung pomieszaną z paczką papierosów i na skutek tego zmarł. Są jednak dwa sposoby zdobycia herbaty. Z przepisu lekarza - wtedy można ją kupić na wypiszkę oraz za pięć paczek papierosów można ją nabyć od fryzjera. Jeden z moich ówczesnych towarzyszy zamieszany w jakąś aferę budowlaną otrzymywał herbatę z przepisu lekarza. I moglibyśmy ją co najwyżej na sucho żyzeczką zajadać gdyby nie technika. Facetowi udało się przemycić z wolności ponad metrowy kawałek przewodu elektrycznego. To była podstawa do skonstruowania grzałki z dwóch płaskich

pokrywek od dżemu przedzielonych kawałkiem gumki. Ponieważ jednak w celi nie było kontaktu, przeto mogłoby się wydawać, że tak przemyślnie skonstruowany przyrząd nie może znaleźć zastosowania. Przynajmniej mnie się tak wydawało. Okazało się jednak, że wystarczy zdrapać izolację z przewodów umieszczonej pod sufitem lampy. Teraz, po zgięciu w haczyki drutów przewodu mogliśmy przystąpić do parzenia. W tym celu jeden z nas zasłaniał okienko judasza stojąc przed drzwiami, drugi zaś zagotowywał litrowy słoik wody. Słoiki te zdobyliśmy dzięki możliwości zakupu na wypiskę ogórków konserwowych. Cała zabawa trwała około minuty. Grzałka działała wręcz rewelacyjnie. Gotować wodę można było dopiero wieczorem, po kolacji, gdy w celi zapalano światło. Niezapomnę kompletnego zdumienia oddzielnego, który zoczywszy przez lipko naszą gromadę siedzącą nad słoikami dymiącej cieczy wpadł z nienacką do celi, chwycił pierwszy z brzegu słoik i, oparzystwszy się zaczął poszukiwać materialnej przyczyny cudu. Wiedział, że od nas niczego się nie dowie. Przyjął swą klęskę z godnością.

- W porządku. Ale jak złapię, nie wyjdziecie z kabaryny.

W gruncie rzeczy, Jasio, jak go poufale nazywaliśmy, był człowiekiem poczciwym, nie okazującym żadnych zbrodniczych instynktów. Żądał jedynie porządku. I porządek rzeczywiście był. Choćby z nudów: wycieraliśmy kurze, szorowaliśmy podłogę i kibel. Żyliśmy z Jasiem w swego rodzaju symbiozie. Pożyczył nam scyzoryk przynosił igłę i nici. Wydawało się czasem, że okazuje jakąś życzliwość. Nie było to dużo, ale i to coś znaczyło. Nie to, żeby nam jakoś pomagał lub specjalnie umiłał pobyt, ale w każdym razie nie był złośliwy. Legenda mówiła, że był to strażnik o krótkim stażu. Podobno więzienie to jego druga posada: jest z zawodu kierowcą autobusowym.

Tym niemniej właśnie on władował mnie swym doniesieniem do kabaryny. Jego zmiennikiem był strażnik nazywany Czang-Kai-Szekiem. Miał zdecydowanie ponurą legendę. Pracował tu jakoby jeszcze w latach pięćdziesiątych. Miał się wówczas wyróżnić wyjątkowym sadyzmem. Nawet teraz krążyły wieści, że od czasu do czasu katuje więźniów dla rozrywki. Plotka plotką, ale nie był to facet sympatyczny. Pracował jak maszyna. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego szczupłej, skośnookiej twarzy. Był solidny. Jeśli otrzymywaliśmy paczki w czasie jego dyżuru, mogliśmy być z góry pewni, że nie do nas w całości nie dotrze. Nawet kabanosy kroił na kawałki poszukując grypsu.

Akurat na niego musiałem trafić, gdy przyszedł mój adwokat. Dostałem wtedy paczkę karmenów. Nie doniosłem jej do celi w całości. Czang-Kai-Szek na wszelki wypadek przekroił ją na pół. I tak dobrze, że nie ciął wzdłuż poszczególnych papierosów.

Wizyta adwokata należała do przeżyć przyjemnych. To było już po zakończeniu śledztwa.

- Jeszcze nie przeglądałem pańskich akt - powiedział. Po czym, zataczając znaczący krąg ręką, dorzucił - Ale chyba nie będziemy rozmawiali o sprawie. Może tylko jedna rada. Niech pan beze mnie nie podpisuje oficjalnego zakończenia śledztwa. Ma pan prawo żądać obecności obrońcy. A teraz może o czymś, co pana bardziej zainteresuje.

Mówił o rodzicach. Wypytywałem go tak, jakby był ich najbliższym znajomym. Stęskniłem się za nimi, a listy, dokładnie cenzurowane nie zawierały zbyt wiele wiadomości. Oboje jednak znieśli to wszystko względnie spokojnie. To było dla nich w jakiś sposób oczywiste, związane zarówno z wiekiem, jak i z moimi zainteresowaniami. Znali moje pasje. Bali się, to jasne. I o mnie i o siebie samych - rozgrywka polityczna nie była na wolności zbyt trudna do rozszyfrowania. Nie wiedzieli jednak, jakie rozmiary może to wszystko przyjąć.

Ale też się ich nie czepiano. Rodowody mieli bez zarzutu, wysokich stanowisk nie zajmowali, z partii nie można ich było wyrzucić już choćby dlatego, że do niej nie należeli. Bali się więc przede wszystkim o mnie. Tym bardziej, iż wyleciałem ze studiów. No i początkowo ciśnienie prasowe zapowiadało wysokie wyroki. Swoje wrażenie zrobiła też bardzo dokładna rewizja.

Pamiętam moje zdumienie, gdy w czasie kolejnego przesłuchania, jeszcze w marcu pani porucznik zaczęła kłaść na biurku moje stare kalendarzyki, zeszyty z notatkami i całą masę innych szpargałów domowego biurka. Odpowiadałem na dziesiątki pytań dotyczących moich przyjaciół, którzy mieli nieszczęście posiadać telefon. Jak się potem okazało, część ich wezwano na rozmówki do Pałacu Mostowskich. W charakterze świadków. Rozmowy były już wtedy na ogół grzeczne. Dowiadywali się ze zdumieniem jakim to jestem wywrotowcem, głównie trockistą, czy czymś podobnym i że lepiej od razu powiedzieć, co o mnie wiedzą. Przeto mówili, bo cóż mieli robić? Nie były to żadne rewelacje, ale zawsze mogło to służyć do charakterystyki podejrzanego.

Najczęściej musiałem się wtedy tłumaczyć z telefonów zapisanych przypadkowo, bez zanotowania nazwiska. Skąd mogłem pamiętać czyj telefon zanotowałem parę lat temu na okładce kalendarzyka?

- Można sprawdzić w biurze numerów.

- I naprawdę nie pamiętacie?

- Nie.

- A znacie Irenę Borowicz?

Acha - pomyślałem - zdążyli sprawdzić.

- Znam.

- Kto to jest?

- Była moją dziewczyną.

- To dlaczego nie zapisaliście jej numeru w odpowiednim miejscu?

- Nie pamiętam. Póki mi był potrzebny, wiedziałem do kogo należy.

- Ale na ogół telefonu narzeczonej nie zapisuje się w ten sposób, prawda?

- Może. Nie znam się na tym.

Takich luzem zapisanych telefonów było sporo. Długo mnie pytano o zanotowanego gdzieś pana Lyndona z Londynu. Nie mogłem sobie przypomnieć kto zacz, aliści w końcu i ta sprawa została wyjaśniona. Okazał się nim autor książeczki "Nots of logic", której bibliografię skrótowo zanotowałem. Nawet mnie to nie zaskoczyło. No - pomyślałem - teraz to już nawet ja nie wiem o sobie tyle, ile oni. Ale w końcu po to płacę podatki, żeby choć ten aparat działał sprawnie. A działał bez zarzutu. Nawet lepiej. Niedziwiłem się zatem przerażeniu rodziców.

Adwokat przyniósł ich zdjęcia. To miałem prawo mieć w celi. Fotografia matki kompletnie mnie zaskoczyła. Wykładała jakby, wyszczupiała. Dowiedziałem się potem, że w ciągu trzech miesięcy straciła dwanaście kilo.

- Nie ma tego złego, co by na dobre, synu - żartowała.

- A wie pan, ile trwał wiec 8 marca? - spytał adwokat.

- Nie.

- B I T E osiem godzin.

Roześmialiśmy się obaj.

- Panie Jurku - tym razem odezwał się pan Edek, który zdążył już przegrać pierwszą partię.

- Słucham.

- A kto to jest ten facet, z którym pan rozmawiał?

- Kolega z piaskownicy.

- Ha, ha, ha... A tak naprawdę?

- A jak pan myśli?
- Wyślę, że to pana kumpel.
- To myśl pan dalej.

Chwilę milczał.

- Obraził się pan?
- Nie, dlaczego? - odparł Celkowski. - O co?
- No, że tak pana pytam. Ale to z ciekawości.
- W porządku, nie ma o czym mówić.

Nie miał ochoty rozmawiać. Ciągłe czuł się jak we śnie. Wszystko wydawało się nie realne, czuł obecność przedmiotów. Ich wrogość. Widział ostro, wyraźnie. To zwiększało odczucie nierealności tak się na codzień nie widzi. Na codzień nie dos- trzega się przedmiotów, które nas otaczają. Tutaj zaś nawet słoje w deskach sto- żu rzucały się w oczy. Wszystko było osobno. Czuł, że każdy przedmiot jest tutaj przeciw niemu, że musi znaleźć sposób, żeby się temu odczuciu przeciwstawić. Z korytarza doszedł szczeł garnków.

- Wiosną kolację - ożywił się pan Tadzio.

Zupa mleczna z kluskami, kubek kawy. Chleb pozostały ze śniadania. Kosteczka mar- garyny. Tym razem jedli przy wspólnym stole.

- A teraz zapalimy po całaku - pan Edek wyjął paczkę ekstramocnych.
- Oddam panu jutro. Sledcza obiecała mi dostarczyć dwie paczki.
- To ma pan kobitę? - pan Tadzio aż podskoczył - ładna?
- Może być.
- A nie można by jej tam jakoś...? - pan Tadzio wyraźnie był podniecony.
- Z byka pan spadł?
- Ale to zawsze kobita, no nie?
- Nie.

- Niedługo inaczej pan będzie śpiewał, panie Jurku. A jeszcze jak pan zobaczy na- szą pielęgniarkę, o Jezu!

- Będzie co ma być.
- Panie, ona jest ruda jak wiewiórka. A dupę ma...!
- Jeżeli już o dupie mowa, to chciałbym sięść na kiblu.
- A siadaj pan. Kto panu broni? Tu jest wolność. Tylko pośpiesz się pan, bo za- raz apel.

To było krępujące. Nieprzywykł jeszcze do publicznego zakatwiania się. Ściągnął spodnie i siadł na sedesie.

- I naciskaj pan od razu z tyłu, żeby smród nie leciał.

Siedział więc w jednej ręce trzymając starą gazetę, którą usiłował czytać, drugą zaś sięgając za siebie i spuszczając wodę.

- Trzymaj pan - pan Edek wydobył z szafki papier toaletowy. - Podkupi pan na wypis- kę.

Siedział z oczami utkwionymi w gazetę starając się zachować możliwie cicho. Wsty- dził się nieprzytomnie.

Później, po kilku dniach, siedziałem na kiblu bez skrępowania i prowadziłem oży- wione dyskusje o naszej gospodarce, ostatnio oglądanym filmie czy skomplikowanej strukturze algebry Boole'a, której uczył mnie Broniek. Przyzwyczaiłem się.

Strażników do furii doprowadzało to jednoczesne spuszczenie wody. Któregoś dnia Jasio nie wytrzymał i wszedł do celi. Akurat na kiblu siedział Broniek.

- W domu też tak w czasie srania polewacie?

- W domu, panie oddziałowy, nie ma kibla w salonie.

Tamci dwaj rozmawiali. Celkowski czytał jakiś kawałek o konieczności wczesnych przygotowań do prac polowych umilając sobie lekturę przyciskaniem spustu. A właściwie udawał, że czyta. Próbował tym strzępem gazety odgrodzić się od swego wstydu, zasłonić się jakoś. W kilkanaście minut później stał wyprężony na baczność. Drzwi celi otwarto i dyżurujący strażnik, zastępca paczelnika więzienia, zlustrował wnętrza szybkim, uważnym spojrzeniem. Apel zawsze odbywał się w ciszy. Zgrzyt kluczy, otwarcie drzwi, spojrzenie, zamknięcie drzwi i znów zgrzyt kluczy. Ani słowa. Żadnego meldowania czy innych parawojkowych lub harcerskich zabaw. Krótko i milcząco. Cella po celi, oddział po oddziale. Natychmiast po apelu zaczęli się rozbierać. Najpierw marynarki. Pan Tadzio szybko poinstruował nowicjusza jak należy ją równo złożyć. Ułożone na stołku tworzyły pierwszą warstwę kostki. Na to położyli równo poskładane spodnie. Następnie na wierzch dali ściereczkę, której końce pan Edek podwinął pod marynarki. Na ściereczce ułożył łyżki, które przykrył złożonymi razem i odwróconymi do góry dnem miskami. Kostka była gotowa. Otworzono drzwi i pan Tadzio, przytrzymując miski brzoją, wystawił stołek na zewnątrz. Po chwili wystawił również buty. Od tej chwili do dziewiątej, do zgaszenia światła czas należał do nich. Można już było korzystać z łóżek. Celkowski wdrapał się na górę.

- Panie Edku, nie ma pan czegoś do czytania?

- Proszę bardzo - podał "Hrabinę Cosel".

Kraszewskiego nie znosiłem. Nudził mnie śmiertelnie. Nigdy nic nie potrafiłem doczytać do końca. Teraz musiałem. Właściwie nie musiałem, ale nic innego w celi nie było. Później, zaopatrzony w kartę biblioteczną, mogłem sam sobie dobrać lekturę. Biblioteka była znakomicie zaopatrzona. Nie brakowało nawet książek specjalistycznych. Uzupełniałem zatem intelektualne wyposażenie studenckiego rewolucjonisty. Zdobywałem świadomość swego bytu, który na razie określał zakres mojej niewiedzy, podkreślał dezorientację. Tego, że tu jestem, nie potrafię odmienić - myślałem - ale tym bardziej nie wolno mi marnować czasu. Uczyłem się zatem iście po wariacku. Kupiłem zeszyty i prowadziłem dziennik lektur. Wypisywałem stosowne cytaty. Próbowałem coś pisać.

Tego wieczoru jednak czytałem nie czytając. Przesuwałem oczy wzdłuż wersów nie właściwie nie odbierając. Wysłałem o tym, co się ze mną dzieje. Właśnie teraz, wieczorem, po apelu, mijał pierwszy szok.

Powoli wracałem do siebie. Uspakajałem się, oswajałem z nową rzeczywistością.

Teraz właśnie dorasowywałem się do więziennego bytu, przyajierzałem do roli w jakiej muszę wystąpić. Zwolna ustępowało napięcie wywołane wydarzeniami ostatniej doby. Nie byłem już zdany na niewiadome. Zaczynałem się orientować w sytuacji. Sprzęty celi nie wynurzały się już z taką wyrazistością, jak rano. Przewracając kartki myślałem o rodzicach, o bracie, o Ani. Tak, o Ani przede wszystkim. O tym co teraz robi, co czuje, co jej ewentualnie grozi. Zacząłem się już bać nie o siebie, lecz o nich. Zastanawiałem się, jak będzie wyglądał mój powrót do domu. Wynurzałem się z wolna w przyszłą wolność, codzienność. Zobaczyłem siebie, jak siedzę po kolacji wraz z matką przy kuchennym stole. Parzymy jak zwykle, po wariacku, o jedenastej w nocy, świeżą herbatę. I jak zwykle gadamy jeszcze parę godzin. Zwłaszcza teraz, po moim powrocie.

- Ojciec tak się zdenerwował, kiedy napisałeś, że cię bolą zęby... Myślał, że ci je wybili.

- Nie te czasy.

- No tak, a ta dentystka chociaż dobra?



- Fatalna. Ale to była jakaś rozrywka.

- Słuchaj, Jurek. Innym możesz nie mówić, ale mnie powiedz. Jak tam naprawdę było? Bili was?

- Nnie nie bili.

- A myśmy tu myśleli...

Patrzę na nią i patrzę. Twarz zmęczona, u fryzjera Bóg wie, kiedy ostatni raz była.

- A Anka? - pytam - Co u niej?

- Właśnie. Trzeba do niej natychmiast zadepeszować. - I przepaszajęco:

- Myśleliśmy, że wyjdiesz dużo później. Chdźmy do telefonu.

Idziemy. Telefon jest w korytarzu. Ale korytarz wydaje się inny. Patrzę uważnie. Długi, nieskończenie długi, z dziesiątkami drzwi po obu stronach. I pusty, Matka odwraca się i mówi:

- Tędy proszę.

Ale to nie matka. To moja pani porucznik. Otwiera drzwi i puszcza mnie przodem. Wchodzę do luksusowego gabinetu. Zza biurka pada:

- Siadajcie.

Siadam. Gabinet zaczyna powoli wirować. Patrzę z przerażeniem. Za biurkiem siedzi mój sobowtór.

- Jak pan się tu dostał? - pytam.

- Musiałem się z tobą zobaczyć. Koniecznie. Musiałem. Przyznaj się do wszystkiego. Przyznaj się.

- Do czego ?



Przeгляд kulturalny  
i niekulturalny.

EUGENE IONESCO - WYWIAD DLA TYGODNIKA "NEWSWEEK"

Niedawno ukazał się we Francji zbiór esejów Eugene Ionesco pt. "Antidotes", dotyczących poglądów politycznych pisarza. Oto fragmenty wywiadu jakiego Ionesco udzielił amerykańskiemu tygodnikowi "Newsweek" zaraz po wydaniu tej książki.

Pytanie: We wstępie do zbioru "Antidotes" napisał pan, że "intelektualiści przez ostatnie 30 lat oszukiwali samych siebie". Mogłoby pan sprecyzować, co pan przez to rozumie?

Odpowiedź: Powiedziałem wówczas "30 lat", ale pomyliłem się. Obecnie jest to 40 lub 50 lat. Od II wojny światowej intelektualiści nie tylko oszukiwali samych siebie, ale i innych. Już wówczas była dostateczna ilość dowodów na to, co działo się np. w Europie Wschodniej /.../ Jakies 20 lat temu David Russet przekazał na ręce J.P.Sartrea całą dokumentację dotyczącą GULagu.

Sartre i inni intelektualiści nie zabrali wówczas głosu twierdząc, iż mogłoby to przynieść zbyt wiele korzyści burżuazji. Była to więc odmowa głoszenia prawdy, odmowa sprawiedliwości...

Kilka lat temu spotkałem w Paryżu Wł.Maksimowa, wydalonego z ZSRR pisarza i wydawcę. Powiedział mi, że zamierza opublikować szereg artykułów w wielu językach, aby Zachód poznał nareszcie całą prawdę. Odpowiedziałem mu wówczas, że Zachód zna prawdę już od dawna, ale przez to, że wszyscy nienawidzili Amerykanów a Francuzi nienawidzili się między sobą przez głupie kłótnie polityczne - nie obchodziło ich to, co działo się w innych krajach. Byliśmy świadkami jako to dziwaczne zjawisko jakim jest Francja, które zostało uratowane przez Amerykę, zwróciło się przeciw Ameryce i w końcu zdemoralizowało jej intelektualistów, zaczynających swą karierę wraz z Sartrem w latach 1945/1946. Ludzie pisali o Sartrze, że był on "sumieniem swoich czasów"; powinno się raczej pisać, że był on "nieświadomością swoich czasów".

P: Czy Sartre zmylił amerykańskich intelektualistów, czy oni go źle zrozumieli?

O: Nie, to właśnie duch Deux Margots, lewicowości i Cafe de Flora doszedł do Anglii, Niemiec i USA powodując u Amerykanów wyrzuty sumienia. To dzięki Francuzom Ameryka poczuła się winna. Obecnie Francuzi jakby obudzili się trochę, do pewnego stopnia dzięki ruchowi nowych filozofów /A.Glucksmann i inni/, ale jest już naprawdę za późno, by zmienić świadomość mas.

P: Ale czy rzeczywiście rola intelektualistów na świecie jest tak istotna, jak to pan sugeruje?

O: Oczywiście. To właśnie oni kształtują opinię publiczną i to nie w ciągu jednego roku, dwóch czy dziesięciu lat, ale przez cały czas.

P: W jaki sposób społeczeństwo może uniknąć tych błędów, które popełnili intelektualiści?

O: Jest to bardzo trudne. Widzi pan, propaganda rządów komunistycznych wykonuje swą robotę fachowo i skutecznie. To co trafia do intelektualistów jest przez nich przemyślane, ale nie na bazie faktów. Stanowi jakby przedłużenie komunis-

tycznych sloganów. Oto metoda konstruowania przez nich teorii; oto fałszywy i zideologizowany sposób w jaki objawili się oni światu.

P: Powracając do Sartre'a. Kiedy ostatnio Breżniew był w Paryżu, Maksimow i inni radzieccy dysydenci jak pisarz W. Bukowski i matematyk L. Piuszcz, wspólnie z Sartrem zorganizowali wiec protestacyjny...

O: Jest w tym dla mnie coś niesprawiedliwego i śmiesznego. Sartre nie powinien być się tam znaleźć, gdyż był on na przykład przeciwny przyznaniu Pasternakowi nagrody Nobla. Taki człowiek nie ma prawa zasiadać obok Piuszcza i innych radzieckich intelektualistów, byłych więźniów GUŁagu. Nie powinien zasiadać pomiędzy tymi ludźmi on, który nie zaprotestował przeciwko GUŁagowi /.../ Sartre wielokrotnie zmieniał swoje stanowisko, niekoniecznie ze względów oportunistycznych, lecz bez wątpienia w wyniku pewnych swoich słabości. Ale w końcu nie może on przeciwstawić się biegowi historii. W dzisiejszych czasach Sołżenicyn, Bukowski czy Piuszcz potrafią tak głośno wykrzyknąć prawdę, że trudno już ich nie usłyszeć. I jeśli kilku Rosjan mogło zmienić bieg historii to Sartre'owi nie pozostaje nic innego jak się do nich przyłączyć.

P: Czy obecnie zaakceptowałby pan Sartre'a jako swego partnera ?

O: Nie powiedziałbym, że bym był szczęśliwy, ale jest już trochę lepiej... W każdym razie Sartre nie ma już takiego wpływu jak kiedyś...

P: Jak widzi pan rolę intelektualistów we Francji w przeddzień wyborów ?

O: Tacy ludzie jak "nowi filozofowie", Andre Glucksmann, Jean - Marie Benoist, Bernard - Henri Levy i inni - mówią o wiele dosadniej niż my i to co powinno zostać powiedziane. /.../ Jednakże zastanawiam się, czy nie jest już za późno, bo nie można zmienić przez 3 miesiące tego, co było robione przez 30 lat! Trzy miesiące... aż Francuzi obudzą się w ostatniej chwili. Aby stać ich było na zdrową reakcję. Dotąd igrali z ogniem, teraz nadszedł prawdziwy ogień...

"Newsweek", listopad 1977

Tłumaczył M.G.

Milan Kundera

## KOMEDIA LUDZKA I LITERATURA ZAANGAŻOWANA

### Jak pisać dla tłumacza ?

Moja sytuacja jest raczej niecodzienna: piszę powieści po czesku, lecz od 1970 roku nie mogę ich drukować we własnym kraju, więc nikt mnie po czesku nie czyta. Moje książki tłumaczone są najpierw na francuski i wydawane we Francji, a potem w innych krajach, zaś teksty oryginałów leżą w szufladzie mega biurka, jak szczególnego rodzaju matryce.

Jesienią 1968 roku spotkałem w Wiedniu pisarza - rodaka, który postanowił na dobre opuścić Czechosłowację. Wiedział, że oznacza to zakaz druku. Mnie wydawało się wtedy, że popełnia on rodzaj samobójstwa i zapytałem, czy pogodził się na przyszłość z faktem pisania tylko na użytek tłumaczy, czy piękno ojczystego języka nie ma już dla niego żadnego znaczenia. Kiedy następnie wróciłem do Pragi, czekały tu na mnie dwie niespodzianki: po pierwsze - chociaż nie emigrowałem - jestem od tamtej pory zmuszony pisać wyłącznie na użytek tłumaczy, a po drugie - jakkolwiek paradoksalnie to się może wydawać - czuję, że mój ojczysty język wiele na tym zyskał.

O pięknie języka stanowią, moim zdaniem, jego zwięzłość i jasność. Język czeski jest żywy, sugestywny i zmysłowy, często kosztem wewnętrznego ładu, logicznej konstrukcji i dokładności. Zawiera silny ładunek poetycki, lecz trudno jest przekazać wszelkie znaczenia jego obcemu czytelnikowi. Mniemam natomiast, że zależy bardzo na wiornym tłumaczeniu. Podczas pisania moich dwu ostatnich powieści myślałem przede wszystkim o francuskim tłumaczu. Zmusiłem się - początkowo nieświadomie - do pisania zdaniami bardziej rzeczowymi i bardziej zrozumiałymi. To było oczyszczanie języka. Mam wielki sentyment dla osiemnastego wieku, tym lepiej więc dla moich czeskich zdań, że przejrzą się dokładnie w czystym zwierciadle Diderota.

Goethe powiedział kiedyś Eckermannowi, że są świadkami końca literatury narodowej i narodzin literatury światowej. Jestem przekonany, że od czasów Goethego literatura adresowana wyłącznie do czytelnika własnego narodu, nie spełnia swej podstawowej funkcji. Opisywanie ludzkich sytuacji tak, że są nieczytelne poza granicami własnego kraju, jest również złą przysługą dla czytelników. Uniemożliwia im się w ten sposób widzenie wykraczające poza własne podwórko, wypycha się ich w zaścianek, jak w kaftan bezpieczeństwa. Nie być drukowanym we własnym kraju, to doświadczenie okrutne, myślę jednak, że pożyteczne. Współcześnie musimy pogodzić się z faktem, że książka, która nie jest w stanie wejść do literatury światowej - nie istnieje.

#### Europa Środkowa i Europa Wschodnia.

Jestem pisarzem czeskim i nie lubię gdy kwalifikuje się mnie jako reprezentanta literatury wschodnioeuropejskiej. Europa Wschodnia to pojęcie czysto polityczne, istnieje zaledwie od trzydziestu lat. Jeżeli mówimy o tradycji kulturalnej, Europa Wschodnia to Rosja, a Praga leży w Europie Środkowej. Zachodni Europejczycy nie znają się niestety na geografii. Ta ignorancja miała już i może mieć w przyszłości fatalne skutki. Przypomnijmy sobie Chamberlaina i jego słowa z 1938 roku: "mały kraj, o którym niewiele wiemy".

Narody Europy Środkowej są małe i stanowczo zbyt skutecznie odizolowane barierą języków, których nikt nie zna i mało kto się uczy. A przecież to właśnie w tej części Europy funkcjonuje od pięćdziesięciu lat swoiste laboratorium, w którym historia dokonuje niewiarygodnych eksperymentów, obejmujących zarówno poszczególne jednostki, jak i całe narody. Fakt, że mieszkańcy Europy Zachodniej, posiadający tylko bardzo uproszczone pojęcia, nie zadali sobie nigdy trudu by zbadać co się dzieje o paręset kilometrów od ich spokojnych domów, może mieć dla nich, powtarzam, fatalne skutki.

---

Wszelkie ograniczenie wolności myśli i słowa, wszelka cenzura - bez względu na to jak dyskretnie i pod jaką nazwą działą, stanowi w XX wieku skandal, jest próbą zakneblowania naszej narodowej literatury.

/ Z przemówienia Milana Kunlery na Kongresie Pisarzy Czechosłowackich w 1967 r./

---

To właśnie tu, w Europie Środkowej, bierze początek kilka impulsów kulturowych, bez udziału których trudno byłoby wyobrazić sobie nasze stulecie: psychoanaliza Freuda, dodekafonia Schönberga, powieści Kafki i Haskà odkrywające nowy świat literatury groteskowej i nową poetykę powieści nie-psychologicznej, wreszcie - strukturalizm, poczęty i rozwijany w latach dwudziestych w Pradze, by w trzydziści lat później stać się modą w Europie Zachodniej. Z tych tradycji wy-

rosłem i ja i nie czuję bym miał wiele wspólnego z Europą Wschodnią. Proszę o wybaczenie, jeśli znudziłem zanadto tymi detalami geografii.

### Narody wielkie i małe.

Wielkie narody opanowane są ideą zjednoczenia. W jedności widzą postęp. Nawet w przesłaniu prezydenta Cartera do Kosmosu znalazł się fragment wyrażający ubolewanie z powodu podziału świata na narody oraz nadzieję, iż wkrótce nastąpi zjednoczenie w jedną wielką cywilizację. Tak, jakby jedność była lekarstwem na wszelkie choroby. Naród mały, usiłujący zachować własne życie, walczy o prawo do bycia innym. Jeżeli postęp polegać ma na zjednoczeniu - małe narody są z istoty antypostępowe, w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Wielkie narody tworzą historię, małe - czerpią z niej korzyści. Wielkie narody uważają się za panów historii i dlatego muszą brać poważnie i historię i siebie. Naród mały nie traktuje historii jako swą własność i ma prawo nie brać jej na serio.

Franz Kafka był Żydem, Jarosław Hašek - Czechem, obydwaj byli członkami mniejszości. Kiedy wybuchła Pierwsza Wojna Światowa, Europę opanował bojowy nacjonalizm, który nie ominął nawet Tomasz Manna czy Apollinaire'a. W dzienniku Franza Kafki czytamy: "Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Po południu poszedłem popływać". Podobnie, gdy w 1914 roku Szwejk Haška dowiaduje się o zabójstwie Ferdynanda, próbuje dowiedzieć się o którego Ferdynanda chodzi: czy o tego ucznia fryzjerskiego, który raz napił się olejku do włosów, czy o tego, co zbiera z ulic psie łajno?.

Mówi się, że wielkość życia polega na tym, że życie samo siebie przekracza. A jeśli wszystko co przekracza życie jest historią, która w żaden sposób od nas nie zależy? Jeśli jest to tylko absurdalny urząd Kafki? Albo głupota armii Haška? Cdzie wielkość, znaczenie i sens tego wszystkiego? Mądrość mniejszości pozwala odkryć świat bez znaczenia i bez wielkości. Odkryć jego groteskowość.

Pojęcie historii Hegla - rozumnej i wspinającej się, niczym wzorowa uczenica, wciąż wyżej po szczeblach postępu - zostało w sposób niezauważalny zburzone przez Haška i Kafkę. W tym właśnie znaczeniu jesteście ich spadkobiercami.

Humor Frańzan jest często trudno zrozumieć. Krytycy zarzucali Milošowi Formanowi, że w jednym z filmów ksywało się śmiech widzów w nieodpowiednim miejscu. Tam, gdzie ludzie nie powinni się śmiać. Ale, czy to nie o to właśnie chodzi. Komedia nie jest tu po prostu po to, żeby sobie grzecznie leżeć w szufladce zarezerwowanej dla komedii, fars i rozrywek, gdzie tak zwani poważni ludzie chcieliby ją zamknąć. Komedia jest wszędzie, w każdym z nas, towarzyszy nam jak cień i nawet w nieszczęściu czyha na nas jak przepaść. Józef K. jest komiczny przez swoje zdyscyplinowane posłuszeństwo, a jego historia staje się dzięki temu jeszcze bardziej tragiczna. Hašek śmieje się pośrodku wielkiej masakry i przez to efekt końcowy staje się jeszcze trudniejszy do zniesienia. W każdej tragedii tkwi ziarno śmiechu. Tragedia daje nam złudzenie wielkości i sensu. Ludzie, którzy mieli tragiczne życie, mogą opowiadać o tym z dumą. Ci, którym zabrakło tragicznego wymiaru, którzy znają jedynie komedię życia, nie mogą mieć do siebie żadnych złudzeń.

Po przybyciu do Francji najbardziej uderzyła mnie różnica narodowego poczucia humoru. Francuzi są fantastycznie śmieszni, dowcipni i weseli, ale traktują siebie i świat poważnie. My, Czesi jesteśmy daleko bardziej smutni, ale niczego nie bierzemy serio.

Literatura zaangażowana.

W Czechosłowacji zawsze walczyłem przeciwko traktowaniu literatury jako zwykłego narzędzia propagandy. Po przybyciu na Zachód odkryłem, że pisze się tutaj o literaturze tzw. krajów Europy Wschodniej, jakby nie była ona niczym innym rzeczywiście, jak tylko narzędziem propagandy. Wszystko jedno pro-, czy antykomunistycznej. Przyznając, że nie lubię słowa "dysydent", szczególnie w zastosowaniu do sztuki. Jest ono istotną częścią mechanizmu politycznego i ideologicznego zniekształcenia, które okalecza dzieło sztuki. Czy opowieści Tibora Dery albo filmy wiloša Formana są dysydenckie? Czy może nie? Nie da się ich sprowadzić do tej kategorii. Kto nie potrafi odzierać sztuki, która dociera z Budapesztu i Pragi inaczej niż poprzez idiotyczny język polityki, ten morduje tę sztukę równie brutalnie, jak najgorsi stalinowscy dogmatycy. Nie jest on w stanie usłyszeć jej prawdziwego głosu. Waga tej sztuki nie pochodzi stąd, że oskarża ona ten czy inny reżym. Wynika ona z faktu, że opierając się na głębokim doświadczeniu społecznym i ludzkim, które żyjącym na Zachodzie trudno sobie nawet wyobrazić, proponuje ona nowe świadectwo człowieczego losu. Jeśli "zaangażowanie" oznacza literaturę na usługach jakiejś politycznej wiary, mówię wprost, że taka literatura to konformizm najniższego rzędu.

Pisarz zawsze przypomina boksera albo rewolucjonistę. Chce działać, pragnie mieć bezpośredni udział w "prawdziwym" życiu i przez to podporządkowuje swą pracę bezpośrednim celom politycznym.

Jednakże nonkonformizm powieści nie polega na jej identyfikacji z radykalnym, opozycyjnym programem politycznym, lecz na przedstawieniu innego, niezależnego i niepowtarzalnego świata. Wyłącznie w ten sposób może powieść atakować konwencjonalne opinie i postawy.

Część krytyków dała się opanować demonowi uproszczeń, mordują oni książki ograniczając się do prostej interpretacji politycznej. Tak zwani "wschodni" pisarze interesują ich tylko do momentu, dopóki ich książki są zakazane. Istnieje dla nich wyłącznie podział na pisarzy oficjalnych i opozycyjnych i na tym koniec. Zapominają, że każda autentyczna literatura wymyka się ocenom tego rodzaju i wykracza poza manicheizm propagandy.

W pewnych sytuacjach historia obnaża dusze ludzkie tak, jak otwiera się rybna konserwa. Pozbawiony klucza ofiarowanego mi przez historię najnowszą mojego kraju, nie mógłbym, na przykład, odkryć niewiarygodnego zjawiska współżycia Poety i Donosiciela w duszy Jaromila. /1/

Popadliśmy w nawyk obwiniania za wszystko "reżymów". Uniemożliwia nam to znalezienie prawdy, iż rola "reżymów" polega wyłącznie na uruchomieniu mechanizmów, które istnieją w nas samych... Powołaniem powieści nie jest stawianie pod pręgierzem oczywistych realiów politycznych, lecz ujawnianie skandali antropologicznych.

### Śmierć powieści.

Począwszy od lat dwudziestych naszego wieku, pisanie nekrologów powieści stało się popularnym zajęciem: surrealiści, rosyjska awangarda, Malraux /który twierdzi, że powieść nie żyje odkąd Malraux przestał pisać powieści/ i tak dalej, i tak dalej. Czy nie wydaje się to dziwne? Nikt jakoś nie wspomina o śmierci poezji. Tymczasem od czasów wielkiego pokolenia Surrealistów nie potrafiłbym skazać prawdziwie wielkiego i nowatorskiego utworu poetyckiego. Nikt nie mówi o śmierci teatru. Nie słyhać nic o śmierci malarstwa. Nikt nie wspomina o śmierci muzyki. Tymczasem poczynając od Schönberga muzyka porzuciła swą tysiącletnią tradycję opartą na tonalności i instrumentach muzycznych. Varese, Xenakis... lubię ich, owszem, ale czy to jeszcze muzyka? W każdym razie sam Varese woli mówić raczej o organizacji dźwięków niż o muzyce. Nie można więc wykluczyć, że muzyka nie żyje od kilkunastu lat, nikt jednak nie mówi o jej zgonie. Mówi się

za to dużo o śmierci powieści, chociaż prawdopodobnie jest ona w najmniejszym stopniu martwą formą.

Rozprawianie o śmierci powieści jest lokalnym obyczajem pisarzy zachodnio-europejskich, zwłaszcza Francuzów. Przekonywanie o tym pisarza z mojej części Europy lub z Ameryki Łacińskiej jest absurdem. Jak można trzymać na półce "Sto lat samotności" Marqueza i gęździć o śmierci powieści? Dopóki istnieje ludzkie doświadczenie, które nie może być przedstawione inaczej niż w powieści, wszelkie hipotezy o jej przemijaniu stanowią wyraz zwykłego snobizmu. Nie wyklucza to oczywiście poglądu, że powieść zachodnioeuropejska nie przynosi już nowych odkryć, które odnaleźć można obecnie w literaturze innych części Europy i w Ameryce Łacińskiej.

Podjeżrzewam osobiście, że cała ta gadanina o końcu powieści wzięła początek z eschatologicznego sposobu myślenia awangardy. Podniesiona rewolucyjnymi złudzeniami awangarda marzyła o ustanowieniu całkowicie nowej sztuki, o początku nowej epoki. Jeśli kto chce, było to w duchu popularnego powiedzenia Marksa o prehistorii i historii ludzkości. Z tego punktu widzenia powieść należałaby do prehistorii, a historią rządziłaby poezja, w której wszystkie wcześniejsze gatunki rozpuściłyby się i zanikły. Jest szczególnie godną uwagi, jak przy swym kompletnym irracjonalizmie to eschatologiczne ujęcie uzyskało powszechną akceptację i stało się - jednym z najbardziej popularnych stereotypów dzisiejszego snoba. Gardzi on powieścią, woli mówić o "tekście". Powieść, jego zdaniem, należy do przeszłości / do prehistorii literatury /, niezależnie od faktu, że przez ostatnie 50 lat stanowiła ona największą siłę literatury - wżny chociażby Roberta Musila, Tomasza Manna, Faulknera, Celino'a, Pasternaka, Gombrowicza, Guntera Grassa, Bölla, czy moich najdroższych przyjaciół - Philipa Rotha i Garcję Marqueza.

Powieść jest grą z udziałem wymyślonych bohaterów. Widzimy świat ich oczami i w ten sposób obserwujemy go z różnych punktów widzenia. Im bardziej zróżnicowani są bohaterowie, tym bardziej autor i czytelnik zmuszeni są do przekraczania własnych ograniczeń i do wysiłku zrozumienia. Ideologia usiłuje przekonać nas, że jej prawdy są absolutne. Powieść ukazuje nam względność wszystkich rzeczy. Ideologia jest szkołą nietolerancji. Powieść uczy nas tolerancji i zrozumienia. Im bardziej ideologizuje się nasze stulecie, tym bardziej anachroniczna staje się powieść. Jednak im bardziej jest anachroniczna, tym bardziej jej potrzebujemy. Dziś, kiedy polityka stała się religią, uważam powieść za jedną z ostatnich form ateizmu.

Jako chłopiec idealizowałem byłych więźniów politycznych. Później dopiero odkryłem, że wśród oprawców większość stanowią byłe ofiary. Dialektyka karta i jego ofiary jest bardzo złożona. Być ofiarą, to często najlepsza zaprawa dla przyszłego karta. Chęć ukarania niesprawiedliwości, to nie tylko czyste i proste pragnienie sprawiedliwości, ale często także podświadome pragnienie nowego zła...

Jakub /2/ jest świadomy tego wszystkiego, jeśli idzie o innych, ale nie w stosunku do siebie. Nie odnosi tej wiedzy do siebie samego. Wystarcza więc jedna krótka chwila bez samokontroli, gdy rozum drzemie, a podświadoma niechęć do ludzi i hamowana nienawiść biorą górę i ginie niewinna dziewczyna. Im bardziej szlachetna jednostka, tym głębszy cień stłumionego, wewnętrznego zła, który jej towarzyszy.

Prawdziwa powieść stoi zawsze ponad nadzieją i rozpaczą. Nadzieja nie jest wartością, lecz jedynie niesprawdzonym przypuszczeniem, że kiedyś będzie lepiej. Powieść ofiarowuje nam coś o wiele lepszego niż nadzieja. Ofiarowuje nam radość. Jest to radość płynąca z wyobraźni, wynikająca z opowiadania, radość, jakiej dostarcza gra.



Jedno jest oczywiste i poza dyskusją: jeżeli nasza sztuka rozkwitła, to dlatego, że wzrósł zakres swobody intelektualnej. Losy literatury czeskiej związane są żywotnie /.../ z istniejącym zakresem wolności duchowej. Są ludzie, którzy dostają wyspki na sam dźwięk słowa "wolność" i natychmiast zastrzegają, że w literaturze socjalistycznej wolność ma swoje granice. Zgoda, każda wolność ma swoje granice. /.../ Ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby jakiś nowy, postępowy ruch określał się poprzez własne ograniczenia! /.../ Dlatego pojęcie "literatury socjalistycznej" będzie pozbawione pozytywnego znaczenia, dopóki nie będzie też wynikać także wyzwolenie przez przewyciężenie ograniczeń.

W naszym społeczeństwie obronę granic poczytuje się za większą zasługę niż ich przekraczanie. Dla uzasadnienia wszelkiego rodzaju ograniczeń swobód intelektualnych służą najbardziej zmienne względy polityczne i społeczne. Jednak naprawdę wielką polityką, to taka polityka, która przedkłada trwałe dobro nad chwilową korzyść. Takim dobrem na miarę epoki jest dla narodu czeskiego jakość czeskiej kultury.

/ Z przemówienia Milana Kundery na Kongresie Pisarzy Czechosłowackich w 1967r.,

Tak właśnie rozumiem powieść - jako grę. Jeden z bohaterów "Przyjęcia na pożegnanie" nosi czasami aureolę. Uzdrowiskowy ginekolog leczy pacjentki zastrzykami z własnego nasienia i zostaje ojcem liczego potomstwa. Piszę to serio, czy zwyczajnie żartuję? To jest gra...

Oczywiście, jeżeli ta gra ma być coś warta, trzeba ją podjąć i stawka nie może być błaha. Musi to być gra z ogniem i z diabłem. Gra zwana powieścią łączy to co najlżejsze z najcięższym, najgłębszą powagę z niefrasobliwością.

Przełożył Tadeusz Walendowski

- 1/ Bohater z powieści Kundery "Życie jest wszędzie"
- 2/ Bohater z powieści Kundery "Przyjęcie na pożegnanie"

Milan KUNDERA urodził się w 1929 roku w Brnie. Prozaik, dramaturg, poeta. Od sierpnia 1968 roku wraz z ponad czterystoma pisarzami czeskimi i słowackimi, objęty zakazem druku. Wcześniej, w 1967 r. wychodzi jego pierwsza powieść "Żart" która otwiera mu drogę do literatury światowej. Po inwazji Paktu Warszawskiego Kundera zostaje usunięty z Wydziału Filmowego Akademii Sztuk Pięknych w Pradze, gdzie pracował jako asystent profesora. Wśród jego studentów byli wszyscy młodzi filmowcy, którzy w latach 60-tych zdobyli sławę jako twórcy "szkoły czeskiej" /m.in. Milos Forman/.

W 1973 roku w Paryżu ukazała się jego powieść "Życie jest wszędzie", która uzyskała nagrodę Prix Medicis dla najlepszej obcej powieści roku. Francuskie tłumaczenie ostatniej powieści Kundery "Przyjęcie na pożegnanie" ukazało się w 1976

Poza tym, Kundera jest autorem kilku dramatów i esejów, z których najbardziej znane są: esej "Sztuka powieści" z 1960 r. i dramat "Właściciele kluczy".

W 1975 roku Kundera otrzymał propozycję objęcia profesury na uniwersytecie w Rennes, gdzie obecnie przebywa.

W Polsce ukazały się, nie licząc publikacji w czasopiśmie dwie książki Kundery: "Śmieszne miłości" /Wydawnictwo Śląsk, 1967/ i "Żart" /PIW, 1970/, obydwie w tłumaczeniu Emilii Witwickiej.

Powyższy wybór wypowiedzi Milana Kundery ukazał się w najnowszym numerze

"Index on Censorship" /listopad-grudzień 1977/ w opracowaniu George'a Theinera.

x x x

Tadeusz WALENDOWSKI

## 25 LAT TELEWIZJI W POLSCE

25 lat temu miała miejsce pierwsza w kraju emisja programu telewizyjnego. Odbierany był w kilkudziesięciu punktach Warszawy. Dziś mamy w Polsce około 7 milionów zarejestrowanych telewizorów, a nadajniki programu pierwszego obejmują swym zasięgiem obszar zamieszkały przez 96% ludności kraju. Liczby te przytacza się często jako dowód awansu kulturalnego naszego społeczeństwa, tak jakby odbijały one coś więcej niż fakt technicznej możliwości, która bywa wykorzystywana także i przeciwko kulturze.

Miejsce i rolę telewizji w życiu kulturalnym. Polski niesposób ocenić jednoznacznie, zważywszy chociażby brak obiektywnych i wyczerpujących studiów nad programem i jego recepcją. Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych prowadzący systematyczne badania odbioru programu telewizyjnego podlega bezpośrednio Komitetowi do spraw Radia i Telewizji, a wyniki badań objęte są w przeważającej części tajemnicą. W tej sytuacji każda ocena musi być z konieczności intuicyjna i łatwo o zarzut niekompetencji. Jeszcze bardziej utrudnia publiczną dyskusję na ten temat ścisła ochrona cenzuralna zabezpieczająca telewizję przed wszelką krytyką wykraczającą poza wąskie dopuszczalne ramy. Tym bardziej oczywista staje się potrzeba podjęcia takiej dyskusji na łamach prasy niezależnej.

Jałowość i banalność wszelkich publikacji dotyczących telewizji pochodzi stąd, że pomijają one szerszy kontekst społeczny i kulturalny, w którym telewizja polska funkcjonuje, zaś szereg podstawowych problemów traktują jako rozstrzygnięte raz na zawsze. Przyjrzyjmy się temu obszarowi milczenia.

Przegląd uwarunkowań kształtujących zarówno program telewizji jak i zjawiska składające się na jego społeczny odbiór wypada zacząć od wskazania na pierwszeństwo polityczno - propagandowych funkcji telewizji w panującym systemie politycznym. Według słów Jerzego Łukaszewicza telewizja, to: "jeden z głównych instrumentów politycznego oddziaływania partii i sprawowania władzy". Odbija się to w oczywisty sposób na programach informacyjnych i publicystyce politycznej, ekonomicznej i społecznej. Konsekwencje politycznego nacisku dla widowisk artystycznych i filmu telewizyjnego, programów rozrywkowych, publicystyki kulturalnej, programów oświatowych i ogólnie dla kulturotwórczych funkcji telewizji są złożone i z pewnością nie wystarczy poprzestać na ich jednoznacznej negatywnej ocenie.

W rękach siły kierowniczej telewizja, jeżeli jeszcze nie jest, to ma wszelkie szanse by stać się opium dla siły roboczej, techniką sztucznego oddechu dla polskiej kultury. Pierwszym i naturalnym odruchem obronnym wobec tego zagrożenia jest wyłączenie telewizora, wzburzony umysł podsuwa hasło bojkotu telewizji, wyobraźnia tworzy niebiańską wizję generalnego strajku widzów... Przy całym swym uroku wizja ta przemówić może jednak tylko do jednostek, co niewiele zmienia sytuację milionów zabijających czas patrzeniem w "szkiełko". Ich problemem jest przede wszystkim b r a k a l t e r n a t y w, wyrażony celnie w żartobliwym hasle PROGRAM TELEWIZJI - PROGRAMEM NARODU.

Wszelkie rozwiązania natychmiastowe sprzeczne są z samą istotą kultury. Kierując się tą zasadą proponujemy drogę ku lepszemu przez rzetelne studia

i niecenzurowaną dyskusję, pogłębianie znajomości przedmiotu i ulepszenie teoretycznego warsztatu. Cele, które winny przyswiecać tym wysiłkom, to upowszechnianie postaw sprzyjających krytycznemu i selektywnemu odbiorowi oraz poszukiwanie i tworzenie alternatyw.

W warunkach polskich wprowadzenie telewizji zbiegło się w czasie z przerwaniem kulturowej ciągłości, masowym wykorzenieniem z tradycji przez procesy urbanizacji, uprzemysłowienia i społecznej ruchliwości z jednej strony i kompleksem zjawisk zwanych socjalistyczną rewolucją kulturalną z drugiej. W jakim stopniu telewizja realizuje, a w jakim zaprzecza trydycyjnym wartościom narodowej kultury? Wiedzy telewizja jest czynnikiem kulturalnego awansu, a kiedy sprzyja degradacji? Jakie jest miejsce telewizji w procesach różnicowania i ujednolicenia kultury polskiej, jej uniwersalizacji i "sowietyzacji"?

Inny słabo zbadany obszar, to stosunki wzajemne telewizji jako elementu kultury masowej i kultury "wysokiej" w warunkach polskich, w tym technika manipulacji wartościami kultury wyższej w telewizji, popularyzacja i przemilczanie, uproszczanie i fałszowanie dorobku kultury przeszłej i współczesnej. Istotny fragment poruszanej tu problematyki, to stosunek języka telewizora do poprawnej polszczyzny.

Od początku istnienia telewizji w Polsce ścierają się dwie tendencje: obniżanie poziomu programu, równania w dół /jej zwolennicy lubią posługiwać się pojęciem "przeciętnego" lub "nieprzygotowanego" telowidza/ i podnoszenia poziomu /w imię "kulturalnego awansu", "rozbudzania i poszerzenia zainteresowań masowego widza%. Na przełomie lat 50-tych i 60-tych górowała tendencja druga, później czoło wyszła pierwsza, jednak pełna historia tej walki czeka nadal na swych badaczy.

Funkcje oświatowe pełnione przez telewizję, jakość i społeczny rezonans programów oświatowych dla dzieci i dorosłych, ich ocena pod kątem potrzeb społecznych i z punktu widzenia pedagogiki, to następna dziedzina wymagająca krytycznej refleksji.

Wielorakie konsekwencje dla programu i dla jego odbioru ma działanie w warunkach pełnego monopolu. Jest to monopol w podwójnym znaczeniu: po pierwsze - widz pozbawiony jest możliwości wyboru programu /różnica między kanałami jest nieistotna/, po drugie: dla znacznej liczby Polaków oglądanie telewizji jest jedyną lub zasadniczą formą uczestnictwa w kulturze.

Ostatni czynnik, na który chcemy zwrócić uwagę, poważnie wpływający na kształt i jakość programu, to centralistyczno - biurokratyczny model zarządzania telewizją, powstały głównie jako skutek "systematycznego doskonalenia i umacniania systemu partyjnego kierowania". Wiąże się z nim ściśle metody i styl pracy, zasady doboru kadry pracowników twórczych, ich kwalifikacje zawodowe, artystyczne i moralne.

Odpowiedniki zarysowanych powyżej procesów, zjawisk i problemów związanych z funkcjonowaniem telewizji w różnych warunkach kulturowych, społecznych i politycznych mają bogatą literaturę, której słaba znajomość na naszym gruncie jest dodatkowym hamulcem rozwoju własnych badań.

Zyczymy telewizji w 25-lecie jej istnienia rzetelnych badaczy i niezależnych krytyków, utalentowanych realizatorów, światłego i autonomicznego kierownictwa oraz samorządnego ustroju wewnętrznego.

Telwidzom zaś życzymy pełnoprawnego partnerstwa w stosunkach z telewizją, co nie da się urzeczywistnić bez jej uspołecznienia.

CO NOWEGO W TELEWIZJI ?

Nowa forma sprawozdawczości sportowej.

29 października 77 na Stadionie Śląskim w Chorzowie rozegrany został mecz piłkarski Polska - Portugalia. Było to wydarzenie wielkiej wagi dla milionów sympatyków piłki nożnej w całym kraju. Jednocześnie był to ważki moment w historii polskiej telewizji. Sposób przekazywania tego meczu widzom, przez swą wszechstronność, pogłębione i wielospektrowe potraktowanie tematu, tworzy nową jakość, otwiera nowy etap. Zastosowana tu po raz pierwszy metoda relacjonowania zdarzeń w pełni zasługuje na miano sprawozdania totalnego. Na poparcie tej tezy niech służy następująca zapowiedź, która ukazała się w "Życiu Warszawy" w czwartek 27.X.77., na dwa dni przed meczem:

"W piątek o godzinie 16.30 telewizja przeprowadzi bezpośrednio sprawozdanie ze Stadionu Śląskiego /15 minut/, przedstawiające trening piłkarzy. Tego samego dnia o godzinie 22.30 drużyna portugalska zostanie przedstawiona w 15 minutowym filmie.

W sobotę ekipa telewizyjna będzie pracować już od godziny 14.00. W ramach Studia - 2 Tomasz Hopfer i Lesław Œmikiewicz zaproszą widzów na boisko. O 14.55 nastąpi ogłoszenie składów drużyn. O 15 telewizja relacjonuje otwarcie bram stadionu i przybycie pierwszych kibiców. O 15.05 - filmowe sylwetki obrońców polskiej drużyny. 15.35 - sylwetki pomocników. 15.50 - relacja z przyjazdu obu drużyn na stadion. 16.15 sylwetki napastników. Z kolei o 16.25 zostaną przedstawieni komentatorzy telewizji zagranicznych oraz byli reprezentanci polskiej drużyny piłkarskiej.

Od godziny 16.30 rozpocznie się telewizyjny plebiscyt na gwiazdę meczu. Kibice będą mogli zgłaszać swoje kandydatury do wszystkich regionalnych ośrodków polskiej telewizji. Mają także okazję przekazać w tym czasie pytania na pomocową konferencję prasową. Wyniki plebiscytu zostaną ogłoszone o godzinie 18.45. W dziesięć minut później - rozmowa z gwiazdą meczu.

Telewizja zaprasza na konferencję prasową o godzinie 19.10. Wszystkie bramki zdobyte przez Polaków w rozgrywkach eliminacyjnych zobaczymy o 22.10. Po północy odtworzona zostanie druga połowa meczu. Z pierwszej połowy telewizja prześle kilkunastominutowy skrót. Grupa realizatorów nakręci w sobotę półgodzinny reportaż "Na boisku i w domu", przedstawiający Kazimierza Deynę, Zbigniewa Bońka, Jana Tomaszewskiego w czasie meczu, a także podczas powitania z rodzinami w domu. Film ten wywołany i zmontowany w ciągu jednego dnia, obejrzymy w niedzielę o godzinie 22. Transmisja z meczu przekazywana będzie przy pomocy siedmiu kamer /dwie ustawione za bramkami umożliwiające powtórki sytuacji/. Zamówiono dwa reflektory lotnicze, na wypadek gdyby nad stadionem zaległa mgła.

Sprawozdawcą i komentatorem będzie Jan Ciszewski".

### Groźba z kosmosu.

"Telewizja satelitarna a walka ideologiczna" to tytuł artykułu opublikowanego w kwartalniku "Przekazy i opinie" Nr 3/77. Autor Lesław Wojtasik, jest pracownikiem naukowym Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego, specjalistą zagadnień wojny psychologicznej.

Artykuł rozpoczyna się przeglądem technicznym metod przekazywania obrazu telewizyjnego, z których każdą autor ocenia pod względem możliwości państwowej kontroli nad takim przekazem. W przypadku stosowanych dotychczas metod ocena wypada pozytywnie. Jednak w niedługim czasie /zdaniem ekspertów amerykańskich już około 1980 roku/ stanie się możliwy przekaz bezpośredni tzn. odbiór programu nadawanego z satelity przez zwykły domowy telewizor. "W takim systemie zostaje pominięte pośrednictwo stacji naziemnej oraz wyeliminowana

konieczność wyposażenia odbiorników domowych w dodatkowe urządzenia. Możliwość kontroli przekazu przez państwo ograniczone zostają do minimum. Możliwa jest w łącznie elektroniczna dezorganizacja przekazu pociągająca za sobą wszystkie wy mienione wyżej trudności/ tzn. bardzo wysokie koszty i niebezpieczeństwo przekazu własnego "zdezorganizowanego" - przyp.red./.

Następnie autor przechodzi do rozważań nad konsekwencjami zastosowania nie kontrolowanego przekazu telewizyjnego na polu walki ideologicznej. "Historia walki ideologicznej między wspólnotą socjalistyczną a państwami imperialistycznymi dowodzi, iż wszelkie osiągnięcia techniczne były natychmiast przez te państwa wykorzystywane, wpływały na model i efekty tej walki. Należy zatem liczyć się z możliwością planowanego rozpowszechniania na terytorium krajów wspólnoty socjalistycznej niekontrolowanego przekazu telewizyjnego przez imperialistyczne - zwłaszcza amerykański - aparat dywersji ideologicznej". /.../ "Dążenie to jest zgodne z ogólną tendencją do unowocześniania i form i metod indoktrynacji ideologicznej. Obserwujemy w tym zakresie wysiłki zmierzające do starannego zamaskowania rzeczywistych ideologicznych celów przekazu, do oddziaływania przez formy pośrednie, pozornie apolityczne. Rolę taką spełnia np. odpowiednio przygotowany film fabularny, widowisko telewizyjne, pozornie obiektywny reportaż z życia jakiegoś kraju. Działanie przez obraz stwarza w tym zakresie szczególne możliwości.

Ogólnie wiadomo, że przekaz telewizyjny jest wyjątkowo atrakcyjny, jest tak że rzeczą oczywistą, iż pozwala łatwiej i dokładniej zamaskować ideologiczne treści..." /.../ "... dyskusja nad niekontrolowanym przekazem satelitarnym stanowi fragment wielkiej kampanii o amerykański model swobodnego przepływu informacji. Jednak dla każdego przeciętnie wykształconego publicysty jest oczywiste, wszystkie informacje odpowiedniozinterpretowane i zestawione mogą być wykorzystane w celach indoktrynacji ideologicznej".

Obok niebezpieczeństwa ideologicznej indoktrynacji autor wymienia szereg innych zagrożeń związanych z niekontrolowanym przekazem: "niekamuflowany szantaż polityczny", "neokolonializm telewizyjny", "imperializm kulturalny", "dywersja ideologiczna", "imperializm elektroniczny".

W ostatniej części artykułu opisuje autor wysiłki krajów socjalistycznych zmierzające do likwidacji tego zagrożenia. "Najsukuteczniejszą metodą przeciwdziałania byłoby uchwalenie określonych międzynarodowych aktów normatywnych zabraniających niekontrolowanego rozpowszechniania przekazu telewizyjnego". Już w 1972 roku Związek Radziecki wystąpił na forum O N Z z projektem konwencji regulującej zasady wykorzystywania przez państwa sztucznych satelitów Ziemi do bezpośredniego przekazu telewizyjnego.

" Głównie zasady projektu zostały sformułowane w 6 punktach:

- 1/ telewizja satelitarna ma służyć pokojowi i wzajemnemu zrozumieniu między narodami,
- 2/ z telewizji satelitarnej powinni korzystać wszyscy na równych prawach,
- 3/ transmisje do innych krajów mogą być nadawane jedynie za zgodą tych krajów,
- 4/ należy opracować wykaz programów zabronionych,
- 5/ poszczególne państwa mogą sprzeciwić się emitowaniu programów zabronionych nie tylko na własnym terytorium, ale również w innych krajach oraz w przestrzeni kosmicznej,
- 6/ wszystkie państwa ponoszą odpowiedzialność za transmisje programów bez względu na to, przez kogo zostały zrealizowane.

/.../ Radziecki projekt zakładał, że każde państwo, które stanie się obiektem bezprawnych transmisji telewizyjnych, jest uprawnione do przeciwdziałania wszystkimi dostępnymi środkami nie tylko na własnym terytorium, ale także w Kosmosie"

"Wprawdzie projekt ten nie został zaakceptowany przez Zgromadzenie Ogólne

ONZ, jednak dyskusja dobitnie uprzytomniła narodom świata niebezpieczeństwo, jakie stanowić może niekontrolowany satelitarny przekaz telewizyjny /.../. Aktualna sytuacja wskazuje na to, iż mimo amerykańskich manewrów, powoli, lecz systematycznie wzrasta na świecie opór przeciwko koncepcji niekontrolowanego przekazu satelitarnego. Akcja ZSRR i innych krajów socjalistycznych na terenie ONZ, zdecydowane stanowisko tych krajów w rokowaniach na temat wymiany informacji, ugruntowuje w społeczeństwach większości krajów świata przekonanie o konieczności kontroli tego typu przekazu".

I jeszcze jedno: "Amerykańskie materiały dotyczące satelitarnych systemów przekazu telewizyjnego sugerują, jakoby Stany Zjednoczone wyprzedzały w tej dziedzinie Związek Radziecki, ZSRR zaś tylko dlatego organizuje międzynarodowe akcje na rzecz uchwalenia zakazu tego typu działalności, że nie ma odpowiednich możliwości technicznych przeciwdziałania jej. Dla każdego, kto obserwuje rozwój radzieckiej i amerykańskiej techniki przekazu satelitarnego, nie ulega wątpliwości, że oba państwa dorównują sobie w danej dziedzinie. /.../ Jeśli ZSRR domaga się całkowitego zakazu rozpowszechniania jakichkolwiek informacji na terytorium innego państwa bez jego zgody, to kieruje się wyłącznie poszanowaniem zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw".

oprac. T.W.

## " S P O T K A N I A "

"Naturalną konsekwencją temperatury życia społeczno-politycznego w naszym kraju jest funkcjonowanie niezależnego ruchu wydawniczego" - czytamy we wstępie do SPOTKAN - niezależnego pisma młodych katolików, którego pierwszy numer ukazał się w październiku 1977. O tym, że deklarację tę pojmują poważnie świadczy zawartość numeru. Myśl powinna być niezależna nie tylko od cenzury, ale i od schematów, którymi nauczone nas myśleć. I tu uderzające w stereotypy dwa artykuły o problemach narodowych - Jacka Sadowskiego "Sprawy Żydów czy antysemityzm" i X.Y.Z. - "Ukraińcy wobec państwowości polskiej". Rzeczowy ton i erudycja historyczna charakteryzują obydwie te artykuły stanowiące poważny wkład w dyskusję pomiędzy ludźmi i społeczeństwami rozdzielonymi przemocą i kłamstwem. W numerze znajdują się również m.in. refleksje Jerzego Geresza, uczestnika głodówki w kościele św. Marcina i imponujący bogatą dokumentacją artykuł Bogdana Borusewicza "Metody walki z opozycją". Zamieszczone w SPOTKANIACH liczne wiersze młodych poetów środowiska lubelskiego świadczą o otwarciu pisma także na sprawy kultury.

## BIBLIOTEKA " A G O R Y "

Z uznaniem i przyjemnością witamy nową inicjatywę wydawniczą, którą stanowi seria książek Biblioteki "Agory" ukazująca się poza cenzurą. Czasopismo "Agora" wychodziło w latach 1964-1969 we Wrocławiu /wydawca OZS ZMS i Uniwersytet Wrocławski/. Z pismem współpracowali m.in. St. Barańczak, J. Bierezin, M. Bocian, A. Biskupski, L. Herbst, A.K. Waśkiewicz. Obecnie, jak się dowiadujemy, przygoto-

wywany jest - tym razem poza instytucjonalnym mecenatem - 26-ty numer "Agory". Natychmiast po otrzymaniu go poinformujemy czytelników o jego zawartości. Dotychczas ukazały się następujące książki Biblioteki "Agory":

Lothar Herbst - "Rdza na trąbce", Marianna Bocian - "Scalone z rozkładu", Jarosław Broda - "Poezja niebezpieczna", Leszek Budrewicz - "Ruchy tektoniczne", Leszek Fułka - "Defekty fetysza", Lothar Herbst - "Listy w sprawie wiary i nadziei", "Młoda poezja polska lat siedemdziesiątych", antologia w opracowaniu Marka Graszewicza i Witolda Tegnerowicza.

W miarę możliwości będziemy prezentowali tomy Biblioteki "Agory" w "Pulsie".

## WITAMY " Z A P I S "

Z datą "październik 1977" ukazał się czwarty zeszyt ZAPISU. Z zamieszczonych w nim wielu interesujących tekstów, naszym zdaniem, na najwyższą uwagę zasługują:

- artykuł Anny Chmielewskiej pt. "Kampania", będący najwnikliwszą, z dotychczas podejmowanych, analizą języka oficjalnej propagandy prasowej,
- wspomnienia Stefana Kisielewskiego "Przeciw cenzurze legalnie", w których autor opisuje swoją wieloletnią walkę z czarnym urzędem prowadzoną w s e j m i PRL
- "W kościele świętego Marcina" - Joanny Szczęsnej - wspomnienia z głodówki pójetej przez grupę 14 osób w imię uwolnienia więzionych robotników - uczestników wydarzeń czerwcowych oraz członków i sympatyków KOR-u.

Te trzy teksty nie wyczerpują oczywiście pozytywów numeru. Bardzo ciekawa jest polemika między Jerzym Narbuttem a Wiktorem Woroszyłskim /zwłaszcza w części dotyczącej odpowiedzialności pisarza za kształtowanie obrazu rzeczywistości/ jak również esej Stefana Amsterdamskiego "Główne nurty marksizmu Leszka Kołakowskiego" czy Stanisława Barańczaka "O Josifie Brodskim". Najważniejszym zaś walorem ZAPISU 4, w stosunku do poprzednich zeszytów, jest to, że z doraźnej antycenzuralnej inicjatywy wydawniczej przekształcił się w autonomiczne, samowolne c z a s o p i s m o co zaznacza się w ogólnej koncepcji, formie i układzie numeru. A więc witamy ZAPIS !

W dalszych numerach zajmiemy się szerzej niektórymi tekstami z ZAPISU, albowiem dialog, dyskusja, wymiana idei i informacji stanowiąc będą o przyszłości wolnej prasy polskiej.

P.S.

W notatce na temat "Pulsu 1" w "Zapisie 4" pojawił się błąd. Artykuł prof. Stanisława Ossowskiego "Problematyka swobody słowa w dyskusjach naukowych" nie jest jak podano przedrukiem lecz pierwodrukiem.

W.S.

ETATOWA AWANGARDA

W listopadzie ubiegłego roku grupa artystów - plastyków /Zofia Kulik, Przemysław Kwiek, Teresa Gierzyńska, Edward Dwurnik, Daniel Wnuk, Dorota Gierzyńska

rozesłała do osób znanych i nieznanych zdjęcie - pocztówkę. Pocztówka była reprodukcją obrazu przedstawiającego wyżej wymienionych artystów w radosnym biegu w przód /tzn. na widza/. Pocztówka opatrzona została następującym tekstem:

"Każdy siebie i tko wokół malował jak chciał, ale wszyscy wspólnie starali się by całość była dobra."

Każda para chciała jak najlepiej, ale wszystkie pary wspólnie starały się by całość była dobra.

Obraz /2,77m x 4,57m/ został namalowany / w dn. 25 IV - 15 VIII 77 / na Konkurs zorganizowany przez ZOW ZPAP z okazji obchodów 60-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Dostał trzecią nagrodę i jest do obejrzenia na wystawie pokonkursowej w dn. 8 - 30 listop. 77 r. w Galerii Domu Plastyka, Warszawa, ul. Mazowiecka 11 a."

Tekst jest powtórzony w językach: angielskim i rosyjskim. Całość została opatrzona stemplem "New Red-Art Poland".

Osobiście sądzimy, że ta "nowa czerwona sztuka" pachnie starą naftaliną z wczesnych lat pięćdziesiątych.

Na czterdzięci ankietowanych osób, jedna /plastyk/ orzekła, że jest to zapewne żart. Stwierdzamy więc, że jeśli jest to żart to wraz z rewolucją październikową należy on do czerwonych horrorów, ulubionego gatunku etatowej awangardy.

Jack Bierezin

#### PIEKNI DWUDZIESTOLETNI

Na jednej z uczelni technicznych w Polsce poproszono 70-osobową grupę studentów o pisemną wypowiedź na temat formacji społeczno-ekonomicznej, w której chcieliby żyć.

60% młodych ludzi wskazało jako idealną formację wspólnotę pierwotną, 25 % wybrało socjalizm lub komunizm, 10 % kapitalizm i 5 % niewolnictwo. Amatorów feudalizmu nie było. Poniżej przedstawiam wybór cytatów z tych prac.

"W tej mojej wymarzonej formacji społecznej pieniądz nie byłby najważniejszy, wokół którego wszystko się rozgrywa. Dzieci miałyby zapewnioną opiekę, nie brakowałoby żłobków czy przedszkoli, młode małżeństwa nie borykałyby się z trudnościami aż do momentu, kiedy zaczną obchodzić srebrne woscle."

".../we wspólnocie pierwotnej/ nie musiałbym się przed nikim wywyższać, nie musiałbym wygryzać osobistych wrogów, życie byłoby spokojne, bez konieczności walki o wczasy rodzinne no i oczywiście bez 10 lat wyczekiwania na mieszkanie".

"Uważam, że okres wspólnoty pierwotnej jest okresem czystym pod względem moralnym, tj. w którym ludzie zajęci swoją pracą, która zapewnia im egzystencję, nie zajmują się sprawami typu: kłamstwo, obłuda, szantaż, nienawiść wobec drugiego człowieka".

"Ludzie nie znali jeszcze takich uczuć, jak zazdrość czy nienawiść, nie umieli również przeżywać pięknych rzeczy, ale nie zdając sobie z tego sprawy, nie mogli się czuć nieszczęśliwymi".

"W okresie kiedy panowała wspólnota pierwotna, było chyba ludziom najlepiej. Nie musieli robić karier, pieniędzy itp."



"Każdy wiedział, że jeżeli coś zrobi i to zrobi dobrze, sama natura będzie dla niego sprawiedliwa, a przynajmniej obiektywna."

"Czy cena jaką płacimy za wynalazki nie jest za wysoka? Zbudowaliśmy maszyny, które nam z jednej strony służą, a z drugiej niszczą nas. Czy warto dwadzieścia kilka lat uczyć się i czterdzieści pracować, żeby wykapać się w wannie z płynem "Orfeusz" zamiast w jeziorze?"

"Życie we wspólnocie pierwotnej było piękne i bezproblemowe. Żeby jeszcze tylko można było w jaskini posłuchać muzyki..."

"Najważniejszą zaletą wspólnoty pierwotnej jest fakt, że człowiek żyjąc w gromadzie - wspólnocie nie jest osamotniony, może liczyć na drugiego człowieka, który poda pomocną dłoń zawsze w razie nieszczęścia."

"Jeśli człowiek był zdrowy i silny, to właśnie w tamtych czasach jedynie mógł być szczęśliwy. To, że można było pójść wszędzie, że nie było żadnych granic, jest sprawą wspaniałą i niemożliwą w innym ustroju niż wspólnota pierwotna. W każdej chwili człowiek mógł odejść z osobą czy osobami, które sobie wybrał i które wybrały jego."

"Formacja społeczno-ekonomiczna, w jakiej chciałbym żyć, powinna być formacją nie klasyfikowaną przez żadne nauki czy też teorie. Myślę, że żyjąc w świecie, który powstałby "samoczynnie", jako wytwór historycznego rozwoju, w którym każdy dążyłby jedynie, aby żyło się jemu i innym lepiej bez konkretnego nazywania danej formacji, można stworzyć właśnie taką formację, która odpowiadałaby wszystkim ludziom. Tylko świat powstał bez opracowania wszystkiego w ramki ustroju czy systemu może zapewnić człowiekowi to, czego od życia oczekuje."

"W końcu nie jest tak istotna formacja, w której się żyje, ważni są ludzie z którymi się żyje."

"Jestem zwolenniczką nierówności społecznej. Posiadanie niewolników, którzy pracowaliby na mnie i za mnie, pozwoliłoby mi na szeroki rozwój umysłowy, na branie udziału w rządach i życiu obywatelskim. Uważam, że ludzie powinni być podzieleni na tych do pracy i tych do myślenia, choć nie powinien to być podział przypadkowy. Ludzie na całym świecie powinni być poddani specjalnemu testowi na inteligencję, mogącemu wykazać ich zdolności. Ci, którzy przekroczyliby pewien określony wskaźnik, należałoby do klasy myślącej. Cofnijmy się do niewolnictwa i bądźmy panami naszych sług!"

"W kapitalizmie /.../ człowiek nie jest podporządkowany nadrzędnym celom i ideom. Jest częścią społeczeństwa kapitalistycznego, ale może żyć w sposób, jaki sam wybierze."

"System kapitalistyczny odpowiada mi z tego powodu, że można mieć własność prywatną zagwarantowaną, tzn. jeżeli założę sobie jakiś warsztat, albo wybuduję dom, to mogę mieć pewność, że mi w przyszłości państwo tego nie zabierze."

"Poza tym człowiek ma większe możliwości wyjazdów za granicę, większe możliwości dorobienia się."

"Gdybym był właścicielem fabryki albo większego zakładu, ustroj, w którym bym żył byłby mi w zasadzie obojętny."

"Jestem chyba jednak, jak zresztą po części każdy człowiek egoistą i stwierdzam, że byłoby mi lepiej w ustroju zbliżonym bardziej do kapitalistycznego."

"Uważam, że własność prywatna, jeżeli chodzi o przedsiębiorstwa jest lepsza gdyż ludzie już mają taką psychikę, że lepiej pracują na "swoim", niż na "cudzym", tzn. w przedsiębiorstwach upaństwowionych, których są niby współwłaścicielami, ale czego żaden pracownik nie odczuwa, nie uważa tego za "swoje". Stąd też często zyski są mniejsze, niż mogłyby być."

"Podział dóbr w komunizmie wydaje mi się niemożliwy według zasady "każdemu

według jego potrzeb", dlatego, że jeden człowiek chce mieć więcej niż drugi - zawsze tak było i będzie."

"Uważam, że każdy człowiek powinien być nagradzany, czy karany tak, jak na to zasługuje."

"Właściwie żaden ze znanych nam ustrojów nie gwarantuje człowiekowi całkowitej wolności osobistej, np. obowiązkowe zameldowanie, podatki itp. ograniczają nas."

"Pragnę natychmiast skasować:

1. kumoterstwo i przekupstwo
2. płacić ludziom według ich zasługi
3. połowę biuralistów wyrzucić z pracy

Wprowadzić:

1. na początek mnóstwo ekonomów, pilnujących tych, co kradną na różnych stanowiskach
2. życzyłbym sobie mieć mieszkanie najdalej za rok po ukończeniu studiów
3. rozbudować sieć przedszkoli i żłobków
4. pragnąłbym więcej życzliwości w stosunkach międzyludzkich
5. zaopatrzyć sklepy."

"Chciałabym, żeby można było zarobić rzeczywiście według wkładu pracy. Często ci, którzy pracują uczciwie, zarabiają mniej od tych, którzy mają plecy i spryt."

"Nie chodzi mi o łatwizny życiowe, drogę uskaną kwiatami róż. Każdy chce coś osiągnąć, ale tylko po to, żeby mieć w przyszłości dobre warunki materialne. Ja myślę co innego. Osiągnąć to, co się chce, ale nie wykorzystywać tego do tak przyziemnych celów, jak robienie pieniędzy. A jeśli nawet nie uda się dojść do jakiegoś celu, to żeby nie było to klęską osobistą."

"Sądzę, że filozofia marksistowska przeliczyła się co do ludzi i ich charakterów, nawyków. Socjalizm był i jest nadzieją, ale musiałoby się przede wszystkim zmienić ludzi."

"Socjalizm jest w założeniach na pewno ustrojem bardziej sprawiedliwym, ale czy można żyć tylko słowami o równości, sprawiedliwości i przyszłej obfitości, jeżeli nieomal na każdym kroku widzi się marnotrawstwo społecznego mienia, siły roboczej itp.?"

"Uważam, że nasz system byłby naprawdę idealny gdyby nie konieczność zmuszająca ludzi do ciągłej walki z urzędem, bo w takiej formie mamy kontakt z władzą."

"Praktycznie przeciętny obywatel nie ma najmniejszego wpływu na istniejący stan rzeczy."

"Ja chciałabym żyć w komunizmie. Jedyna jego wada, to to, że nie byłoby do czego dążyć, o co walczyć, co budować."

opracowała: Zofia PRZYBYŁA

Tytuły polskiej prasy codziennej

UGRUNTOWAĆ ZAUFANIE DO POLITYKI PARTII

ZAUFAC PRACY I SOBIE  
 POKOCHAĆ PRACĘ  
 SPRAWIEDLIWIE PRACOWAĆ, ZARABIAĆ, ŻYĆ  
 PRACOWAĆ WYDAJNIE I BEZPIECZNIE  
 WYDAJNIEJ PRACOWAĆ BY LEPIEJ ŻYĆ  
 PRACOWAĆ " Z GŁOWĄ, "  
 PATRZEĆ NA NOGI  
 PATRZEĆ SZERZEJ - WIDZIEĆ WIĘCEJ  
 SIĘGAĆ PO NOWE FORMY, USPRAWNIAĆ DZIAŁANIE  
 USPRAWNIAĆ DOSTAWY DO ŁÓDZKICH SKLEPÓW  
 POMAGAĆ LUDZIOM NAJBARDZIEJ POTRZEDUJĄCYM  
 ZACZYNAĆ OD SIEBIE !  
 KONTYNUOWAĆ POSTĘPY - SZYBKO USUWAĆ NIEDOCIĄGNIĘCIA  
 PRZECIWDZIAŁAĆ NIEGOSPODARNOSCI I NADUŻYCIOM W HANDLU  
 WIĘCEJ EKSPORTOWAĆ - RACJONALNIEJ IMPORTOWAĆ  
 TWORZYĆ DOBRĄ, ATMOSFERĘ,  
 KARAĆ ALE TAKŻE WYCHOWYWAĆ  
 ZERWAĆ Z NAŁOGIEM  
 NIE PROWOKOWAĆ ZŁODZIEI  
 NIE TRACIĆ TEMPA !  
 WALCZYĆ O KAŻDE DRZEWO !  
 WYDAĆ PORYWACZY !

LIST PILOTÓW RADZIECKICH DO PREZYDENTA USA  
 STRAJK GÓRNIKÓW AMERYKAŃSKICH  
 REKORDOWA LICZBA BANKRUCTW /AUSTRIA/  
 TRUDNOŚCI GOSPODARZE PORTUGALII  
 PRZERAŻAJĄCE PERSPEKTYWY /LONDYN/  
 NAGONKA NA SIŁY LEWICOWE W RFN  
 ROZMOWY PREMIERA Z OPOZYCJĄ, /LIZBONA/  
 WSPÓLNY PROGRAM RZĄDU I OPOZYCJI /HISZPANIA/  
 FALA EROTYZMU ZALEWA HISZPANIĘ  
 AFERA WYWIADOWCZA W DANII  
 NARUSZANIE PRAW CZŁOWIEKA W WIELKIEJ BRYTANII  
 PRZESTĘPCĄ PODATKOWY ALEKSANDER SOŁŻENICYN UCIEKŁ ZE SZWAJCARII DO USA  
 NIEKTÓRE PROBLEMY CEN  
 NIEUCZCIWI SPRZEDAWCY  
 PODWYŻKA PŁAC W ZWIĄZKU RADZIECKIM  
 PODWYŻKA PROWIZJI  
 BOGATY DOROBEK EDYCJI LENINOWSKICH W POLSCE

WIECEJ JAJ W BISKUPICACH

CO DWIE MINUTY MILION DOLARÓW NA ZBROJENIA

NOWE RUBLE

ZOŁNIETZE USA HANDLUJA BRONIĄ

MOSKWA: REKORDOWE ZBIORY

LONDYN: DODATKOWE OPLATY

SZWEDZI JEDZĄ MNIEJ

PO CO POZOSTAWIĄC NA NOC RZESISTE OŚWIETLENIE W SKLEPACH ?

MILLIONOWE ŁĄPÓWKI SZWEDZKICH PRZEDSIĘBIORSTW

DEWALUACJA CRUZEIRO

BANKNOTY O WARTOŚCI 2 TYS. ZŁOTYCH

DOLAR W OPAŁACH

DOLAR LECI W DÓŁ

KRACH DOLARA

BRUKSELA: PODWYŻKA CEN

BUENOS AIRES: PODWYŻKI CEN

PARYŻ: WZROST CEN

ZNACZNY WZROST CEN W IZRAELU

TOKIO: CENY ROSNĄ

BELGIA: PODWYŻKA CEN PAPIEROSÓW

PODWYŻKI CEN SAMOCHODÓW FIATA

NORWESKA ROPA NAFTOWA JEST ZNACZNIE DROŻSZA NIŻ PRZEWIDYWANO

NIE MA SZANS NA TAŃSZA, KAWĘ

DALSZY SPADEK KURSU DOLARA /TOKIO/

DALSZY SPADEK KURSU DOLARA /LONDYN/

DALSZY SPADEK NOTOWAN DOLARA

DALSZY WZROST DOBROBYTU NARODU

DALSZE POGŁĘBIANIE BRATERSKIEJ PRZYJAŹNI

DALSZE POGŁĘBIANIE BRATERSKIEJ PRZYJAŹNI

DALSZE UMACNIANIE PRAWORZĄDNOŚCI SOCJALISTYCZNEJ I ŁADU PUBLICZNEGO

DALSZE UMACNIANIE POZYCJI NRD

DAISZY POSTĘP PRODUKCYJNY

KOLEJNY SPADEK KURSU DÓLARA /BONN/

KOLEJNA PODWYŻKA CEN WŁOSKICH FIATÓW

KOLEJNY PŁASTYKOWY SAMOCHÓD NA ULICACH ŁODZI

KOLEJNE SPOTKANIE POSIADACZY RADZIECKICH SAMOCHODÓW

KOLEJNE PORWANIE SAMOLOTU

KOLEJNY WEEKEND UDANY

HUBERT HUPKA ZRÓW W AKCJI

PINOCHET ZNÓW GROZI  
MAUZOLEUM LENINA ZNÓW OTWARTE  
KRYZYS RZĄDOWY TRWA /HOLANDIA/  
KRYZYS RZĄDOWY TRWA -/ANKARA/  
PRAWA CZŁOWIEKA WCIĄŻ SĄ GWALCONE /CHILE/  
STRAŻACY NADAL STRAJKUJĄ,  
NADAL DUŻA LICZBA WIEZNIÓW POLITYCZNYCH /HISZPANIA/  
KURS DOLARA NADAL SPADA  
NADAL ODWILŻ  
NADAL KRYZYS Z KAWĄ,

SPIN

/Cdn/

---

C z y t e l n i k u z K r a j u

- prenumeruj "Puls". Tylko Twoje datki umożliwią docieranie  
pisma do nie posiadających złotych Czytelników na Zachodzie

---

## r e c e n z j e

Leszek SZARUGA

## REGUŁY GRY W Ogonku PO ZŁOTO

1.

Każdy z nas zaznał kolejki. Ale stanie w ogonku bywa różne: inaczej stoi się po mięso, inaczej wyczekując na bilety do teatru, jeszcze inaczej pragnąc zdobyć karnet na konfrontacje filmowe lub prawo uczestnictwa w kursie nauki jazdy. Jedne kolejki groźnie i ponuro milczą, w innych szmerzą półgębkiem prowadzone rozmowy, w jeszcze innych zaś rozkwita życie towarzyskie. Sam kiedyś stałem w takiej właśnie kolejce, w której nastąpił rozkwit więzi międzyludzkich, częstowano się wzajemnie papierosami i alkoholem - działo się to, gdy zapragnąłem szkolić się na kierowcę - amatora: kolejka trwała uporczywie całą noc, aż do otworzenia właściwego okienka, nieustannie sprawdzano sporządzone listy obecności, pilnowano porządku, w końcu nawet spontanicznie powołano komitet czuwający nad przestrzeganiem praw i wypełnianiem obowiązków kolejkowiczów. Tak zatem, atmosfera panująca w kolejce po złoto przedstawiona w najnowszej książce Tadeusza Konwickiego nie wydaje mi się ani wydumana, ani oderwana od rzeczywistości. Tak - jeśli nie było - być mogło. Tak bywa.

2.

O czym rzeczywiście poza fabularnym pretekstem - mówi ta powieść? Otóż mówi ona o bycie w zawieszeniu, o półistnieniu: to rzecz o tym, co istniejąc nie istnieje zarazem i o tym co - przeciwnie - nie istniejąc jednak istnieje. Jest to więc rzecz o Polsce, czy, jak chce tytuł, o "Kompleksie polskim". Przy czym dwuznaczność tego tytułowego "kompleksu" jest istotna: dotyczy ona zarówno spraw kraju i narodu, jak i osoby autora, który ów kompleks bardzo - czasem zbyt bardzo i wtedy przeraża się to w minoderię - osobiście przeżywa. Owa też minoderia oraz swoiste zwichnięcie, zakłamanie proporcji zaważyły na artystycznym /choć przecież nie czytelniczym/ niepowodzeniu poprzedniej książki - "Kalendarza i klepsydry". W "Kompleksie polskim" równowaga została przywrócona: kompozycja powieści jest tu równie znakomita jak we "Wniebowstąpieniu". Świat tu skonstruowany jest światem samowystarczalnym, nie odwołującym się na ogół /jest kilka pęknięć, np. powołanie się w rozmowie na Kota Iwana z "Kalendarza i klepsydry" zakładające znajomość poprzedniej książki/ do wiedzy spoza tekstu. To ważne: powieść staje się w ten sposób taką interpretacją rzeczywistości, która jest zarazem jej wyczerpującym opisem, opisem nie wymagającym dodatkowych uzupełnień. Niewiele tego rodzaju powieści powstało u nas po wojnie: Biłkowski, Buczkowski, Bocheński, może Łoziński - mało tego. I słusznie odrzuca Konwicki stawiany mu zarzut prowincjonalizmu: taka konstrukcja powieściowego świata jest jego zaprzeczeniem. Nie o to bowiem w sztuce chodzi, by opisywać sytuacje "uniwersalne", lecz by świat przedstawiony nie domagał się uzupełnień, komentarzy czy wyjaśnień z zewnątrz: w końcu i Homer i Joyce opisują swoje prowincje. Konwicki opisuje Polskę, jej historię i współczesność, jej duszę i ciało, jej sferę polityczną i prywatną, oficjalną i nieoficjalną, opisując zaś w ten właśnie, całościowy sposób niszczy, kompromituje owe sztuczne podziały. Jest to powieść rejestrująca przeżywanie Polski, dla którego jedynym punktem odniesienia staje się samorealizacja człowieka zarówno jako jednostki, jak i jako przedstawiciela ludzkiej wspólnoty: "Planeta nazywa się Ziemią, jest jajem skalnym wypełnionym płynną lawą a pokrytym z wierzchu cienkimi warstwami wody oraz powietrza czyli lotnej mieszanki tlenu, wodoru, azotu i kilku jeszcze pierwiastków, które kiedyś nogą zagrozić

jej istnieniu. Na tej planecie zbiogiem wielu szczęśliwych okoliczności powstało życie na podstawie białka i to życie po milionach lat wykreowało istoty rozumne, które nazywają siebie ludźmi, i do których ja, piszący te słowa mam za szczyt należeć. Ludzkość czyli suma rozumnych mieszkańców ziemi stworzyła cywilizację, co nam pozwala rozumieć wszechświat, a właściwie nie rozumieć go kompletnie, co pomaga zwalczać stare nieszczęścia ludzkiej egzystencji i co tworzy coraz groźniejsze nowe, co wypuściła człowieka na króciutkie spacerki w kosmos i odebrała mu nadzieję na wielkie podróże do jądra tego kosmosu."

Adresatem tych słów są istoty /już/ nie znające znaczeń terminów podstawowych. Trochę to przerażająca perspektywa. Przerażająca dlatego, że to nie muszą być kosmici - to możemy być my.

### 3.

Jest zatem powieść Konwickiego konstrukcją rozpoczynającą się od nauki abecadła i, w miarę rozwoju umiejętności czytania, komplikującą się coraz bardziej. Jest to tekst w pewien szczególny sposób zwrócony na siebie, bezustannie się komentujący. Więcej: to sam Konwicki się tu nieustannie komentuje, wyjaśnia, tłumaczy. Jest to więc książka dużo bardziej skomplikowana niż by to wynikało z jej pobieżnej lektury, zaś chwytem szczególnie udanym i do końca komplikującym zeznania jest, podobnie zresztą jak w "Kalendarzu i klepsydrze", pełne utcsamienie autora z bohaterem. Jeśli jednak ten zabieg, dość naturalny w konwencji pamiętnika czy dziennika, raził swą sztucznością i nienaturalnością właśnie to tu paradoksalnie - nastąpiło pełne odwrócenie sytuacji! może dlatego, iż na stąpiło złamanie konwencji /choć, prawdę powiedziawszy, chwył ten nie jest znów w literaturze rzadki, a i tradycję ma za sobą niechlubną/, może też i dlatego, że dzięki owemu zabiegowi zatarty został dystans między "życiem" a "literaturą" - literatura staje się sztuką życia. Może... Przyczyn zapewne jest wiele. I choć nie przypuszczam, by autor zrezygnował z autokreacji, to spontaniczność tej wypowiedzi często przeradzającej się w spowiedź /zostało to zresztą udokumentowane jedną ze scen książki/ stanowi gwarancję tej kreacji: wszak spowiedź jest jedną z form dążenia do wolności, a tu samooszustwo jest niemożliwe.

I oto stała się rzecz niesłychanie istotna: powieść Konwickiego nie dlatego jest tak pociągająca, iż opowiada prawdę, lecz dlatego, iż jej nie może nie mówić. Obliguje ją do tego konsekwentna realizacja założeń formalnych, w wyniku których powstaje utwór rozpięty między reportażem i spowiedzią. Spowiedź nie może być kłamstwem, musi być prawdą: wszystkich można oszukać, lecz nie siebie samego. Książd w konfesjonale jest tylko pretekstem: człowiek spowiada się przed samym sobą czy Bogiem, a przecież wie on /On/ dobrze, co jest prawdą i co nią nie jest - tej wiedzy w żaden sposób pominąć się nie da. Tak: bohaterem tej powieści mógł być tylko autor. Wychodząc od prawd najprostszych, nieredukowalnych od stwierdzeń typu "jestem człowiekiem" i ich objaśnień, przechodzi Konwicki do pytań o znaczenie tego faktu: tu i teraz, dziś, w tej sytuacji. Musi zatem owo tu i teraz opisać. Taka jest konstrukcja tej książki, której fabularny szkieleł jest bardziej nośny od rozkładającej się konstrukcji "Kalendarza i klepsydry". Ale też właśnie "Kompleks polski" wyjaśnia funkcję poprzedniej książki w rozwoju twórczości Konwickiego: ten nieudany eksperyment na sobie samym / a zatem eksperyment odważny/ oraz na własnej literaturze był, jak się okazuje niezbędny. Obnażył nieuświadomiony w pełni gest poży, pozornosc gry podejmowanej z niewidzialnym partnerem, którym jest zniewalający system w jakim żyjemy: "Świat przeżywa wielki kryzys. Kryzys etyki, filozofii, obyczaju, kultury, środowiska, samopoczucia zbiorowego i indywidualnego. Wyobraźcie sobie jak ten kryzys wygląda w kraju, którego sytuacja jest kryzysowa, a więc w państwie, które dogorywa w jasności przezroczywej niewoli. Jeśli na świecie spłowiły jakiegokolwiek kryteria człowiecze, to u więźniów nikt już nawet nie pamięta, że kiedyś były. Jeśli w wolnych krajach zachwiała się moralność, to u rabów zmielono ją na proszek. Jeśli gdziekolwiek sztuka skarłała, to

u niewolników przepoczwarzyła się w wesz. A ta wesz - dodać od siebie - lubi przybierać pozy modne, gesty kontestacyjne, miny uniwersalne. Pamiętajcie o tym."

Tak, to może być o kimkolwiek, może być i o nas. To jest o nas.

4.

Podejmowanie gry z systemem niewoli jest zgodą na reguły gry przez ten system narzucane. "Kompleks polski" reguły te odrzuca i gra o wolność według własnych praw, odwołując się do własnego systemu wartości. Odrzuca pozy, gesty i miny: sztuka staje się swoistym ekshibicjonizmem, obnażaniem własnej prawdy przebraną dotąd dla niepoznaki w mniej lub bardziej przypadkowe kostiumy. Ale nazywanie dla niepoznaki czarnego białym lub tylko szarym jest kłamstwem, z którego nie można sobie nie zdawać sprawy.

Gra wedle cudzych reguł jest z mocy tych reguł przegrana: podstawową regułą systemu niewoli - regułą przyjmowaną milcząco - jest jego zwycięstwo. Wszystkie inne zasady są nieistotne.

Narzucenie reguł własnych stwarza szansę - może minimalną, lecz przecież jedyną - na wywalczenie nawet stawki najwyższej: wolności. A więc szansę realizowania swego człowieczeństwa. I na tym właśnie polega doniosłość "Kompleksu polskiego": na spontanicznej identyfikacji nieredukowalnych wartości - prawdy i godności ludzkiej.

Od tego zaczyna się literatura.

Leszek Szaruga

---

Tadeusz Konwicki, "Kompleks polski" /w:/ Zapis nr 3, Warszawa 1977,  
Niezależna Oficyna Wydawnicza



Marian KLECHA

## DIALOG WRONY I SKOWRONKA

Do każdego przeczytanego tekstu można podejść wiodorako, można go "obiskać" wykupując wszelkie możliwe przeoczenia, nieścisłości, można polemizować z ocenami wyrażonymi przez autora wobec poszczególnych faktów.

Spróbuję nieco inaczej, wykorzystując przeczytany tekst do wypowiedzenia własnych uwag. Zostały one wywołane przez mistrza prowokacji intelektualnej Adama Michnika.

Adam Michnik jest historykiem i zajmuje się w swej pracy "Kościoł - Lewica - Dialog" latami minionymi. Dla mnie jednak jest to rzecz z zakresu futurologii i to jak na mój gust zbyt optymistycznej. Optymizm Michnika i mój sceptycyzm mają swoje źródło w różnicy wieku, w różnicy doświadczeń życiowych. Moim zamiarem jest przeciwstawić skowronkowej pieśni zapowiadającej wiosnę krakanie katolickiej wrony na jesiennym ugorze.

Zakładam, że czytelnicy mojego tekstu czytali lub słyszeli książkę Michnika. W oparciu o dokumenty działalności Episkopatu, oraz publicystykę "Więzi", "Tygodnika Powszechnego" i "Znaku" stwierdza autor rodzenie się dialogu między laicką lewicą i niektórymi tendencjami w Kościele katolickim, więcej, widzi możliwość wspólnych działań w obronie praw ludzkich, w walce o praworządność i demokratyzację. Uważa, że zmiany w świadomości przedstawicieli lewicy laickiej, jak i ich partnerów katolickich zapowiadają dobre perspektywy dialogu. W zasadzie można się z tym zgodzić, pesymizm jednak wypływa z faktu, że ów dialog jest ograniczony do wąskiej grupy ludzi, że jest elitarny i wcale nie jestem pewien iż rozszerzy się i wyjdzie poza inteligentne getto.

Moje obawy wypływają z kilku faktów, wymienię tylko te, które wydają mi się szczególnie ważne. Najpierw więc nikła samoświadomość Kościoła /pojmowanego jako ogół wierzących a nie tylko hierarchia/. Sobór Watykański II określił potrójną misję Kościoła: nauczycielską, kapłańską oraz prorocką. Dwie pierwsze są zrozumiałe i wszyscy wiedzą na czym one polegają i jak mogą być realizowane: katechizacja, kaznodziejstwo, sprawowanie Sakramentów. Domaganie się praw do ich spełniania jest jasne i spróbowane przez wierzących i jest pojmowane jako walka o wolność religijną. Lniej natomiast jest jasna funkcja profetyczna Kościoła, spełnianie jej bywa opatrywane etykietą ingerencji w sprawy polityczne, ponieważ łączy się między innymi z napominaniem i to nie tylko wierzących, ale i sprawujących władzę, jak to czynili wobec niesprawiedliwości królów prorocy. Tytułem przypomnienia warto podkreślić iż życie owych proroków bywało trudne. Przy zapoznaniu tej funkcji istnieje niebezpieczeństwo udzielenia Kościołowi <sup>swobody</sup> nauczania i sprawowania Sakramentów z pełną akceptacją tego przez wierzących jako stan wolności religijnej, a wszelkie próby udziału katolików w akcjach o demokratyzację, będą spychane na teren rzekomo polityczny. Ograniczyłoby to działalność Kościoła do terenu świątyni, kancelarii parafialnej i punktów katechetycznych, ale jest moim zdaniem możliwe do pełnej akceptacji przez wierzących. Tak jest rozumiane i propagowane prawo do wolności religijnej przez władze państwowe i to z pewną skutecznością. Wydaje mi się, że przy aktualnym stanie rozumienia misji Kościoła wszelki dialog napotyka na dość istotne ograniczenia. Esztaktowanie przeto świadomości wierzących w kierunku zrozumienia profetycznej misji Kościoła, wydaje się warunkiem rozszerzenia dialogu. Katolicy muszą zdawać sobie sprawę z tego, że obrona praw ludzkich, walka o godność nie tylko wierzących nie jest mieszaniem się w sprawy polityczne, ale warunkiem realizacji jednej z misji Kościoła. Podkreślam, że realizacja funkcji profetycznej nie może ograniczać się do walki o swobody dla wierzących, ale dla wszystkich

obywateli. Nie może chodzić o rozszerzenie ewentualnego rezerwatu katolickiego, ale o jednakowe prawa i dla prawosławnych i dla ewangelików i dla niewierzących, a mam obawy iż dla wielu działaczy katolickich perspektywa rezerwatu jest nęcająca.

Czynnikiem hamującym dialog jest również stan moralny naszego społeczeństwa. Zarówno wystąpienia państwowe jak i kościelne, jak również teksty wywodzące się ze środowisk opozycyjnych wskazują na poważny kryzys moralny. Naiwnością byłoby sądzić, iż wszyscy wierzący i całe duchowieństwo uodpornieni są na tę chorobę. Zniechęcenie, bierność, cynizm, egoizm, ogólny brak zaufania, czy w skrajnych przypadkach korupcja - nie są to zjawiska i postawy sprzyjające dialogowi, a coś dopiero - czynnemu zaangażowaniu w obronie wspólnych wartości.

Istotnym hamulcem dialogu jest prosta nieufność do ludzi lewicy: dla wielu czytelników Michnika jego książka jest próbą wciągnięcia Kościoła w rozgrywkę byłych i aktualnych działaczy partyjnych i niezym więcej. Osobiście nie podzielałam tego spojrzenia na pracę Michnika, ale widzę możliwość wycofania się lewicy z pozycji dialogowych po rozczarowaniach wobec Kościoła a tych należy się spodziewać.

Można wskazać jeszcze inne hamulce dialogu, ale zostawmy ich poszukiwanie i przewyciężanie domyślności czytelnika.

W swojej książce opisał Michnik wiernie dość wąskie grupy i wyszło to bardzo zachęcająco, ale Kościół w Polsce to nie tylko KIK-i i nawet nie Episkopat, członkami Kościoła są członkowie Paxu, ODiSS-u, a przede wszystkim miliony zwykłych ludzi.

Z tego szerokiego patrzenia na Kościół wynikają wszelkie ostrożności w działaniu Episkopatu, który musi dążyć wśród zróżnicowanej masy wiernych do zachowania jedności i nie wchodzić na "miedzę" podziałów między poszczególnymi tendencjami. Umiejętność obrony Kościoła przed rozbiem jest największym osiągnięciem Episkopatu. To łączy się jednak z rezerwą w udzielaniu poparcia takiej czy innej grupie opozycyjnej, z ostrożnością w podejmowaniu dialogów w sprawach polityczno - społecznych jak i nawet ekumenicznych.

Wydaje mi się, iż to co napisałem budzić może poważne zastrzeżenia i uwagi krytyczne. Oby tak było.

Marian Klecha

## K R O N I K A

Latem do Programu I Polskiego Radia wprowadzono codzienną audycję "Tu Jedynka". Nadawana w godzinach 16 - 18, składa się w 70% z atrakcyjnej zachodnio-muzyki młodzieżowej. Resztę czasu wypełniają informacje na temat różnego rodzaju patologii trapiących społeczeństwa zachodnie /terroryzm, narkomania, pornografia, bezrobocie/. Informacje i komentarze "Jedynki" wykorzystywane są często w Dzienniku Telewizyjnym. Nazwisko redaktora "Jedynki" - H A N B O W S K I.

29.IX.77. odbył się wieczór autorski Ryszarda Krynickiego "Centre du Dialogue w Paryżu.

Nagrodę Fundacji Kulturalno-Społecznej Juliana Godlewskiego na rok 1977 otrzymał zaczął kształt twórczości literackiej Tadeusz Nowakowski.

2.X. odczytano w kościołach List Prymasa Polski na XXXIII Tydzień Miłosierdzia, zawierający między innymi taki ustęp:

"11. Dziś miłosierdzia Bożego potrzebuje także nasz ochrzczony Naród, odwołany od miłości Boga i nieraz wątpiący w to, czy jest jeszcze na świecie sprawiedliwość między narodami. Nie każdy ma odwagę upomnieć się dla Narodu o prawo do Boga, do miłości, do wolności sumień, do dziejów, kultury i dziedzictwa rodzinnego. Nie każdy poczuwał się do obrony tyłu zagrożonych wartości naszej kultury chrześcijańskiej, którą usiłuje się przemleć w młynie bezdusznej dialektyki materialistycznej. Nie każdy pamięta o tym, co zawdzięczamy Narodowi i co powinniśmy mu świadczyć. A przecież nie wolno tworzyć "dziejów bez dziejów", nie wolno zapomnieć o tysiącleciu naszej ojczystej i chrześcijańskiej drogi, nie wolno sprowadzać narodu na poziom "zaczynania od początku", jak gdyby tu w Polsce dotąd nie wartościowego się nie działo, nie wolno milczeć, gdy na ostatni plan w wychowaniu młodego pokolenia spycha się kulturę rodzimą, jej literaturę i sztukę, jej wypróbowaną moralność chrześcijańską, oraz związek Polski z Kościołem Rzymskim i z przyniesionymi do Polski wartościami Ewangelii, Krzyża i mocy nadprzyrodzonych. Nasza godność narodowa wymaga, byśmy oparli się tej zarozumiałości, z jaką lekceważono jest wszystko, co polskie na rzecz tak nam obcego importu

Jeżeli w czym mamy okazać sprawiedliwość Ojczyźnie, to właśnie w tym, by nie odchodzić od niej w chwilach próby, ale mężnie stać na straży wspólnych nam wartości, wypracowanych przez wieki w pracy rolników, robotników i rzemieślników, mężów nauki, mistrzów i artystów, kapłanów i wychowawców, pracujących pługiem, młotem, piórem, żywym słowem i na kolienach".

"Warszawska Jesień Poezji" odbywała się w tym roku bez udziału wielu poetów - jednych nie zaproszono; inni nie uczestniczyli przez solidarność. Jedną z imprez Jesieni stanowiła wystawa "Rewolucja 1917 roku w poezji światowej".

10 - 15. X. odbywał się w Wiedniu XI Międzynarodowy Kongres Prasy. Z 13 przedstawicieli Polski dwóch otrzymało od władz odmowę paszportu /B. Cywiński "Znak" i T. Mazowiecki "Więź"/. Na znak solidarności nie pojechali do Wiednia redaktorzy "Tygodnika Powszechnego" J. Hennelowa i St. Stomma. We wspólnym wystąpieniu odczytanym na Kongresie przedstawiciele polskiej prasy katolickiej przedstawili warunki, w których pracują oraz wartości i cele, którym starają się służyć. Czytamy tam m.in. "Marksizm jak wszystkim wiadomo - stanowiący podstawę ustroju państwowego jest zarazem oficjalną ideologią, która ma zostać stopniowo internacjonalizowana przez społeczeństwo. Linii ideologicznej, wytyczonej przez partię marksistowsko-leninowską strzegą skrupulatnie placówki państwowej kontroli prasy z obowiązującą cenzurą prewencyjną". I dalej: "Funkcją społeczną pisma katolickiego jest w naszych warunkach budzenie i krzewienie podmiotowości człowieka i podmiotowości społeczeństwa. Krzewienie poczucia, iż człowiek nie jest tylko elementem produkcji, ale jej celem, a także poczucia, że społeczeństwo nie jest własnością państwa, że ma ono prawa podmiotowe, które państwo musi respektować

W obliczu dążeń do duchowej uniformizacji społeczeństwa, pismo katolickie jest czynnikiem pluralizmu kultury i musi wartościami, które czytelnikowi dostarcza, świadczyć o tym, co chrześcijaństwo wnosi w ludzką kulturę". Dokument ten zawiera zestawienie liczby tytułów i nakładów prasy państwowej i katolickiej wg danych z 1974 roku: prasa państwowa - 3 005 tytułów gazet i periodyków o łącznym nakładzie jednorazowym 41 milionów egzemplarzy, prasa katolicka - 26 tytułów i 300 tys. egz.

16.X. Leszek Kołakowski odebrał we Frankfurcie nad Menem przyznaną mu doroczną Pokojową Nagrodę Księgarzy Niemieckich.

17.X. Nagrodę londyńskich "Wiadomości" za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego na emigracji w 1976 r. otrzymał Stanisław Świaniewicz za wspomnienia pod tytułem "W cieniu Katynia", wydane przez Instytut Literacki w Paryżu.

17 - 19.X. w Pradze sądzono i skazano czterech czeskich intelektualistów O. Ornesta, J. Lederera, F. Pawlicka, V. Havela, sygnatariuszy "Karty 77", współpracujących z emigracyjnymi czasopismami "Svedoctvi" i "Listy".

26.X. wysłany został list 290 studentów i absolwentów Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu do Ministra Szkolnictwa Wyższego żądający przywrócenia do pracy Stanisława Barańczaka.

29.X. powstał w Łodzi "Niezależny Klub Dyskusyjny". Deklarację założycielską podpisało 17 osób. Dotychczas w ramach działalności Klubu odbyły się spotkania z Jackiem Kurońem, Janem Kelusem, Maciejem Rayzacherem /wieczór poezji Czesława Miłosza/, Stanisławem Barańczakiem i Andrzejem Babaryko. Pod auspicjami Klubu odbywa się również seminarium historyczne prowadzone przez Adama Michnika. W dniu 15 lutego 78 roku Wydział Spraw Wewnętrznych Urzędu Miasta Łodzi wszczął z urzędu postępowanie w sprawie działalności "Niezależnego Klubu Dyskusyjnego" i wydał decyzję zakazującą dalszej działalności. "Niezależny Klub Dyskusyjny" ustosunkuje się do tej decyzji w osobnym oświadczeniu.

Z datą październikową ukazały się pierwsze numery nowych pism wychodzących w Polsce poza zasięgiem cenzury: "Głos", "Spotkania", "Bratniak", "Indeks", oraz 4 nr "Zapisu".

5 - 15.X. odbywał się w Katowicach kolejny Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich. W ostatnich kilku miesiącach teatry polskie przygotowały 100 premier tego repertuaru. /W sezonie 76/77 - 99 teatrów dało 358 premier, w tym 161 sztuk autorów polskich/.

8 - 16.X. trwały obrady sesji "Chrześcijaństwo wobec praw człowieka" zorganizowanej przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej. Referaty pogłębiające różne aspekty problematyki praw człowieka wygłosili m.in. Tadeusz Mazowiecki, Jakub Karpiński, Jolanta Strzelecka, Stefan Kurowski, Jacek Woźniakowski, Jerzy Jedlicki, Jan Strzelecki, Bernard Skrzydlewski i Stanisława Grabska.

11.X. nowopowstały Studencki Komitet Solidarności w Gdańsku wydał oświadczenie "O samorządności wyższych uczelni".

15.X. nastąpiło otwarcie Biennale w Wenecji, którego tematem była twórczość "dysydentów" w krajach "obozu socjalistycznego". W ramach Biennale odbywały się wystawy /m.in. "Nowa sztuka radziecka" i "Grafika Czechosłowacka"/, seminaria historii na temat ruchu dysydenckiego, sytuacji religii, literatury i teatru w krajach Europy Wschodniej, występowali piosenkarze Wolf Biermann, Aleksander Calicz i Karel Kryl. Polskę reprezentowali w Wenecji m.in. Leszek Kołakowski, Dominik Morawski, Gustaw Herling-Grudziński, Bolesław Sulik i Andrzej Drawicz. Wiele osób zaproszonych do udziału w Biennale nie wyjechało z Polski wskutek odmowy wydania paszportu, wśród nich Stanisław Barańczak i Wiktor Woroszyński. Na wystawie "Polska bez cenzury" pokazano w Wenecji dokumentację niezależnej działalności kulturalnej i społecznej, w tym niecenzurowane czasopisma i wydawnictwa.

18.XI. Komitet Samoobrony Społecznej KOR wydał oświadczenie w związku z przekazaniem do jego dyspozycji dokumentów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. W oświadczeniu, obok omówienia treści i charakteru otrzymanych materiałów znajduje się zapowiedź przekazania tych dokumentów do wiadomości członków różnych organizacji i stowarzyszeń zawodowych, społecznych, twórczych i naukowych oraz całemu społeczeństwu, ponieważ, jak stwierdza oświadczenie "wyniszczająca i absurdałna polityka wyjątkowania polskiego życia publicznego i narodowej świadomości winna jak najprędzej stać się przedmiotem debaty ogólnonarodowej.

18 - 19.XI. odbywała się w pałacu Staszica w Warszawie uroczysta sesja naukowa "Wpływ Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej na przemiany w świecie współczesnym". Organizatorzy sesji - Prezydium PAN, Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR i Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR czcili w ten sposób 60-tą rocznicę Rewolucji. Obrady otworzył prezes PAN prof. Włodzimierz Trzebiatowski. Referaty wygłosili m.in. prof. A. Werblan, prof. J. Szczepański i prof. J. Pajostka. Na terenie całego kraju w ramach obchodów rocznicy Rewolucji odbyły się dziesiątki sesji naukowych z udziałem setek naukowców różnych specjalności.

21.XI. Studencki Komitet Solidarności w Krakowie rozpoczął akcję przeciwko stosowanej powszechnie w bibliotekach praktyce odcinania czytelnikom dostępu do niektórych książek i wydawnictw. Do zakazanych należą m.in. wszystkie wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu i paryska "Kultura".

21 i 22 XI. obradował w Warszawie III Krajowy Zjazd Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej. Liczące 250 tysięcy członków Towarzystwo ma za cel krzewienie światopoglądu marksistowskiego, moralności i kultury socjalistycznej, popularyzację polityki wyznawczej państwa i upowszechnianie świeckich obyczajów. W ciągu ostatnich czterech lat 6 500 lektorów TKKS wygłosiło ponad pół miliona odczytów, a różne akcje szkoleniowe z letniami obozami dla młodzieży na czele, objęły 350 tys. osób. W ostatnim roku szkoleniowym działało 3 250 Uniwersytetów dla Rodziców i 2 706 Klubów Młodego Racjonalisty. TKKS rozwija i upowszechnia w kraju świecką obrzędowość i ceremoniał /uroczyste nadawanie imion dzieciom, wręczanie dowodów osobistych itp./ W dniu otwarcia obrad TKKS odznaczono Orderem Sztandaru I Klasy, a na zakończenie Zjazdu - Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Uznano TKKS za stowarzyszenie wyższej użyteczności. / Z Księgi Zapisów GUKPPIW: " Nie należy zezwalać na publikowanie materiałów ośmieszających świeckie obrzędy nadawania imion, ślubów, pogrzebów itp. oraz działania propagandowe związane z ich popularyzacją. /

24.XI. otwarto w Suwałkach Centralną Wystawę Książki Społeczno-Politycznej w ramach obchodzonych w całym kraju Dni Książki "Człowiek - Świat - Polityka". Hasła wystawy "Polska Rzeczypospolita Ludowa - nasz wspólny dom" oraz "Idee Wielkiego Października - to idee naszych i przyszłych czasów, idee określające przyszłość świata". Ekspozycja obejmuje 2 tys. książek, wydanych głównie w latach 76/77, w tym książki związane z rocznicą rewolucji i podręczniki do szkolenia partyjnego. Imprezy związane z Dniami Książki Społeczno - Politycznej obejmują m.in. ponad 2 tys. kiermaszy i wystaw połączonych ze sprzedażą książek i ponad 300 spotkań autorskich organizowanych przez księgarstwo na terenie całego kraju. RSW "Prasa - Książka - Ruch" organizuje 10 tys. spotkań autorów z czytelnikami, 5 tys. wystaw i 5 tys. imprez towarzyszących.

25.XI. rekordową liczbę uczestników zgromadziła dyskusja nad filmem "Śmierć Prezydenta" w warszawskim KIK-u, którą zagaili M. Giertych, St. Kisielewski, A. Micewski i J. Wojroch.

Telowizja RFN emitowała film Bolesława Sulika "Trzy dni w Szczecinie". Zrealizowany na zamówienie telewizji brytyjskiej film ten ukazuje przebieg drugiego strajku w Stoczni Szczecińskiej w styczniu 71 roku, zakończony wizytą Gierka. Scenariusz napisał B. Sulik w oparciu o relacje uczestników wydarzeń i zapis magnetofonowy rozmowy Gierka ze stoczniowcami.

W listopadzie odbyły się w Warszawie pierwsze wykłady w ramach nowej niezależnej inicjatywy kulturalnej opatrzonej wziętą z XIX-to wiecznej tradycji nazwą "Uniwersytetu Latającego". Wykładowcami są Tomasz Burek, Bohdan Cywiński, Jerzy Jedlicki, Tadeusz Kowalik, Adam Michnik, Jan Strzelecki i Andrzej Tyszkowski. Wykłady odbywają się w mieszkaniach prywatnych.

Wacław Korabiewicz wysłał do Zarządu Głównego ZLP list otwarty, w którym protestuje przeciwko ogólnikowej i mylącej informacji na temat spotkania J. Iwaszkiewicza z E. Gierkiem, zawartej w Informatorze ZLP nr 38/40. W liście tym Korabiewicz porusza także sprawę stosowania zakazu druku jako kary dla niepokornych pisarzy.

Rozszerza się niezależny obieg kaset z nagraniami powstającymi poza Państwowym Monopolem Kulturalnym. Wśród nowości są nagrania Sacrosongu 77 i piosenki Jana Kelusa w wykonaniu autora.

W Warszawie rozpoczęła działalność niezależna biblioteka, w której można wypożyczyć ponad 170 tytułów książek "zakazanych", a z czasopism - paryską "Kulturę", "Aneks", "Zapis" i "Puls".

1 - 10.XII. podczas XIII Warszawskich Spotkań Teatralnych największym powodzeniem cieszą się "imprezy towarzyszące", czyli spektakle "Umarła klasa" teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora i "Nastazja Filipowna" wg. "Idioty" Dostojewskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy, zrealizowany w Teatrze Starym /obydwa spektakle przyjechały z Krakowa./

8 - 10.XII. w Katowicach odbywa się kolejny Festiwal Ogólnopolski Pieśni Zaangażowanej.

16.XII. Okręgowy Sąd Pracy w Warszawie wydał wyrok przywracający do pracy w Wytwórni Filmów Dokumentalnych reżysera Bohdana Kosińskiego. Kosiński otrzymał wypowiedzenie w czerwcu 77 roku, po podpisaniu Apelu 17, pretekstem do zwolnienia była redukcja etatów. W obronie Kosińskiego występowało środowisko filmowe.

20.XII. prasa doniosła o odznaczeniu Biblioteki Narodowej Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Zaplanowane na rok 77 prace przy budowie siedziby Biblioteki nie zostały wykonane, co stawia pod znakiem zapytania kolejny termin oddania jej do użytku w 1983 roku.

Nastąpiła zmiana na stanowisku Kierownika Wydziału Kultury KC PZPR: miejsce Lucjana Motyki zajął Bogdan Gawroński, były sekretarz propagandy KW w Poznaniu.

Józef Tejehma poprosił o dymisję ze stanowiska Ministra Kultury i Sztuki. Obowiązki Kierownika resortu sprawuje jego pierwszy zastępca na tym stanowisku - Janusz Wilhelmi.

22.XII. Zaplanowane na rok 1978 wydatki państwa na kulturę i sztukę wynoszą 9,7 mld zł /1977 - 9,5 mld zł/. W ramach manewru ograniczono o 475 mln złotych przewidziane w planie pięcioletnim wydatki na inwestycje w tej dziedzinie w 1978 roku. 16 województw nie zaplanowało na przyszły rok ani złotówki na inwestycje w dziedzinie kultury. Budowa wytwórni filmowej w Warszawie została odsunięta na przyszłość. Planowane wydatki budżetu państwa wynoszą przykładowo na stowarzyszenia artystyczne i kulturalne - 78 mln, popieranie twórczości artystycznej - 30,5 mln, Bibliotekę Narodową - 60 mln, stypendia dla studentów szkół artystycznych - 33,6 mln, Fundusz Przeciwalkoholowy - 7,2 mln, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk - 50,7 mln, Polska Agencja Prasowa - 50,2 mln zł.

22.XII. Sekcja Kultury KIK w Warszawie zorganizowała wieczór poświęcony twórczości Aleksandra Wata. O poecie i jego poezji mówili Janusz Maciejewski i Henryk Krzeczowski, wiersze czytał Andrzej Seweryn.

25.XII. telewizja zakończyła emisję serialu "Polskie drogi" wg scenariusza

J. Janickiego i w reżyserii J. Morgensterna. Serial złożony z jedenastu odcinków nadawano co niedzielę po Dzienniku Telewizyjnym. Całość obejrzało w przybliżeniu 16 mln widzów, zaś prawie każdy dorosły Polak widział przynajmniej jeden odcinek. Książkowa wersja "Polskich Dróg" w nakładzie 50 tys. egzemplarzy sprzedana została w ciągu trzech dni. Drugie wydanie - 60 tys. egz. zapowiadana jest na początek lutego.

25.XII. ukazał się pierwszy numer pisma "Gospodarz" występującego w obroni praw chłopskiej gospodarki rodzinnej".

W Hiszpanii zniesiono rewencyjną cenzurę filmów. Cenzurę prasy zawieszono przed kilkoma miesiącami.

Utrzymuje się niedostatek papieru dla potrzeb kultury. Przydział dla wydawnictw podległych Min. Kultury i Sztuki wynosi na 78 rok 55 tys. ton czyli tyle samo co w 77 roku. RSW PRASA otrzyma na swój użytek 162 tys. ton papieru. Nakłady gazet i czasopism utrzymane będą na poziomie roku 77 i wyniosą jednorazowo 14,4 mln. egz. czasopism i 9,4 mln egz. prasy codziennej.

W krakowskim ośrodku niezależnych inicjatyw kulturalnych podjęto cykl wykładów "Sylwetki współczesnych myślicieli". Pierwszym prezentowanym filozofem jest Martin Heidegger, a wykładowcami dr Karol Tarnowski i ks. prof. Józef Tischner. Ośrodek działa od października, korzystając z gościnności Sióstr Norbertanek. Występowali tu kolejno: Halina Mikołajska, Jan Józef Szczepański, Zofia Niwińska, Jacek Woźniakowski, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski i Zdzisław Jaskuła.

W Polsce działa prawie 8 tys. klubów prasy i książki, w tym 260 klubów wiejskich.

Podczas wieczorów literackich odbywających się w warszawskim mieszkaniu Anny Erdman i Tadeusza Walendowskiego występowali: Tomasz Burek, Zdzisław Jaskuła, Jan Krzysztof Kelus, Andrzej Kijowski, Tadeusz Konwicki, Kazimierz Orkoś i Janusz Szpotkański. Nowy rok 78 rozpoczął wieczór Stefaną Kisielewskiego.

1. I. 78. wszedł w życie nowy ramowy program telewizji. Przedłużono godziny nadawania, dni świąteczne i wolne soboty będą wypełnione w całości. W środy do północy nadawane będą na zmianę programy polityczne i trudniejsze programy artystyczne. Niedzielne przedpołudnia w programie II poświęcone będą tematyce rodzinnej.

Na 60-tą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości telewizja przygotowuje serial p.t. "Traktat Wersalski". Inne seriale historyczne w przygotowaniu poświęcone będą Kazimierzowi Wielkiemu, królowej Bonie, oraz wielkim bitwom w historii Polski - od Cedyni do Powstania Styczniowego.

Rada Miejska Liverpool zatwierdziła projekt pomnika "The Beatles". Pomnik przedstawia wszystkich członków zespołu i będzie obracał się wokół osi przy dźwiękach muzyki.

Teatr Powszechny w Warszawie wystąpił z premierą "Rozmów z katem" wg książki Kazimierza Moczarskiego, w adaptacji Zygmunta Hübnera i reżyserii Andrzeja Wajdy. W roli Moczarskiego występuje Z. Hübner.

9 i 10 I. obradowała w Warszawie II Krajowa Konferencja PZPR. W referacie Biura Politycznego, wygłoszonym przez E. Cierka znalazł się m.in. fragment zatytułowany: "Znacząca rola polskiej inteligencji": "Wo współczesnym świecie coraz ważniejszym czynnikiem siły i rozwoju każdego kraju staje się potencjał intelektualny. /.../ W dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych nasza uwaga koncentruje się na umacnianiu marksistowsko-leninowskiej orientacji tych nauk i zacieśnianiu ich więzi z działalnością partii, z jej pracą teoretyczną i ideowo-wychowawczą. Partia jest zainteresowana coraz większą poznawczą, ideologiczną i praktyczną aktywnością nauk społecznych, ich rosnącą ofensywnością w konfrontacji ideologii socjalistycznej z ideologią burżuazyjną.

Istotne siły kształtujące ludzkie postawy i ludzki stosunek do świata zawierają się w całej dziedzinie kultury i sztuki. Musimy je w pełni uruchomić i wykorzystać, mobilizując naród do wykonania stojących przed nim historycznych zadań. Ogromna większość polskich twórców stoi na gruncie aprobaty socjalizmu, socjalistycznego państwa, socjalistycznych stosunków społecznych. Taka ich postawa stanowi wielki intelektualny i moralny kapitał Polski Ludowej. Oczekujemy, że będzie on owocował dziełami artystycznymi uwrażliwiającymi na dążenia narodu, zwróconymi ku jego rozwojowym potrzebom. /.../ Sprzyjać takim właśnie dziełom - ich powstawaniu i rozpowszechnianiu - to podstawowe zadanie naszej polityki kulturalnej oraz mecenatu państwowego."

15.1. Sekcja Kultury KIK w Warszawie zorganizowała spotkanie z poezją Osipa Mandelstama.

Zamknięty ostatnio piąty numer ZAPISU liczy 300 stron i zawiera m.in. mikropowieść T. Korzeniowskiego "W Polsce", prozę Witolda Wirpszy, esej Leszka Kożakowskiego, wiersze Adama Zagajewskiego i Natalii Gorbaniewskiej, folioty Andrzeja Kijowskiego i Kisiele.



## POCZTA LITERACKA

Pan B.K. Łódź

Wiersz pański "Od drzew się uczyć" nie przekonał mnie co do wartości owej nauki. Na przykład patriotyzm drzew "z ziemią rodzoną miłośniczwartych" wydaje mi się gnuśny, a nawet wsteczny. Gdyby drzewa z pańskiego wiersza miały nogi, a oprócz tego paszporty i mimo to tkwiłyby w miejscu, aby "przedwieczne czerpać soki", pomyślałbym: no...no... A tak drzewa pańskie symbolizują nie tyle patriotyzm ile zasadę "wolność to uświadomiona konieczność". Zresztą wiersz uważam za dobry, to znaczy taki sam jak wszystkie inne, które ostatnio czytuję w prasie oficjalnej.

Ze względu na bardzo silne wątki patriotyczne radzę wysłać do "Opinii", ewentualnie - z prasy oficjalnej - do "Poezji". Tylko niech Pan zmieni tytuł, bo narmerza, że próbował Pan ogłosić w "Pulsie" i cenzura się uzłościwi. Może być na przykład "Drzewo nieustające" albo "Szum Czarnolasu". Zresztą, co ja będę uczył fachowca. Pan to zrobi lepiej.

X.Y. Warszawa

Podziwiam spryt z jakim pisząc opowiadania z czasów Nowosilcowa przeprowadza Pan analogię do czasów dzisiejszych. "Zupełnie jak teraz" myśli każdy znający się na rzeczy czytelnik. Ale przed Panem zrobił już coś takiego Mickiewicz na spółkę z Dejmkiem i skończyło się bardzo źle. Bojąc się powtórek nie zamieszcimy. Za to służę radą. Niech Pan zmieni realia na dzisiejsze, tak, aby każdy pojętny w aluzjach czytelnik powiedział sobie po lekturze "to zupełnie tak jak za Nowosilcowa".

A.Sz. Łódź

Wiersza "Święto Chłopa" nie możemy zamieścić. Za bardzo ci, chłopci przeintelektualizowani. Nie śpią po nocach, tylko myślą i myślą. Zaletą wiersza jest, że myślą przeciw reżimowi. Wada, że nie sieją, nie orzą i nie hodują. Wynika z tego chyba niezamierzony przez autora wniosek, że braki w zaopatrzeniu są rezultatem lenistwa /wprawdzie płodnego w wartościowe refleksje/ rolników. A z tym wnioskiem się nie zgadzamy.

Lektor

## f e l i o t o n y

K i s i e l

W o ł a n i e   n a   p u s z c z y

Jedność czy podzielność ?

Zawsze uważałem, że powłoka balonu zeszyta z kawałków mocniejsza jest, niż powłoka jednolita; gdy ta druga pęknie, kłopot jest wielki i nieszczęście, podczas gdy tę pierwszą, pokawałkowaną, zawsze można jakoś ześciubić, sfastrygować, skleić. Ześciubić, sfastrygować, skleić, to właśnie zadanie dla polityki, jeśli ma ona służyć ludziom i maksymalnie łagodzić tudzież porządkować ich życie, nie zaś schlebiać ambicjom wodzów, proroków i intyngantów. Tak więc w polityce przeciwny jestem maksymalizmowi i jednolitości, raczej opowiadam się za fastrygującym kompromisem, niejednorodnością i fragmentarycznością. Maksymalizm polityczny doprowadza do nieszczęść, kłopotów i politycznej schizofrenii – klasycznym przykładem Hitler. Osobiście mogę się bawić w maksymalizm, bo nie zajmuję się czynną polityką a tylko igram sobie pisaniem tego lub owego. Pisanie bowiem nie jest polityką lecz akcją indywidualną, nikogo prócz mnie nie angażującą, może więc być wzlatywaniem w balonie o powłoce jednolitej; gdy ona pęknie, nie się nikomu nie stanie oprócz mnie. Politykom natomiast doradzałbym balony zszyte z kawałków, złożone z wyjęć cząstkowych, kompromisów, zróżnicowanych fragmentów. Maksymalizm to megalomania indywidualna, godna pisarza lecz nie polityka. Kiedyś mówiono, że pisarze to "inżynierowie dusz", ja myślę, że pisarz to głównie inżynier własnej duszy. Jak więc źle zbuduje konstrukcję to co najwyżej ta własna dusza mu się zawali. Ryzyko więc indywidualne, bardzo je polecam, mówić w swoim a nie w cudzym imieniu, rzecz to nader solidna, tak właśnie, jak ów balon zszyty z kawałków.

Ten balon i grożące mu niebezpieczeństwo to moja obsesja: niebezpieczeństwo jest tu podstępne i groźne, bo niespodziewane, podczas gdy w powłoce luźno spojonej z kawałków można przewidzieć, gdzie jest większe parcie i gdzie ewentualnie grozi pęknięcie.

Przekładam tę metaforę również na sprawy społeczno-narodowe: lubię społeczeństwa niejednolite i konfliktowe zaopatrzone w przeróżne ostrzegawcze sygnały i wskaźniki. Konflikt jest treścią ludzkiego życia, tak uczy nas dialektyka, konflikty wewnętrznych przeciwieństw zawarte w każdej sprawie decydują o prawdziwości, a więc żywotności tej sprawy, sprzeczności wewnętrzne nadają społeczności energię mutacyjną, impuls do dokonywania zmian, a bez zmian nie ma przecież rozwoju i postępu: postęp to zastępowanie starych, zużytych struktur przez nowe, czyli gwarancja ruchu, decydującego o rzeczywistej żywości i żywotności – wszak tylko rzeczy martwe nieruchome są i niezmiennne. Walka ze starzejącymi się kostniejącymi strukturami jest treścią życia, jest tym, co mamy w życiu do zrobienia, motorem zaś owej walki może być tylko sytuacja tak czy owak konfliktowa, antagonistyczna.

Z tego względu nie nawoływałbym do przesadnego reklamowania jedności społecznej, zwłaszcza u nas, dzisiaj, gdy uniformizacja masowego życia doczesnego prowadzi wręcz automatycznie do unifikacji, która grozić może myślowym zastojem – a od zastojów myślowych do społecznego tylko jeden krok; mózg krytyczny popędza nas do ruchu, mózg bezkrytyczny usypia. A przecież spać będziemy w trumnie – Do Sądu Ostatecznego naśpiemy się za wszystkie czasy – wyzyskajmy więc aktywnie ten podarowany nam przez Stwórcę krótki okres cielesno-duchowej

ruchliwości pomiędzy dwiema wiecznościami.

Wyzyskajmy go, powtarzam, konfliktowo - tak przynajmniej zaleca dialektyka, o której ochrzęciłem wiele już lat się na tych łamach upominam. Tylko, że nikt mojej programowo dyskusyjnej oferty nie podejmuje, ani ci ani tamci - czyżbyśmy już razem spali snem wiecznym? W "Trybunie Ludu" /nr 297/ ukazał się jednakże na temat jedności i konfliktowości ciekawy artykuł Andrzeja Wasilkowskiego "Kiedy trzy równa się cztery". Autor słusznie zauważa, że tradycyjny pogląd na Polaków, iż kiedy zejdą się we trzech to będą mieli cztery partie, jest poglądem anachronicznym, zupełnie nie przystającym do naszej dzisiejszej rzeczywistości społeczno-narodowej. Polska jest dziś ujednoczona jak nigdy, narodowo, społecznie, politycznie, psychologicznie - po prostu "szary człowiek" z trudem znajduje teoretyczną, myślową podstawę do polemik czy konfliktów, unifikacja jest zaraźliwa i usypiająco zacierając różnice ideowe. Możemy wpaść w drugą ostateczność, p. Wasilkowski dostrzega to i, jak się zdaje, również po trochu tęskniąc za dialektycznym ruchem, proponuje remedium w postaci dyskusji. Ale stara się tę dyskusję ująć w formy zgodne /"kłómy się zgodnie"/ wyrwać jej nieaktualność społeczną, jak twierdzi, antagonistyczne żądło. Ciekawa to próba, bo w końcu jakaś próba, ciekawa też ze względu na miejsce i na osobę Autora.

P. Wasilkowski wyróżnia trzy rodzaje konfliktów lub różnic poglądów, o których decydują: a/ "odmienność interesów - klasowych, warstwowych, regionalnych"; b/ "odmienność opinii co do środków realizowania wspólnych interesów i celów"; c/ "odmienność stylów, gustów, upodobań". Grupę "a" p. Wasilkowski odrzuca, jako niepożądaną i zresztą w ogóle już u nas nieaktualną, zaś różnice poglądów "wynikające z odmienności interesów - jak wiadomo - w życiu społecznym są uwarunkowane przede wszystkim przez strukturę klasową warstwową. Im bardziej ta struktura jest skomplikowana, tym więcej występuje odmiennych stanowisk politycznych". Natomiast nie ma p. Wasilkowski nic przeciw konfliktom z grupy "b" i "c", ba, poleca je nawet. O grupie "b" pisze "... gdy różnice poglądów nie wynikają z różnicowości interesów lecz z odmienności opinii co do środków urzeczywistnienia wspólnego celu... istnieje wspólny punkt wyjścia i wspólny punkt odniesienia. Otwiera to pole dla prawdziwej dyskusji, w której powinny liczyć się tylko fakty i argumenty." A o grupie "c": "Kiedy zaś różnice opinii wynikają z odmiennych upodobań, z odmiennego stylu czy gustów - nie ma po prostu powodu, aby dążyć do ich uniformizacji, ujednoczenia, gdyż prowadziłoby to do zubożenia życia, zaniku oryginalności, ograniczenia wyboru."

Jako zwolennik kompromisu i nie maksymalista, jestem tymi wywodami p. Wasilkowskiego na swój sposób usatysfakcjonowany, w myśl zasady "dobra psu i mucha" albo "lepszy rydz niż nic". Dyskusja została wprawdzie ograniczona do pewnych arbitralnie wytyczonych ram i maksymalnie pozbawiona niebezpiecznych ryzykownych żądań, niemniej wykazana została tęsknota za nią - co nas z autorem poniekąd łączy. Oczywiście, nasuwa się tu wiele pytań. Na przykład: czy zwrot o odmienności interesów dotyczy wyłącznie interesów MATERIALNYCH? Są przecież także interesy narodowe, obyczajowe, ideologiczne, psychiczne. Zawsze ciekawił mnie fakt, że w II Rzeczypospolitej, gdzie istniały przecież struktury klasowe, znacznie silniejsze i namiętniejsze od materialnych okazywały się konflikty narodowo-obyczajowe np. Polaków z Ukraincami, Białorusinami, Żydami, Niemcami. Po prostu konflikty w dziedzinie "nadbudowy" żyły własnym życiem, niezależnie od "bazy". A czy da się materialnie wytłumaczyć poczynania i zbrodnie Hitlera np. wobec Żydów, którzy społecznie, w Republice Weimarskiej mogli być tak samo dobrze jego sojusznikami - zdecydowały względy innego rzędu, pozaklasowe. A wojny religijne, wyprawy krzyżowe, inkwizycja? I czy różnice interesów ideologicznych lub dotyczących form i sposobów sprawowania władzy politycznej nie mogą być zaczynem konfliktów równie antagonistycznych jak tarcia materialno-klasowe? A sprawy filozoficzne lub interpretacja historii? A...

Ale dajmytemu spokój, jako antymaksymaliści nie dopowiadamy wszystkiego, zostawmy trochę ludzkiej inwencji i domyslności. Dla porządku zauważę tylko

jeszcze, że dla mnie "wspólny punkt wyjścia i wspólny punkt odniesienia" to bynajmniej nie są integralne cechy "prawdziwej dyskusji", lecz dyskusji ograniczonej. Ale może dałoby się ją "uprawdziwić" w założonych ramach, dodając jej antagonizności? Po co? - spyta p. Wasilkowski. Po to, że prawdziwa dyskusja musi jednak zawierać swoje ryzyko, swoją truciznę, nie może mieć z góry całkowicie przesądzonego rezultatu, musi rozgrywać się na granicy prawdziwego niebezpieczeństwa. Zmija bez żądła to nie zmija, to straszak, atrapa, podobnie jak krokodyl bez zębów. Również sformułowanie p. Wasilkowskiego, że usunięcie klasycznych, dawnych konfliktów społecznych "stwarza obiektywne warunki dla moralno-politycznej jedności całego narodu wobec podstawowych problemów rozwojowych" mogłoby zostać poddane powątpiewającej, dialektycznej erozji. Czy jedność opinii wobec "podstawowych problemów rozwojowych" na pewno będzie zawsze korzystna, czyż nie zdarzy się np., że ujednoliconą opinią prześlepi jakiś doskonały pomysł rozwojowy, jakiś indywidualny wynalazek czy znakomitą koncepcję techniczną? Istnieją przecież niekiedy /nieantagonistyczne?/ a namiętne konflikty narodowe, przed wojną pewną grupę rodaków roznamiętnił i skłócił problem budowy kolejki na Kasprowy, w Ameryce ludzie różnych warstw i grup rzucili się na siebie niedawno jak wściekli w sprawie samolotu "Concorde", Skandynawię dzieli dziś pozaklasowo i pozapolitycznie kwestia budowy czy zaniechania atomowych elektrowni. "Jedność wobec podstawowych problemów rozwojowych" tak samo nieraz mogłaby okazać się zubożeniem jak i odrzucona przecież przez p. Wasilkowskiego jedność gustów. Więc uwaga na słowa, a także na ich zawartość.

Jak widzicie, w ramach mego antymaksymalizmu idę p. Wasilkowskiemu na rękę, nie proponując konfliktowości czysto politycznej czy światopoglądowej, lecz zastępczą, zdrowotną szermierkę dyskusyjną, mimo wszystko jednak toczoną nie tylko na temat obrazu Picassa i nie tak absolutnie słodką i niewinną jak śnieżny gołąbek pokoju. Ale niechże i p. Wasilkowski pójdzie mi trochę na rękę, czy, jak się to dziś modnie mówi, "Wyjdzie mi na przeciw". W świątecznym numerze "Za i przeciw" beznadziejny, nowo kreowany panegirycznie obłudny wodolej /istny katolicki terej, a kiedyś przecież zdolny publicysta/ Wojciech Kętrzyński napisał, że toczy się u nas "ożywiona konfrontacja postaw i poglądów". Proponuję, aby p. Wasilkowski uprawdopodobnił te słowa - /po cóż zawstydzać naszego Wojciecha-Tartuffe'a, niech jego bujda obróci się w prawdę/ - aby wskazał czas, miejsce, wybrał broń, a na konfrontację ową stawimy się na pewno. Wlejmy wreszcie trochę antagonizmu w nasze nieantagonistyczne ramy, wrzućmy nie zapaloną zapalniczkę do beczki z benzyną. Dla higieny, Panowie, dla higieny - nie na noże, na dialektyczne florety! Czego wszystkim życzę.

Kisiel

Powyższy felieton został skonfiskowany przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym" w styczniu bieżącego roku.

Bądź to, bądź to i bądź tu mądry.

Tak źle i tak nie-dobrze. Cała sprawa z cenzurą i antycenzurą jest dla poety czymś niezmiernie niewygodnym. Poeta zajmuje się "tylko poezją". "Tylko poezja" jest rodzajem twórczości nikomu niepotrzebnej. Nikomu - poza systemem kultury rozumianym jako niepodzielna całość, a który jest z natury rzeczy acenzuralny.

Antycenzura to też cenzura. Weźmy taki przykład: Jerzy Winkowski. Jerzy Winkowski jest autorem niezwykle interesujących, nowatorskich wierszy. Z prozą by może jeszcze miał szanse, ale w kraju miliona poetów - daj Boże więcej! - szansy na rynku oficjalnym nie ma, a w każdym razie są to szanse znikome. Na rynku nieoficjalnym odwrotnie - nie ma szansy.

Jerzy Winkowski pisze od kilku ładnych lat, ale nie ma szczęścia do recenzji wewnętrznych: owszem, drukuje czasem wiersze w gazetach, zajmuje miejsca w konkursach, ale o książce nie ma mowy. Na ogół brak papieru. Poemat Winkowskiego "Gliniany tors" spotkał się co prawda z zainteresowaniem znawców, ale Winkowski nie jest Karpowiczem i Ossolineum poematu nie wyda. Poemat jest zdaniem recenzentów zbyt skomplikowany i za duży i choć znamionuje interesującą osobowość poetycką, musi przynieść wydawnictwu zbyt duży deficyt, by ryzykować jego druk.

"Gliniany tors" jest poematem skądinąd cenzuralnym, wysoce metafizycznym, więc teoretycznie mógłby być opublikowany, ale nie będzie. Co gorsza, Winkowski ma dość osobliwe choć interesujące poglądy estetyczne w imię których atakuje twórczość zacnych skądinąd literatów: Herberta, Woroszyłskiego, Konwickiego. Winkowski świnia nie jest i nie da swych szkiców do "Poezji" czy "Życia Literackiego". Z kolei ani "Teksty", ani "Odra" esejów tych nie opublikują w imię niezėswinienia redakcji. Z tych samych powodów nie będzie ich publikować prasa nieoficjalna. Gdyby wiersze Winkowskiego były bardziej "zrozumiałe", zaś jego esseistyka szła po "właściwej" linii, byłby drukowany.

Gdyby pisał "anty" lub był chociaż człowiekiem podpadniętym, trafiłby prędzej czy później do oficyn nieoficjalnych. A tak, to tu brak papieru i tu brak papieru. Czyli brak papieru na literaturę. Papier bowiem przeznaczony jest na "politykę" i "ideologię". Gdyby Winkowski był Peiperem, wówczas by wydawał swoją "Zwrotnicę". Ale Winkowski Peiperem nie jest, a i czasy już inne, "Zwrotnicę" z natury rzeczy poddana by była cenzurze lub antycenzurze. I bądź tu mądry.

Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza ma w końcu dość ograniczone możliwości i siłą rzeczy musi dbać o dobór tekstów najbardziej doraźnych, a do nich "tylko poezja" nie należy.

Chyba, że autor "tylko poezji" nie jest tylko poetą. A Winkowski, niestety tylko nim jest.

Ta sytuacja jest dla kultury groźna, powoduje bowiem zepchnięcie kryteriów estetycznych na plan tworzący jedynie tło tła życia artystycznego: systemy tych kryteriów ledwo tlą się w świadomości, świadomości całkowicie zdominowanej przez zasadę bezpośredniej użyteczności tekstów.

Nauka stąd taka, że Muzy milczą nie tylko wśród zgrzytu oręza, lecz i wówczas, gdy gra polityczna staje się w życiu społecznym aktywnością dominującą. O czym panowie poeci, zwłaszcza liryczni pamiętać powinni, gdyż ich gra nie może być zależna od reguł przez polityków narzuconych.

Między młotem cenzury i kowadłem antycenzury trzeba próbować żyć na własny rachunek.

The first part of the book is devoted to a general history of the United States from its discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The second part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The third part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The fourth part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The fifth part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The sixth part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The seventh part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The eighth part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

The ninth part of the book is devoted to a detailed history of the United States from the discovery to the present time. It is divided into three periods: the colonial period, the revolutionary period, and the federal period.

Z Y Ł A : NIEZALEŻNY ORGAN JACKA BIEREZINA

GLUPSTWO RZĄDOWE I GLUPSTWO ANTYRZĄDOWE

Wszystko dziś u nas mniejsze. Ten sam los spotkał i głupstwo. Trzeba się nie mało namęczyć żeby napotkać wreszcie na głupstwo nieskarłowaciłe, nie sparta-  
czone, nie byle jakie, ale porządne, starannie wykonane i na miarę epoki. Ostoją  
bredni pozostała jeszcze na szczęście prasa. Niedawno ukazał się w kózkim  
"Głosie Robotniczym" artykuł redakcyjny "7 listopada na Placu Czerwonym", za-  
czynający się następująco:

"Dziś na placu Czerwonym spotkają się najwybitniejsi przedstawiciele całej  
postępowej ludzkości świata. O godzinie 10 rozpocznie się tu najbardziej uroczy-  
sty moment bogatego programu obchodów 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październi-  
kowej - tradycyjna defilada doborowych jednostek Armii Radzieckiej, przemarsz  
i pokazy sportowców, demonstracja ludności Moskwy."

I tak dalej. Czytelnik przyzna, że jest to jednak głupstwo porządne, na  
miarę starych, dobrych głupstw. Aż strach pomyśleć ile wybitnych jednostek na  
całym świecie, które nie były tego dnia na Placu Czerwonym zostało wreszcie zde-  
maskowanych jako bądź antypostępowe, bądź nie najwybitniejsze.

W ostatnich miesiącach wolność, postęp i prawa człowieka, a już szczególnie  
obywatela są ulubionymi tematami prasy i propagandy oficjalnej. Tak więc w pra-  
sie słowo, a w mieszkaniach gazy kławiące w aerozolu mają nas przekonać, że ży-  
jemy w najbardziej demokratycznym kraju na świecie i że poza naszym Uzbekistanem,  
albo szerzej, poza obozem zwanym demonludami panuje zbrodnia, gwałt i fale  
erotyzmu zalewają coraz to inne państwa, ostatnio Hiszpanię.

Prasa i propaganda rządowa są wszechobecne i bredzą od lat stając się elemen-  
tem folkloru. Głupstwo rządowe, ogólnie znane i tolerowane w ramach pluralizmu,  
staje się głównym problemem psychiatrii niezależnej. Tyle na razie o głupstwie  
rządowym, albowiem jest to temat - rzeka i bez żelaznej dyscypliny nie skończył-  
bym tego felietonu przez parę miesięcy.

O wiele bardziej interesująca wydaje się być sprawa głupstwa antyrządowego  
albo opozycyjnego, które przez długi okres czasu było towarem rzadkim, atrak-  
cyjnym i poszukiwanym. Gruntownie do zmiany sytuacji na lepsze przyczyniło się  
kilka pism oraz inicjatyw, głównie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w  
Polsce. Ruch Obrony Praw Człowieka w momencie swego powstania popełnił pewnego  
rodzaju nadużycie nazywając się właśnie tak jak się nazwał. Skutki tego nadu-  
życia nie dały na siebie długo czekać. Oto przykład obrony praw człowieka z  
piątego numeru "Opinii", pisma "Ruchu":

"W trzech wypadkach zwrócono się do nas z prośbą o interwencję w celu umo-  
żliwienia wyjazdu na stałe za granicę. Nie podejmujemy się takich interwencji,  
zainteresowanym zaś wyjaśniamy, że aczkolwiek Międzynarodowe Pakty Praw Czło-  
wieka każdemu gwarantują prawo do swobody opuszczenia własnego kraju, to jednak  
uważamy, że interes narodowy obliguje, aby z tego prawa nie korzystać - nawet  
w tych przypadkach, gdy pcha ku temu rozgorzyczenie wywołane przez doznane krzyw-  
dy i zniewagi bez możliwości zadośćuczynienia."

Stanowisko Ruchu Obrony jest mi znane, moje zaś jest, zdaje się, obce Ruchowi.  
Żyję w kraju, w którym ktoś zawsze mnie reprezentuje, ktoś zawsze jest  
za mnie dumny i tak dalej. Sprzedajni politycy uczą mnie patriotyzmu, a  
Ruch Obrony Praw Człowieka mówi mi, że są prawa, ale nie należy z nich korzysta-  
tać, bo interes narodowy, bo miłość ojczyzny... Panowie, "miłość ojczyzny nie  
zna granic cudzych", jak powiedział St. J. Lec, i należy zachować umiar.

Umówmy się więc, że każdy sam zdecydował o tym do czego jest zobligowany i że prawa człowieka są po to aby z nich korzystać. Pozwoli nam to w przyszłości zaoszczędzić nieco atramentu.

Z kolei w dobrym, pierwszym numerze "Głosu" znany i ogólnie szanowany autor proponuje Izraelowi żeby się rozbroił, a także wysuwa kandydaturę Polski na Mesjasza narodów... Abyśmy tylko zdrowi byli - jak mawia Kisiel.

W drugim numerze "Głosu" zadreczę nas swoimi kompleksami Adam Wojciechowski, członek Ruchu Obrony Praw Człowieka. Artykuły publikowane w prasie dzielą się na te, które się znalazło przed ich przeczytaniem i na wszystkie inne. Artykuł Wojciechowskiego należy do pierwszej grupy i jest artykułem historyczno-sportowym o sprawach pierwszeństwa. Dowiadujemy się z niego, że Ruch Obrony Praw Człowieka w Polsce rozerwał "pierwsze ogniwo" jakiegoś "łańcucha" czyli urządził pierwszą "historyczną konferencję prasową", że "pierwszy otworzył punkty informacyjno-konsultacyjne", wydał "pierwszy miesięcznik społeczno-polityczny", a także, że pierwszym "ojcem duchowym niezależnej działalności wydawniczej był Kazimierz Janusz".

Polska to taki dziwny kraj, w którym literaci muszą być jeszcze pisarzami, górnicy sekretarzami, a Adam Wojciechowski pierwszym /lub drugim - po K. Januszu/ opozycjonistą. W którejś ze swych "Kronik tygodniowych" na łamach "Wiadomości Literackich" Antoni Słonimski ostrzegał, że: "Aby dowieść niezbitcie fałszywości artykułu, który ma sto wierszy - trzeba napisać trzysta. Nie warto. Lepiej nie zaczynać. Na trzysta wierszy rzetelnej odpowiedzi pieniać wykropi tysiąc nowych bzdurstw i trzeba będzie pisać trzy tysiące wierszy, żeby wszystkie brednie obalić."

Artykuł Wojciechowskiego ma około 250 wersów.

Sprawami pierwszeństwa zajmuje się także, na łamach ósmego numeru "Opinii", Karol Głogowski, członek Ruchu Obrony Praw Człowieka. Panu Głogowskiemu chodzi o to, że był pierwszym demokratą i że każdy kto chce się określić jako demokratą powinien to z nim uzgodnić, oraz, że "demokraci są nie tylko wśród dysydentów partyjnych i ich sympatyków". Panu Głogowskiemu pragnę wyjaśnić, że, po pierwsze słowo "dysydent" oderwało się od swojego znaczenia etymologicznego, głównie za sprawą zachodniej prasy; po drugie, jest pewną nieprzyzwoitością nazywać "partyjnymi dysydentami i ich sympatykami" np. Halinę Mikołajską, Jana Józefa Lipskiego i dziesiątki innych osób, w tym osoby, które mogłyby być dziećmi Karola Głogowskiego. Poza tym p. Głogowski ma rację - demokraci są nie tylko wśród dysydentów partyjnych i ich sympatyków.

W tym samym numerze "Opinii" ukazał się artykuł A.W. "Lotnia" skonfiskowany zapewne przez cenzurę w "Skrzydlatej Polsce". Ponieważ nie wszyscy czytelnicy znają artykuł, a także ze względu na jego wagę dla narodowej myśli humanistyczno-technicznej decyduje się przytoczyć go w całości:

"Emblematem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce jest sylwetka człowieka rozpiętego na LOTNI - konstrukcji do latania, składającej się z miękopłatu w kształcie nieregularnego rombu i stelażu metalowego.

Są dwa powody, dla których Ruch Obrony przyjął dla siebie emblemat LOTNI: Jest on wynalazkiem polskim i symbolizuje odwieczne pragnienie człowieka do wolnego wzlotu.

Wśród pierwszych eksperymentatorów, którzy urzeczywistnili pomysł Leonarda da Vinci szybowania w powietrzu, wykorzystując różnicę poziomów między startem a lądowaniem, byli Polacy. W r. 1888 w Boleszowie niejaki Jan Wnęk wykorzystał konstrukcję płatu sztywnego do skoków z wieży kościelnej na odległość 1300 m. W kilkanaście lat później Czesław Tański posługiwał się drewnianą lotnią przy skokach ze specjalnie skonstruowanego rusztowania. Natomiast pierwszym, który zastosował miękopłat i wykonał pierwsze skoki w 1891 - był Otto Lilienthal.

Doskonalenie lotni nastąpiło już po II wojnie światowej. Jej obecny kształt



zawdzięczamy pomysłowi Francisca M. Rogallo - potomka emigrantów z poznańskiego - Rogali. Zaprojektował on skrzydło w kształcie delta, miękki płat z dakromu, który miał służyć do sprowadzania z orbity statków kosmicznych. Jeszcze bardziej udoskonalili lotnię inż. Michael Markowski, z firmy Douglas Aircraft Corporation W 1969 dwaj Amerykanie: Bill Moyes i Bill Bennet wykonali pierwsze skoki z lotnią ze szczytu góry Kościuszko w Australii, a w sierpniu 1974 w aeroklubie bydgoskim zarejestrowano pierwszą w Europie sekcję pilotów - lotniarzy.

Od zasnania ludzkości, człowiek pragnął latać: ptak był dla niego symbolem wolności. Nie mogąc wznosić się w powietrze, człowiek stworzył najpierw legendę - był to mit o Dedalu i Ikarze. W tej legendzie Dedal i Ikar, więźniowie Minośa postanowili odzyskać wolność przy pomocy skrzydeł przymocowanych woskiem do ramion. Uciekli, ale Ikar zginął, gdyż nie posłuchał przestróg ojca, aby nie wzbił się zbyt wysoko. Tak jest, że młodość chce zawsze szybować nad starością, Niekiedy trzeba za to płacić wysoką cenę. Ale też pamiętajmy słowa Mickiewicza: "Młodości, ty nad poziomy wylatuj!"

LOTNIA - symbolizując wyzwolenie człowieka - odpowiada programowi RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce, który podejmuje trud urzeczywistniania odwiecznych, nienaruszalnych i niezbywalnych praw człowieka i obywatela."

Koniec cytatu. Przy wszelkich przedrukach artykuł powinien zostać opatrzony mottem z "Ballady o mumiach" Tadeusza Chyły: "starsza nasza rasa niżli się przypuszcza", a i tytuł powinien brzmieć: "Nie Ikarzenko a Ikarowski", w świetle najnowszych badań zostało bowiem stwierdzone, że Ikar miał przypięte skrzydła husarskie i był protoplastą króla Popiela, którego potem zjadły myszy, ponieważ nie posiadał jeszcze w swej wioży lotni, która została udoskonalona po II wojnie światowej i "jej obecny kształt zawdzięczamy pomysłowi Francisca M. Rogallo, potomka emigrantów z poznańskiego - Rogali".

Pozostaje jeszcze wstydliwą sprawą "wolnego wzlotu". Otóż lotnia nie tyle do wzlotu co do zlotu, innymi słowy, nie tyle do fruwania co do sfruwania. Na lotni sfrunięto już z Matterhornu, natomiast w odwrotną stronę nadal trzeba się wspinać. Do fruwania służą inne przedmioty bądź z metalu, np. samolot, bądź z gumy, np. balon, który także nadaje się na emblemat.

Z niecierpliwością będziemy czekali na ukazanie się "Opinii" artykułu o wynalazcy maszyny parowej, którym był James Watt, potomek emigrantów z Małopolski - Waciaków.

Pewną odmianą głupstwa niezależnego jest także hołubienie, lub klepanie po plecach. Hołubi się ludzi, ruchy, a także pisma. W piątym numerze "Zapisu" klepie nas /tzn. "Puls"/ po plecach i nazywa "młodszyimi braćmi" wujek /lub ciocia/ A.B.. W ramach robienia głupstw w czynie społecznym też pewnie byśmy poklepaliby, ale nie wiemy kogo. P za tym apelujemy do A.B. o więcej zdecydowania. Ponieważ o zbyt wielu rzeczach mówi się dobrze lub nijako, od początku pragnęliśmy żeby mówiono o nas źle i nasze pragnienia częściowo już zostały urzeczywistnione. Oczywiście ideałem byłoby, aby mówili o nas źle odpowiedni ludzie, ale nie będziemy zdążyć do ideału za wszelką cenę.

Z wszystkiego co dotychczas napisałem może ktoś wyciągnąć fałszywy wniosek, że atakuję głupstwo w ogóle. Pragnę więc jeszcze raz podkreślić, że chodzi mi jedynie o pewien minimalizm, zaściankowość i karłowatość głupstw. Poza tym większość z nich to głupstwa narodowe. W nowym roku 1978 zwracam się więc do wszystkich zainteresowanych z apelem o głupstwa uniwersalne, wielkie i heroiczne, których jest coraz mniej i powinny podlegać ochronie. Bez nich bowiem niemożliwy jest postęp.

Jacek Bierezin

Z ostatniej chwili

JAK ADMINISTRACJA ROZUMIE KONSTITUCJĘ, CZYLI NASZA  
KAFKOWSKA RZECZYWISTOŚĆ

Na ręce Pawła Spodenkiewicza - uczestnika spotkań Niezależnego Klubu Dyskusyjnego w Łodzi - wpłynął następujący dokument :

27 II 1978

Urząd Miasta Łodzi  
Wydział Spraw Wewnętrznych

## D e c y z j a

Na podstawie art.14 rozporządzenia Prezydenta R.P. z dnia 27 X 1932 r. -  
prawo o stowarzyszeniach /Dz.U.Nr 94, poz.808 z późniejszymi zmianami/ -

zakazując

działalności stowarzyszenia p.n. "Niezależny Klub Dyskusyjny" w Łodzi, ponieważ jego istnienie nie da się pogodzić z prawem

Uzasadnienie

Przeprowadzone postępowanie wykazało, że "Niezależny Klub Dyskusyjny" jest stowarzyszeniem, które nie zostało zalegalizowane zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa o stowarzyszeniach.

Poza tym z deklaracji programowej załączonej do pisma obywatela i wyjaśnień złożonych w toku postępowania wynika, że "klub" ma zamiar między innymi rozpowszechniać nielegalne, bądź pozbawione dobitu komunikacyjnego w kraju książki, prasę i druki pochodzenia zagranicznego i krajowego.

Działalność ta narusza nie tylko przepisy prawa o stowarzyszeniach, ale także inne obowiązujące przepisy, a tym samym sprzeczna jest z konstytucją, która stanowi, że "Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest zobowiązany przestrzegać przepisów konstytucji i ustaw".

Z tych też względów postanowiono jak w sentencji. Decyzja niniejsza jest ostateczna.

Z up. Prezydenta Miasta Łodzi  
Dyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych  
mgr Marian Bieszcz  
/ podpis nieczytelny /

Klub zgłaszał swoje istnienie w liście do marszałka Sejmu. O legalizację w Urzędzie Miasta Łodzi nie zabiegał, gdyż nie spełnia kryteriów stowarzyszenia wg definicji zawartej w wymienionej przez Urząd Miasta ustawie. A oto tekst deklaracji założeniowej, która m.in. spowodowała wszczęcie przez Urząd Miasta postępowania administracyjnego i wydanie decyzji zakazującej dalszej działalności Klubu :

" Dnia 29 października 1977 r. powstał w Łodzi Niezależny Klub Dyskusyjny. Przewidujemy następujące formy działania Klubu:

- wolna dyskusja i wymiana poglądów
- przełamywanie państwowego monopolu informacji poprzez organizowanie wśród członków Klubu obiegu rzetelnych informacji w oparciu o wszelkie dostępne źródła: książki, prasę i druki ulotne wydawane w kraju i zagranicą, bez

względu na to czy mają pieczęć cenzury oraz debit komunikacyjny

- prowadzenie działalności samokształceniowej poprzez seminaria, dyskusje i lektury z zakresu historii, prawa, historii myśli politycznej, socjologii, historii literatury, ekonomii itp.
- organizowanie spotkań z wybitnymi postaciami polskiego życia politycznego i kulturalnego.

Klub nie ma formalnej struktury, a jego działania będą zależały od demokratycznej decyzji jego członków. Środki na swą działalność Klub czerpać będzie z dobrowolnych wkładów,

Niezależny Klub Dyskusyjny będzie prowadził swą działalność na gruncie prawa, jawie, podając do publicznej wiadomości okresowe sprawozdania i zapowiedzi dotyczące przyszłych spotkań.

Właściciele Klubu:

Andrzej Babaryko, Anna Bazel, Jacek Bierezin, Janusz Błasiak, Piotr Amsterdamski, Tomasz Filipczak, Wojciech Jeśman, Elżbieta Lewińska, Jacek Lipowski, Grzegorz Maliszewski, Janusz Płóciennik, Wojciech Słonina, Paweł Spodenkiewicz, Ewa Sułkowska-Bierezin, Witold Sułkowski, Józef Śreniowski, Krzysztof Woźniak."

Materiały i listy do nas prosimy kierować na adresy:

Jacek Bierezin, ul. Astronautów II, m. 17 93-533 Łódź  
Witold Sułkowski, ul. Uniwersytecka 44, m. 55 Łódź, tel. 857 022  
Tadeusz Walendowski, ul. Puławska 10, m. 35 02-566 Warszawa  
tel. 49 75 91

Materiały i listy do nas z zagranicy prosimy kierować na adres:

Bolesław Sulik, 30 Tenbury Close, Romford Road, Manor Park,  
LONDON E.7, ENGLAND tel. 4 71 99 93

---

C Z Y T E L N I K U   Z   K R A J U !

- popieraj "PULS". Tylko Twoje datki umożliwią docieranie pisma do nie posiadających złotych Czytelników na Zachodzie.

---

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

- + proza
- |                   |                              |
|-------------------|------------------------------|
| Kazimierz Brandys | WNIERZECZYWISTOSC            |
| Behnil Hrabal     | ZBYT GŁOSNA SAMOTNOSC        |
| Tadeusz Konwicki  | KOMPLEKS POLSKI /Zapis nr 3/ |
| Paweł Jasienica   | ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ  |
| George Orwell     | FOLWARK ZWIERZECY            |
| Piotr Wierzbicki  | CYRK                         |
| Witold Wirpsza    | POLAKU, KIM JESTES           |
- + poezja
- |                      |                                   |
|----------------------|-----------------------------------|
| Stanisław Barańczak  | JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE         |
| Zdzisław Jaskuła     | DWA POEMATY                       |
| Czesław Miłosz       | TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY |
| Czesław Miłosz       | MIASTO BEZ IMIENIA                |
| Czesław Miłosz       | KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE        |
| Kazimierz Wierzyński | CZARNY POLONEZ                    |
| Wiktor Woroszyński   | JESTES I INNE WIERSZE             |
- + felietony, eseje
- |                  |                                   |
|------------------|-----------------------------------|
| Andrzej Kijowski | NIEDRUKOWANE                      |
| Adam Michnik     | CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW        |
| Czesław Miłosz   | ZNIEWOLONY UMYŚL                  |
| Maria Ossowska   | O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI |
| Józef Piłsudski  | BIBUŁA                            |
| Jan Strzelecki   | ZAPISKI 1950-1953                 |
- + społeczno-polityczne
- |                      |   |
|----------------------|---|
| Władysław Bieńkowski | SOCJALIZM PO 60 LATACH                                  |
| Jacek Kuron          | ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRAMIE, UWAGI<br>O STRUKTURZE |
| Antonin H. Liehm     | NOWA UMOWA SPOŁECZNA                                    |
| Marek Tarniewski     | POCHODZENIE SYSTEMU                                     |
| Marek Tarniewski     | DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ                                  |
| Zbiór wypowiedzi     | EUROKOMUNIZM  |
| -                    | ANTYSEMITYZM  |
| -                    | UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU                     |
| -                    | NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOVSKIM                      |
| Zeszyt TKN           | JĘZYK PROPAGANDY  |
- + historia, wspomnienia
- |               |   |
|---------------|---|
| -             | DWIE ROZMOWY, MOSKWA 1960 /stenogram rozmów<br>polsko-chińskich/<br>WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE |
| Józef Czapski | ZBRODŃ KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW  |
| -             |   |
- + dokumenty
- Z KSIĘGI ZAPISÓW GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY PUBLIKACJI I WIDOWISK --- DZIENNIK USTAW PRL nr 38 /1977/, Pakty Praw Człowieka i Obywatela --- OPRACOWANIA ZESPOŁÓW PROBLEMOWYCH POLSKIEGO POROZUMIENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO --- DOKUMENTY BEZPRAWIA /Tzw. Biała Księga/.
- XXXXXXXXXXXX
- |                    |  |
|--------------------|--|
| Władysław Gnomacki | TOW. SZMACIAK czyli WSZYSTKO DOBRE CO SIĘ<br>DOBRZE KOŃCZY |
| -                  | SPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY                                  |

Ponadto nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartniki literackie ZAPIS I PIUS

WOLNA WALKOWO BĘBNOWA DRUKARNIA POŁOWA im. J.P.

Warszawa, kwiecień 1979

Zlec. nr 11/79

marzec '78

**Puls**

nr 2

wydanie

**nieregularny kwartalnik literacki**

redagują

JACEK BIEREZIN  
TOMASZ FILIPCZAK  
WITOLD SUŁKOWSKI  
TADEUSZ WALENDOWSKI

z pomocą współpracują

STANISŁAW BARAŃCZAK  
MICHAŁ BOGUCKI  
TADEUSZ KORZENIEWSKI  
BARTOSZ PIETRZAK  
BOLESŁAW SULIŃSKI  
LESZEK SZARUGA